



<http://rein.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>







T. RITTNER: DZIEŁA

T A D E U S Z R I T T N E R

# D Z I E Ł A

WYDANIE ZBIOROWE POD REDAKCJĄ  
ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

*TOM VIII.*

---

NAKŁADEM F. HOESICKA • WARSZAWA

1931

<http://rcin.org.pl>



T A D E U S Z   R I T T N E R

# NAD JEZIOREM

I INNE NOWELE

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

**Biblioteka**

**ul. Nowy Świat Nr 72**

**00-330 Warszawa**

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**

---

**NAKŁADEM F. HOESICKA · WARSZAWA**

**1931**

<http://rcin.org.pl>



CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

<http://ocin.org.pl>

2880

## SPIS RZECZY

Nad jeziorem (wspomnienie) . . . . .	1
Muc . . . . .	12
<del>Lulu</del> . . . . .	15
Dora . . . . .	37
✓W Neapolu . . . . .	87
<del>Przyszłość</del> . . . . .	103
<del>✓Epizod</del> . . . . .	136
<del>✓Pan minister</del> . . . . .	146
<del>✓Spotkanie</del> . . . . .	160
Co błazen widział na dworze królewskim? . . . . .	173
<del>Homunculus</del> . . . . .	189
Finale . . . . .	224
Ostatnia . . . . .	238
Żona kupca (bajka) . . . . .	245
Młoda żona . . . . .	253
De amicitia . . . . .	264
<del>Czarna dama</del> . . . . .	276
✓Życie sen (kartki z dziennika) . . . . .	283
✓Mur między nami . . . . .	299
Zła noc . . . . .	314
Przygoda panny Stasi . . . . .	320
Mąż . . . . .	333



# N A D J E Z I O R E M

## WSPOMNIENIE

### I

Były trzy siostry...

Minęło to dawno, choć czasem wraca, szczególnie w długich nocach; ale nie czuję nic złego, kiedy mi się to śni.

Były trzy siostry, a najmłodsza, Magda, miała szesnaście lat i zielone oczy. O niej jednej nie chciałbym wiele pisać — zresztą trudno, bo od czasu jak byłem nad jeziorem, minęło dziesięć lat.

Kiedy przyjechałem nad jezioro, było jeszcze zimno; byłem tam po raz pierwszy, i wydawało mi się wielkie, bo góry wyglądały jak niebieskie obłoki. Woda była ciemnozielona, głęboka, i tak blisko moich oczu, że dostawałem zawrotu głowy.

Na łódce stał chłop wysoki i chudy; marszczył czoło, kiedy się na mnie patrzył, a wiosłował mozolnie, bo łódka była ciężka.

Poznałem go potem bliżej; był poważny w ruchach i mowie, a dobry i cierpliwy, jak grzeczne dziecko. Poznałem go wtedy, kiedy jechaliśmy na pogrzeb, daleko aż do miasta.

Miał żonę, Anusię i małą córeczkę garbatą, która się nazywała tak samo jak i matka.

Siadali nieraz wieczorem nad wodą, a rozmowa ich cicha i monotonna mieszała się z pluskiem żab, które skakały z brzegu do jeziora...

— Czy Anusia chłopczyk?

— Nie, tato — dziewczynka.

— A jak ci na imię — dziewczynko?

— Anusia.

— Ładna Anusia — czy brzydka?

— Ładna Anusia.

— Nie, brzydka. Kto jest ładna Anusia?

— Mama jest ładna Anusia.

A czasem łowili ryby. Ładną Anusię widzieli tylko raz, bo zawsze chorowała i siedziała w chacie. Była żółta i mizerna.

...Nie wiem skąd to wszystko przyszło mi naraz do głowy, bo od czasu, jak byłem nad jeziorem, minęło dziesięć lat...

## II

...,Było nas dwudziestu faunów, chwialiśmy się na nogach i gwiazdy tańczyły nam nad głową, bo wino było słodkie, jak nektar... Urządziliśmy sobie polowanie... A najgorzej wyszła na tem mała nimfa, Kalista, która spała w trawie pod dębem. Leżała na plecach, a na jej białej piersi siedziała żaba. Gruby Pyrkeraks rzucił się na ziemię i choć dwóch z nas chwyciło go za ręce, trzech ciągnęło za nogi i... Ale nie o tem chciałem wam mówić... Tylko o tem, jaką

uciechę mieliśmy z Chryseidosem, poetą, który kochał się z Melittą, siostrą owej kapłanki z Lesbos“...

Tak czytała Elli. Jak dziecko, choć była wielka, w piersiach szeroka i rozkwitła, jak biała róża...

...,Z Lesbos. Nawet wzrokiem się całowali i usychała woda w strumyku. Kochali się w swoich cieniach, w śladach stóp swoich“...

Cicho na jeziorze... i w powietrzu. Trzymaliśmy się za ręce, i położyłem głowę na jej kolanach, żeby lepiej słyszeć... Jakbym leżał na ciepłej ziemi po deszczu. Słyszałem, jak brzęczą muchy i jak Anusia pierze bieliznę.

Woda podnosiła łódkę. Uczułem, jak Elli ścisnęła kolana. Głowę przechyliła wtył, a włosy pływały na dole jak wodne lilje...

Była biała, kiedy mi spojrzała w oczy. Cofnęła się przede mną, choć jeszcze nie tknąłem jej ciała... Wtedy dopiero objąłem ją w pół...

Zaczęła wołać o pomoc... Ręce mi drżały i wiedziałem, że woła na próżno...

— Anusiu?...

Zaszeleściały liście nad brzegiem.

— Anusiu?...

Lekki plusk w wodzie... Coraz bliżej i bliżej... Potem czułem, że Anusia stoi już koło nas. Płakała cichutko, jakby brzęczała drobna muszka...

Spojrzałem na nią. — Cofnęła się i uciekła.

Reszty nie wiem, bo od czasu jak...

### III

Wiedziałem, że będzie burza.

Leżałem w trawie i patrzyłem się w niebo. Myślałem sobie: Oto leżę na dnie jeziora, a niebo w górze, to zwierciadło wody, jaskółki w powietrzu, to srebrne rybki — a kiedy się lekko podniosę, wypłynę aż na samą górę i zobaczę... inny świat, inne słońce...

Ale przyszedł zimny wiatr; czułem, jak idą zdaleka wielkie chmury, których jeszcze nie widać.

Zobaczyłem w dole prawdziwe jezioro. Przez dzień cały było ono tak białe, jak roztopione słońce, teraz poczerniało i tylko gdzieniegdzie się pieniało, jakby pływały lśniące gołębie, które trzepotały skrzydełkami...

Zobaczyłem także Magdę, która siedziała na ziemi. Spostrzegła i zaczęła się do mnie śmiać.

— Co ty robisz Magdo?

— Zrywam fiołki...

Zacząła przynosić każdy fiołek z osobna.

— Pachnie?

— Bardzo.

— Widzisz... zbudził się i pachnie.

Przyniosła drugi kwiat.

— A ten?

— Ten jeszcze śpi.

— Kiedy fiołek pachnie?

— Tylko czasem...

— Kiedy?



Nie wiedziałem, a ona szepnęła po chwili, patrząc mi w oczy i zarumieniona:

— Ja wiem.

— ...Kiedy?

— Kiedy — kocha.

Nadeszła Elli, czerwona z gorąca i z kapeluszem w rękę. Przystąpiła do mnie:

— Pojedziesz ze mną na jezioro?

— Będzie burza — mówię, patrząc na Magdę, która posmutniała.

— Magdo, pojedziesz z nami? — spytała znowu Elli.

Magda klęczała na ziemi i zbierała kwiaty do fartuszka.

— Idźcie — szepnęła tylko.

Stałem się przed burzą miękki i wrażliwy.

— Chodź, Magdo — prosiłem.

Ale ona potrząsnęła jasną główką. Wstała i oddaliła się cicho, nie mówiąc słowa... I nie odwróciła się nawet, tylko oddalała coraz bardziej.. A chłód wiał z jeziora i...

Na jeziorze było ciemno, tylko gdzieś tam pieniało się, jakby pływały lśniące gołębie, które trzepotały skrzydełkami...

#### IV

Były trzy siostry...

Mówili ludzie, że Ada była najpiękniejsza. Niestety widziałem ją tylko krótko, bo kiedy nadszedłem,

zabijali właśnie wieko jej trumny. Widziałem tylko włosy gęste i rude — oczy były otwarte ale już szklanne. Mówiono, że umarła przy pierwszym dziecku; mąż był lekarzem; gruby człowiek, niesłychanie lubiany w okolicy.

Wieczór przed pogrzebem nie wiedziałem jeszcze o niczem.

Kiedy zaszedłem, jak zwykle, do ogrodu, ładna Anusia siedziała blada przed chatą i obierała ziemniaki.

— Dobry wieczór — mówię.

— Dobry wieczór, paniczu. — Niema pani ani panienek.

— Gdzież są?

— W mieście... Pani doktorowa umarła.

— Kiedy? — pytam przerażony.

— Tej nocy.

Nadszedł mąż.

— Dobry wieczór, paniczu... Pani doktorowa umarła.

— Wiem... słyszałem...

Zaczęli oboje opowiadać.

— Co za nieszczęście — powtarzam mechanicznie — co za nieszczęście!

Patrzyli na mnie oboje; byłem tak wzruszony, że się prawie uśmiechałem.

— Czy była młoda?

— Była młoda, paniczu, młoda...

Dzwonili właśnie na Anioł Pański. Zszedłem w milczeniu do jeziora, myśląc o Adzie.

Wziąłem wiosła i popłynąłem powoli w kierunku przystani i miasta. Było już bardzo ciemno, kiedy wracałem. Nie widziałem nic, prócz własnych rąk, bo księżyc jeszcze nie wzeszedł i tylko gwiazdy świeciły.

— Tej jednej nie znałem — snuło mi się po głowie — tej jednej siostry nie znałem...

A na drugi dzień w południe, byłem znowu nad wodą. Koło mnie stał mąż Anusi w stroju sztywnym, niedzielnym...

— Zdążymy jeszcze — mówił, odwiązując łódź — pogrzeb jest dopiero o szóstej...

Z wieńców pachniały róże, pachniały wielkie lilje... Kobiety trzymały w rękach białe chustki. Były i baptystowe, bo doktor miał bogate pacjentki. Elli płakała głośno. Anioł z białego marmuru, który był opodal na grobie dziecka, czerwienił się jasno w ogniu, bo słońce zachodziło.

— Słońce zachodzi — rzekłem cicho do męża Anusi — trzeba wam wracać...

On nie słyszał, bo klęczał ze spuszczoną głową i szeptał:

— ...łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...

Promienie padły mi prosto w twarz; olśniony, nie widziałem nawet Magdy, która klęczała koło mnie...

Ona mnie w tej chwili nie kocha — pomyślałem naraz o niej — nie kocha, bo klęczy nad trumną...

Wszyscy uklękli.

— *Requiescat in pace* — wymówił ksiądz...

Zrobiło się cicho, całkiem cicho. A kiedy podnio-

słem wzrok, zobaczyłem, jak ponad głowami wszystkich leci motyl o białych skrzydłach — a za nim drugi, także biały... Widzę jak się złączyły... dotknęły się kropielnicy... a teraz lecą nad siwą głową matki Ady...

Potem uczułem na sobie rękę. Czuję wyraźnie, jak się coś mnie dotyka, jakby mała ręka...

Schyliłem nisko głowę.

— Magdo — szepnąłem — czy ty się mnie dotknęłaś?...

Jej oczy były wielkie, całkiem blisko moich; twarz była spokojna i jasna...

Nie odpowiedziała nic.

Wstała, żeby się pożegnać ostatni raz z siostrą.

## V

Na jeziorze było ciemno. Wziąłem towarzyszowi wiosła, żeby nie siedzieć i nie myśleć. Bo zdawało mi się jeszcze ciągle, że czuję małą rękę, która się mnie dotyka delikatnie i ostrożnie, jakby mi chciała coś zabrać... A jezioro wyglądało jak czarny dół.

— Czy jeszcze daleko? — spytałem się kilka razy. — Która godzina?

— Zbliża się północ. Płyniemy powoli...

Usiadłem znowu przy sterze. Nie czułem wcale, że się ruszamy...

— Czy my nie stoimy na miejscu?...

— Płyniemy, paniczku; widzę jak się ruszają drzewa. Ale czy paniczku...

— Co? — spytałem cicho...

— Czy panicz nie słyszy?

Usłyszałem plusk, jakby ktoś jechał za nami...

— Stańmy! — zawołałem drżącym głosem.

Słuchaliśmy długo w ciemnicy. — Czulem deszczę na całym ciecie... Ale słyhać było tylko deszcz, który zaczął kropić...

Powtórzyło się tak kilka razy.

— Upiór — szeptał mój wioślarz i modlił się głośno. Była północ, kiedy przybiliśmy do brzegu. U ładnej Anusi świeciło się jeszcze w oknie.

— Chwała Bogu! — westchnąłem...

Podaliśmy sobie ręce.

— Dobranoc wam, i... dziękuję.

— To ja dziękuję, paniczu; dobranoc...

Słyszałem jeszcze chwilę jego kroki... Poszedł w sad, gdzie stał na górze jego domek...

Byłem sam.

Stałem przy drzwiach willi. Drzwi były zamknięte; klucz wzięłem rano z sobą. Było bardzo ciepło i padał drobniutki deszcz... Z jeziora słyhać było żaby: kwak... kwak — kwak — kwak — kwak...

— ...Zgubiłem klucz! — syknąłem naraz z rozpaczą...

Co robić?... Zgubiłem klucz.

...kwak — kwak... kwak... kwak...

U Anusi się świeci. Widziałem raz u niej cały pęk kluczy... Może nie śpią.

Poszedłem szybko w górę...

Kiedy stanąłem przed chatą — widziałem przez

oświetlone okno całą izbę. Anusia leżała w łóżku; piersi jej były w pół odkryte. Wsparła się na ręce i słuchała męża, który siedział u jej nóg, jeszcze nierozebrany... Słyszałem jego urywane słowa:

...a na jeziorze straszło... Jechał za nami upiór... Wiosłował, jak człowiek... Panicz kazał: h a l t... i stoimy, a upiór nic... Jedziemy, a upiór znowu straszyc... Myślę ja sobie! Boże...

## VI

Były trzy siostry...

Ale świeca już dogorywała — boję się, żeby sama nie zgasła... A chciałbym jeszcze opisać, jak to raz, w nocy, przed dziesięciu laty... a było to w ową noc, kiedy wróciłem z pogrzebu Ady... i kiedy zgubiłem klucz...

Zgubiłem?... Jakże to było?...

Pamiętam jeszcze wszystko, choć od czasu, jak byłem nad jeziorem, minęło dziesięć lat...

Musiałem wtedy pójść do Anusi — choć było późno, aż przestraszyli się oboje, a ona leżała już w łóżku...

On był... najwięcej... i tłumaczył mi sennym głosem, że musiałem chyba zgubić wtedy... jak wyskoczyłem z łódki... bo zresztą... nie wie, a może jest w łódce i trzeba szukać...

Ale dali mi inny. A za chwilę byłem w domu.

Położyłem się do łóżka... ale musiałem śnić niespokojnie, bo słyszałem ciągle, jak szumi jezioro...

A naraz — zbudziłem się. Księżyc oświecał jasno pokój...

— Magdo!... Na miłość Boską — to ty?

Klęczała przy mnie; czułem jej ciepło... a oczy blisko siebie, jak gwiazdy...

— Ja Ciebie... kocham — szeptała.

— Magdo, Magdo... — Byłem bezprzytomny, tuliłem ją do siebie.

— Kocham — powtarzała drżącym głosem — kocham...

— Jakże tu przyszedł, dziecko?

Zaśmiała się cicho.

— Jechałam ciągle za wami...

— Ty?

— Nie słyszałeś? Stanęliście kilka razy.

— Ale — drzwi były zamknięte, i...

— Miałam klucz — powiedziała powoli, patrząc mi dziwnie w oczy.

I nie zapomnę nigdy tego wyrazu, tak, jak nie zapomnę dotknięcia tej ręki, która mi zabrała na porzeczbie... klucz...

Ale płomyk się wyciąga; świeca syczy i gaśnie...

Były trzy siostry...

## M U C

Powietrze było tak białe, że kiedy przeleciał ptaszek, to wyglądał, jak srebrny...

Mały Muc szedł w niebieskiem, nowem ubranku i ciągnął drewnianego konika, który miał czerwone kółka i zawsze podskakiwał, bo się potykał o kamyki...

Żółte pączki na drzewach nie otworzyły jeszcze ocz, jak dziewczęta. — Niektóre spadły we śnie na piasek, a między listkami biegały czarne mrówki... Niektóre pączki jeszcze żyły, niektóre zwiędły, nim otworzyły oczy.

Muc silnie ciągnął za sznurek, żeby konik nie uciekł, i zaciskał zęby, i czasem obracał się do konika na czerwonych kółkach, jak do małego pieska...

Niańka, która miała siedemnaście lat, opowiadała sobie jeszcze bajki, patrzyła się w słońce a jedną ręką prowadziła Muca.

Czasami spotykali pięknie ubrane panie, które stawały i chwaliły dziecko. Wtedy Lina schylała się do małego Muca i poprawiała mu spodeńki, które i tak były w porządku.

Muc zaczął tłumaczyć i pokazywać niańce różne ładne rzeczy:

— Widzis Lina... to ptasek...



— Widzę.

— Widzisz Lina... to taki maleńki ptasek...

— Maleńki ptaszek...

Stanęli koło długiej rury z gutaperki. Muc otworzył szeroko oczy.

— A co to jest, Lina?

— Tem się podlewa kwiaty.

Wtedy Muc zaczął tłumaczyć:

— Widzisz Lina... tem się podlewa kwiaty.

Lina była zmęczona wiosną i czekała na ławkę. Na wielkim placu, gdzie stały białe figury, było naokoło dużo ławek, ale były tam także inne niańki i dzieci a Lina nie lubiła tego, bo się bała żołnierzy.

Tylko Muc płakał i napierał się, żeby pójść do dzieci, bo miały obręcze i taką zabę, która się nakręca.

Ale Lina odkryła pod parkanem zieloną, niską ławkę, na której nikt nie siedział.

Muc przestał płakać, bo zobaczył gąsienicę i zdawało mu się, że ona je ziemię. Siadł na piasku i zaczął mówić do gąsienicy:

— Moja muska, moja gzecna muska, Muca gzecna, maleńka muska.

Na skrócie pokazał się pan w jasnym ubraniu, który szedł bardzo powoli z blondynką w niebieskim kapełuszu i z czerwoną parasolką.

Usiedli koło Liny, ale nie widzieli nikogo, tylko spoglądali sobie w oczy. Lina wyprostowała się i lekko zróżnowiała. A potem słyszała, jak on mówił:

— Kochasz?

A ona odpowiedziała:

— Tak.

A on się od niej odwrócił.

— Powiedz: Kocham. Nie chcę, żeby dziewczynka mówiła: tak...

— Kocham...

— Kogo dziewczynka kocha?

Lina zdjęła chustkę, bo jej było gorąco.

— Swego chłopca kocha...

— Jak kocha?

— Bardzo kocha...

— Powiedz: z całej duszy, całym ciałem...

Kiedyś przyjdzie — myślała Lina i opowiadała sobie najładniejszą bajkę.

A tamta powtórzyła:

— Z całej duszy, całym ciałem...

Siedziałem zniecierpliwiony. W rękach trzymałem numer *Journal amusant*, przedemną stała szklanka czarnej kawy. W roztargnieniu spoglądałem przez zamglone okno kawiarni, przez które dzień deszczowy jeszcze smutniejszą miał fizjonomję; patrzyłem na szare sylwetki ludzi, którzy przesuwali się szybko, cicho, jak cienie w Hadesie. Zły byłem na nich, że kręcą się, niby bezduszne kółka maszyny, aż się popsują, nie wiedząc na co maszyna i dla kogo pracuje; zły byłem na siebie, że tracę tyle czasu, zamiast krzątać się, jak oni, w codziennej gorączce i bez wypoczynku; zły byłem, wreszcie, na kochanego Alfreda, który nie wiem po co dał mi tu *rendez-vous*.

— „Mam ci coś ważnego powiedzieć!“ — Z pewnością głupstwo, pisze nowy romans. Albo zdaje mu się, że się kocha w jakiejś kasjerce.

Wściekłość mnie porywa. Patrzę w drzwi i mimowoli wyobrażam sobie, jak wejdzie przez nie Alfred. Widzę jego cylinder świecący, słyszę koncept, którym mię wita, i czuję herkulesowski uścisk jego dłoni.

— Jesteś, bratku? to ładnie, pogadamy sobie trochę.

— Ach, jeżeli mi to powie, to spojrzę na niego z najgniewniejszą miną, na jaką się zdobyć potrafię.

Pocziwy chłopiec. Ci ludzie, jego gatunku, nie mają pojęcia o czasie. Myślą, że każdy taki cygan, jak oni.

Układam już sobie w głowie lodowatą odpowiedź, gdy drzwi się otwierają i Alfred wchodzi naprawdę, ale taki jakiś inny, że aż głos uwiązał mi w gardle. Blady, z oczami zamglonemi, szuka mię najpierw jak gdyby błędnym wzrokiem, choć od lat kilku na tem samem zwykliśmy schodzić się miejscu. Potem, znalazłszy mnie, kiwa tylko ręką i, milcząc, siada. Głowę podpira łokciami i patrzy na dół. Robi mi się tak nieprzyjemnie, że nie śmiem ani mówić, ani pytać; mam uczucie, że tym razem chodzi naprawdę o coś ważnego. Boję się, że coś złego, i cieszę wstrząśnieniem, jakie mi sprawi oczekiwana nowość.

— Stefan! — zaczyna ochryłym głosem.

— Co takiego?

— Mam cię prosić o małą przyjacielską usługę, zrobisz mi ją?

— Nie wiem, o co chodzi.

— Bagatela. — Jąka się. Czuję, że, jak dziecko, zabiera się do prośby, która wydaje mu się trudną do spełnienia. — Musisz mi — sekundować.

Wszystkiemu się spodziewał, prócz tego.

— Wiesz, że tego nie uczynię nigdy — zaczynam, jak mentor — a ciebie nie poznaję.

— Muszę się bić.

— Nikt się bić nie musi; cóż się stało właściwie? obraził cię jaki truteń, czy co? z kimże chcesz się mordować?

— Z kim? z Miszewskim...

Zerwałem się na równe nogi.

— Co? z jakim Miszewskim?

— Znamy tylko jednego?...

— Bój się Boga, ze Stachem? ależ to szaleństwo!  
to niemożliwe!

Patrzyłem na niego, jak na warjata, na pół nie wierząc jego słowom. Miał wypieki na twarzy, oczy mętne. Czyżby przypadkiem?...

— Alfredzie, napij się wody, albo każ sobie dać czarnej kawy, a najlepiej idź do domu i wyśpij się.

Uderzył pięścią o stół i spojrzał na mnie zmarszczony:

— Co to? masz mię za pijaka?

Zmieszałem się i milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć.

— O cóż wam poszło? — pytam delikatnie.

— O co? a kto zawsze powodem, że krew się leje, że ludzie z przyjaciół stają się wrogami, że miłość zamienia się w nienawiść: kobieta, znowu kobieta.

— Ależ człowieku, to prawie niemożliwe! Stach ubóstwia swoją żonę, stosunków żadnych nie miał i niema.

— To cóż z tego? chodzi tu właśnie...

— Alfredzie! — krzyknę tak, że aż ludzie patrzą z sąsiednich stolików — o nią? o nią?

— Tak, o Lulu.

Ręce opadają mi na kolana. Robię się sztywny, jak kawałek drewna; zdaje mi się, że śnię. Dotykam ręką stołu, szyby, wsłuchuję się w brzęk filiżanek

i wołanie kelnerów, wsłuchuję się w szmer spadających kropli, wpatruję w mgłę szarą i ciężką, która otacza domy i ludzi, i teraz, jak olów, spada mi na duszę.

O Lulu! Znaliśmy ją w naszym małym kółku pod nazwą *gamin*, nazywa ją tak nawet mąż i ona sama siebie. Niema nazwy, któraby ją lepiej charakteryzowała, albo przynajmniej określała ten dziwny wyraz jej twarzy, niby uśmiezek swawolnego ulicznika, który nad nową ciągle myśli psotą, niby trochę już zblazowany wyraz zmęczonego lamparta, którego własne zbytki już nużą. Mimo tej elegancji, którą jakby silną perfumą przesiąknięta jest cała jej postać, Lulu nie jest *comme-il-faut*; maniery jej tak lubują się w naturalności, że dziwią ludzi, którzy jej nie znają dokładniej... My lubimy ją, jak dobrego kolegę, choć nieraz dokuczy i cierpliwość naszą wystawia na próbę. Stach ją kocha szalenie i potroszę kocha się w niej z nas każdy przemijająco, gdy ma swój czas łagodny. Obchodzimy się z nią, jak z dobrym towarzyszem, z którym się wspólnie kradnie jabłka i róże z obcego ogrodu. Z wyjątkiem jednego Alfreda, który obchodził się z nią zawsze sztywno, bez najmniejszego cieplejszego, przyjacielskiego odcienia; mówił nam nawet kilkakrotnie otwarcie, że jej nie lubi i tylko ze względu na Stacha bywa w ich domu. Nie pojmowałem tego nigdy, choćby dlatego, że Lulu jest tak oryginalnie piękną. Postać ma wysmukłą, giętką — twarzyczkę zawsze bladą z lekko różowemi, wąskimi ustami; oczy są jej ozdobą największą. Wielkie, tajemnicze,

mieniające się zawsze, wiecznie błyszczące i czemś zajęte. Nad kolorem ich medytowaliśmy nieraz. Zdawało mi się zawsze, że mieniają się tak dziwnie pod reflekssem złotych, czy jasno-rudych włosów, które bujną falą spływały na jej przezroczystą szyję. Zresztą trzeba ją widzieć i żywą odczuć. Z jej włosów pociemku iskry sypać się muszą, jak u kota. Lulu ma coś kociego w sobie; nie drapie tylko tych, którzy jej imponują, albo których nie lubi; Alfreda nie drapie, bo zdaje się, że on do tej ostatniej kategorii należy. Ależ bo jak się z nią ten człowiek obchodził? Nie patrzył na nią nigdy prawie, a jeśli patrzył, to jakby niechętnie, jakby nieżyczliwie. Tak było przed kilkoma tygodniami. Potem Miszewscy wyjechali do swego *Tusculum*, a Stach zabrał go z sobą; albo się tam coś zmienić musiało, albo grali komedję, do czego zdaje mi się Alfred przynajmniej nie jest zdolny.

— Czy mógłbyś mi podać niektóre szczegóły — dać bliższe wyjaśnienia?

— Dobrze, skoro chcesz, choć to wszystko jest śmiesznie głupie. Myślisz sobie: *Gamin*, to kobieta, Stach jest jej mężem, ja biję się z nim, moim tak zwanym najlepszym przyjacięciem, a powodem jest „ona“, więc romans, nic innego. Ohydnie głupie twoje rozumowanie, a że przecie stało się coś podobnego, to przypadek. Lulu nie cierpiałem zawsze, wiesz o tem. To, co się stało, to tylko jeszcze jeden dowód degeneracji, zboczenia umysłu i nerwów tego dziwnego stworzenia *fin de siècle*, które się jeszcze z przyzwyczajenia człowiekiem nazywa. Jesteśmy czasem niby w mglistym

świecie, w którym przesuwają się jakieś niepokojące duchy. Jednym z takich duchów jest właśnie Lulu. Teraz zdaje mi się czasem, że ona nie istnieje naprawdę, że to tylko uosobienie jakiejś nieczystej siły mego ducha, która mnie zniszczy. Żebyś wiedział, jak byłem wściekły, gdy Miszewski zrobił mi ową fatalną propozycję, bym jechał z nimi! Wszystko się we mnie przeciw temu buntowało, broniłem się niby przed nieszczęściem, a przecież dlatego uściśnałem rozpromienionego Stacha i powiedziałem, że przyjmuję. Choć Lulu przy tej scenie niemym tylko była świadkiem, ją najwięcej w tej chwili przeklinałem, czułem jej koci wzrok i wyjechałem, jak warjat, ledwie się pożegnawszy. Odwróciłem się tylko, by zobaczyć, czy robi w tej chwili naprawdę tę nieznośną minę, która mi ją czyniła zawsze tak wstrętą. Czy pamiętasz jeszcze naszego Franzla z Göttingen?

— Pamiętam — potwierdzam, zdziwiony trochę tym skokiem — zbiłeś go raz w nieludzki sposób, a potem...

— A potem, gdy zaczął wyc i jęczeć, obcałowałem go i płakałem prawie z babskiej litości. Takim miękkim tchórzem byłem zawsze. Otóż widzisz, ta łajdacka, nikczemna mina biednego Franzla, która mnie zawsze do takiej pasji przyprowadzała, to ten sam wyraz, który szpeci tę nieznośnie białą twarz Lulu. Dziwisz się? Tak jest, z pewnością, wierzę memu oku, a przede wszystkim moim nerwom... Przypomnij sobie, jak obserwowaliśmy Franzla, gdy skradł nam raz cytrynę. Po każdym kąsku uśmiechał się do



następnego, a mimo to aż sami czuliśmy, jak mu to nie smakuje, i jak kwas dręczy jego język i podniebienie. Albo jak w ów dzień maltretował naszego kota, niby jeden kot drugiego. Tak samo Lulu się patrzy, gdy mówi, milczy, drażni albo obserwuje. Jakaś zmysłowość, która rodząc się, już niesmak czuje, jakaś zimna brutalność, a przytem odcień ciekawości, czy ofiara idzie na lep, czy nie.

Tej nocy nie spałem, albo męczyłem się w gorączkowych snach, w których twarz Lulu krzywiła mi się w tysiącnych minach. O drugiej zapaliłem świecę i pakowałem; potem czekałem na bicie zegara od kwadransa do kwadransa. O piątej narobiłem hałasu w domu, a o ósmej tłukłem się już w dorożce do kolei. Dzień był piękny, ale duszny, prawdziwie miejski. Miszewscy czekali już na mnie na peronie. On trochę sztywny, zdaje się z powodu mego wczorajszego zachowania. Na nią nie patrzyłem prawie.

— „Jedziesz?”

— „Jadę“.

— „Jesteś trochę blady“.

— „Pracowałem w nocy“.

— „Lulu także trochę niezdrowa, w nocy nic biedaczka nie spała; słyszałem, jak się przewracała“.

Co mię twoja Lulu obchodzi — złościłem się znowu w duchu i nie miałem nawet tyle mocy nad sobą, by wykrztusić jakikolwiek wykrzyknik grzecznego współczucia. Widziałem, że ona trzyma jakąś torebkę, ale udaję, że nie widzę. Dzwonek, krzyki i wołania konduktorów denerwowały mię do tego stopnia, że chcia-

łem już rzucić wszystko i puścić Miszewskich. Żałuję ciągle, że wtedy tego nie uczyniłem. Gdyby się tak było stało, Stach miałby mię dziś co najwyżej za warjata, w czymby się tak bardzo nie mylił, a cobym mu z ochotą przebaczył. Teraz uważa mię za kochanka swej żony, w czym się częściowo myli, a co mu w oczach moich nadaje pozór zarozumialca. Duchowo nietylko jej nigdy nie kochałem, ale samo imię jej sprawia mi już ból wielki. Jego natomiast kocham, jak brata, i wolałbym strzelać do siebie samego, albo krajać Lulu na kawałki, niż włos jeden skrzywić z jego dziarskiej czupryny. Co to za człowiek! Gdyby u mnie takie, jak ja, bywało indywiduum, zachowywało się w tak prostacki sposób względem mojej żony, nietylkobym go z sobą na wieś nie prosił, ale wyrzuciłbym je już dawno za drzwi. A on patrzy mi troskliwie w oczy, jak mąż swej histerycznej żonie, u której wszelkim chciałby zapobiec wybuchom. Udobruchał się już dawno. Wyszukał, tylko dla mnie, przedział dla palących, choć sam zapachu cygar, w przeciwieństwie do swej żony, nie znosi...

Siedzę naprzeciw nich, w próżnym zresztą wagonie, i oczekuję z niecierpliwością ruszenia pociągu. To spokojne siedzenie na miejscu wydaje mi się czemś tak okropnem, jakbym jeszcze nigdy w życiu nie siedział spokojnie na miejscu. Chcąc uniknąć rozmowy, zmrużyłem oczy i udawałem, że jestem śpiący. Gdy pociąg ruszył, rytmiczne poruszenia wagonu rzeczywiście po niejakiś czasie w kilkogodzinny sen mię wprawiły. Czułem się po nim otrzeźwiony i lekki.

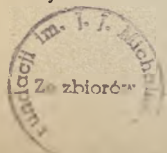
Gdyśmy kilka minut później siedzieli w cienistym ogrodzie, otaczającym willę Miszewskich, a składającym się przeważnie z cudownych wysmukłych drzew szpilkowych, których wierzchołki złociło teraz lekko zachodzące słońce, było mi tak jakoś swobodnie, czułem się tak podniecony, niby narkotykiem jakimś, że ci tego opisać nie mogę. Ten świeży, wonny oddech natury chłodził mię, rozstrojonego mieszczanina *fin de siècle*, niby łagodna dłoń kobieca, kojąca bolesny żar czoła. Wieczorem natura występuje w swej całej czystości kształtów i linii. Gdy w dzień staje między nią a nami jakieś mgliste coś, które rozprasza i zaciemnia delikatniejsze jej szczegóły i cienie, gdy w dzień zamiast się nią rozkoszować, musimy grać niby sami jakąś podrzędną, nużącą rolę, to o tej porze staje przed nami jak lza czysta; patrzymy w jej źrenice z rozkoszą, nie mrużąc oka. Tak wydawało mi się i wszystko zresztą, i ja sam, i tych dwoje ludzi, z którymi los mię połączył. Mówiliśmy tym głosem przyciszonym, jaki wyrabia pewien nastrój duchowy, pewien stosunek poufny; i z Lulu rozmawiałem po raz pierwszy swobodniej, po raz pierwszy czułem w niej żonę mego przyjaciela. Otaczał nas dziwny szmer jakiś; z tych wonnych krain, które kryją trawy i krzewy, odzywały się głosy i głosiki, nawoływało drugie jakieś życie, którego osłabione echa rozplywały się w rozszerzającej się ciemności wieczornej. Silna woń jaśminu wpływała na ten nastrój wyjątkowy, w którym znajdowaliśmy się, i nadawała mu główną barwę. Kobieta również wydaje się o wiele inną, gdy się patrzy na

nią pod wpływem silnego jakiegoś zapachu. Uczucie tej woni łączy się z wyobrażeniem jej osoby, często na wieki. Lulu wydawała mi się jakaś inna, jaśminowa. Przyniesiono lampę, przekąskę i wino. Cmy, oświetlone czerwonym blaskiem umbry, roily się niby krwawa szarańcza koło światła. Koło nas piętrzyły się ciemno-zielone ściany liści, wietrzyk podnosił różowe kłęby dymu naszych papierosów i unosił je wysoko, gdzie leżała czarna przestrzeń i mrugały srebrne gwiazdy. Wino rozpałiło mi krew w żyłach, myśl w głowie. Byłem w tym stanie podniecenia, w którym człowiek wydaje się sobie czemś bardzo wielkim; najbłahszą myśl uważa za objawienie i unosi się nad byle czem. Nie przypominam sobie, bym był kiedy równie ożywiony; mówiłem o wszystkim, rzucając najśmielsze poglądy, a jak wino, podniecała mnie coraz więcej widoczna uwaga moich słuchaczy. Stach здаwał się nieposiadać z radości, iż nareszcie raczyłem objawić lepszy humor i, jak zwykle, zachwycony był każdym moim słowem. Ale głównie zwracałem się do Lulu, która mi się wtedy wydawała poprostu inną osobą. Przyjmowałem ją bez refleksji tym razem, tak jak się wacha różę, albo oddycha wiosennem powietrzem. Wydawała mi się ogromnie inteligentną, gdy słuchała tak wszystkich moich mądrości. Głowę oparła na białej rączce i patrzyła we mnie, jak w obraz, ciekawie i z zajęciem, rozchylając lekko usta. Możesz sobie wyobrazić, jak jej złote włosy mieniły się pod czerwonym blaskiem światła, które oblewało całą jej postać. Mistycyzm, a zarazem gorąca ziemiska zmy-

słowość łączyły się w tym obrazie w coś, co było silne i porywające.

Stach spojrzawszy na zegarek, dał hasło do rozstania. Wstałem niechętnie; nie mogłem się rozstać z tą chwilą, z tym słodkim stanem duszy, o którym wiedziałem, że ucieka bezpowrotnie i dlatego właśnie chciałem go przedłużyć w sprzeczny z naturą sposób. Moje „dobra noc“ musiało dźwięczeć jak skarga za utraconym rajem. Uścisnąłem rękę Stacha, a gdy przyszła kolej na Lulu, utonąłem wzrokiem tak głęboko w jej oczach, jak poszukiwacz skarbu w łonie ziemi. A choć mnie żaden skarb nie uszczęśliwi, zdumiał mnie przecież dziwny jakiś wyraz na jej zmęczonej trochę twarzy, niby odbłysek radości, połączonej z wahaniem i niepewnością. Zwróciliśmy się ku domowi. Jeszcze jeden uścisk ręki i byłem w swoim pokoju, dokąd dolatywał mnie jeszcze odgłos oddalających się kroków i szmer cichnącej rozmowy. Pewnie mówią o mnie i dziwią się, że byłem dziś inny, niż zwykle.

Czuję, że jestem ogromnie niespokojny, zdenerwowany, spaliłem dziś za wiele towarzyskich fajerwerków. Do snu czuję się zupełnie niezdolny, chciałem coś robić, czemś się zająć, jeździć konno, albo grać na fortepianie, śpiewać albo siedzieć jeszcze dalej w towarzystwie przez noc całą, w nieskończoność. Nie myśląc nawet o rozbieraniu, zbliżyłem się do okna i patrzyłem. Księżyc był już wysoko, okrywał przyrodę chłodną, nadziemską zasłoną, poodbierał kolory światła i życia, a zastąpił je srebrem spokoju



i ciszy. — Wszystko odpoczywa. Drzewa zbliżają ku sobie blade głowy, kielichy kwiatów łączą swe miłosne westchnienia. Pójdę tam i napoję się tym spokojem, wejdę w to grono śpiących, a może i mnie ogólna cisza przyjmie w swoje ramiona.

Pocichu wysuwam się, delikatnie przekręcam klucz w zamku i idę po białym kobiercu, ostrożnie, z nabożnym szacunkiem. Czuję, że sam wyglądać teraz muszę taki blady, że sam tworzę część tego srebrnego świata i zachowuję się, jak wszystko co mnie otacza. Jestem niby lunatyk, niby duch, szukający spokoju. Biały snop światła, który ucieka przed moim cieniem i ciągnie się między zielonymi murami, służy mi za błędny cel wędrówki. Naraz wydaje mi się, jak gdyby ta mgła biała zaczęła się zgęszczać. Mam wrażenie czegoś realnego, jestem coraz pewniejszy, że zmysłami osobno ten kawałek mgły obejmuję. W istocie to postać ludzka. Słyszę kroki, a oprócz oddechu wiatru, szelest sukni kobiecej. Na głowie zbliżającego się cienia świeci się złoto, które rozplywa się w powłóczyście nitki, igra po srebrnej postaci.

— Lulu!...

Zobaczywszy mnie, Lulu staje jak wryta.

— To ty? — pyta przytłumionym głosem, takim bezbarwnym, że nie wiem, czy to „ty“ odnosić się ma do męża, za którego mnie bierze, czy może...

— Nie, to ja.

Słysząc na to wybuch śmiechu, niby głos tysiąca koboldów. Lulu chustkę ciśnie do ust i śmieje się cicho, śmieje się konwulsyjnie.

— Nie, to ja — powtarza ironicznie i uśmiecha mi się prosto w oczy. — Wiem.

Co to znaczy, że wie?

— Prawda — szepcze — słychać było, gdym wychodziła z domu?

Nie wiem, co myśleć o tem; chcę się wytłumaczyć, chcę...

— Pst! — grozi, kładąc palec na ustach — już wiem, dobranoc, do-bra noc!

I znika, jak cień, w domu, a ja łamię sobie głowę nad tem, czy śnię, czy leżę już dawno może w łóżku, czy na prawdę spotkały mię takie głupie, niewytłomaczone rzeczy. Czuję się naraz zupełnie trzeźwy, niepokój minął, a ustąpił rozmyślaniu nad tłoczącą się do myśli zagadką. Kładę się do łóżka, a rozbierając się, powtarzam mechanicznie słowa, usłyszane przed chwilą. Nagle uderza mię, jak błyskawica myśl: Ona sądzi, że podążyłem za nią z umysłu do ogrodu, że chciałem spotkać ją samą, że... Zachnąłem się ze złości i z przerażenia. Ależ to byłoby głupstwem, szaleństwem z jej strony. Wie, że jej nie cierpiałem zawsze, unikałem, kiedy mogłem, że obojętność moja stawała się nieraz podobną do umyślnej zniewagi. Ależ właśnie dlatego, odpowiada mi na to jakiś drugi głos wewnętrzny — myślała, że sztywność twoja nienaturalna, niezrozumiała dla niej, jest poprostu reakcyjnym środkiem przeciw opanowującej cię namiętności. Ona w dziecinnej pewności siebie, próżności bez granic, otoczona hołdami przyjaciół, przypuszcza tam nawet gwałtowną miłość, gdzie nienawiść szczerzy do

niej groźne zęby. A w dodatku dzisiejsze zachowanie się moje, wywołane chwilowem usposobieniem. Teraz dopiero stanął mi przed oczami wyraz triumfu na jej twarzy, wyraz jakby dziecinnej radości. Po chwilowem podnieceniu przyjdzie u mnie jutro, jak zwykle, straszliwa reakcja, a wtedy nie będę już jej tak znosił spokojnie, nienawiść ku Lulu ogarnia mię znowu, a życie z nią pod jednym dachem tem większą będzie dla mnie męką, że ciężyć mi będzie jej po-dejrzenie.

— Najlepiej wyjechać zaraz jutro z brzaskiem — myślę, zasuwając sobie kołdrę na uszy. — Ależ nie, to byłoby właśnie największą niedorzecznością, milczącym potwierdzeniem tych przypuszczeń, które roją się w jej przewróconej głowie. Muszę więc zostać, choćby mnie to niewiedzieć ile kosztować miało. Myśl nieprzyjemna usypiała mnie swą nużącą goryczą tak, jak przyjemne wzruszenie sen zwykle spędzać mi z powiek. Pragnąłem, by nieznośne jutro jak najpóźniej nastąpiło, a to pragnienie skracało właśnie tę przegrodę, dzielącą mnie od dnia i zsyłało nirwanę na zmęczony umysł i zbolące nerwy. Zasnąłem.

Rano, gdy się zbudziłem, czułem niesmak jakiś, trochę podobny do tego, jaki się czuje po nocy, spędzonej na hulance. Wybiegłem czemprędzej z domu, nie zobaczywszy się z nikim, wypilem szklanekę mleka w jakiejś chacie i przepędziłem kilka dzikich godzin w lesie i na łąkach. Wróciłem dopiero na obiad. Zmęczenie ułatwiało mi nieprzyjemne położenie, w jakim się znajdowałem. Lulu zachowywała się względem



mnie, jak zwykle, ale czułem, że śledzi mnie ciągle, że trzyma mnie i nie wypuszcza. Nie uwierzysz, jak mnie to męczyło.

Tak jak ten dzień, przeżyłem i następne, przez dłuższy przeciąg czasu. Rankiem uciekałem; przy obiedzie i potem aż do wieczora *gamin* pastwił się nademną, milcząc, i jakby bezwiednie, swym zwykłym kocim sposobem. Byłem przekonany, że wypuszcza i uważa między nami związek jakiś za milcząco zawarty i poddaje się, niby razem ze mną, przymuszonej komedji przed mężem. To ostatnie wydawało mi się, właśnie ze względu na tego idealnego i jedyne go w świecie męża, oburzającym. Mimo to działa się ze mną rzecz dziwna. Czy uwierzysz, że Lulu mnie suggestjonowała? Wmawiając we mnie wzrokiem i tysiącznemi nieuchwytnemi odcieniami postępowania, że się w niej kocham, zmuszała mnie niejako do grania przed nią komedji wzajemności, do udawania roli zakochanego. To wydaje się być rzeczą nie do uwierzenia, a przecież obserwowałem już nieraz takie paradoksy psychologiczne. Wmawiając pewne uczucia w ludzi nerwowych i wrażliwych — a któż dziś nie jest wrażliwym? — zmusza się ich do tego, żeby grali komedję wbrew własnej woli. Ona chciała mnie mieć lub widziała mnie takim a takim, widziała we mnie kochającego ją może bez pamięci: a więc pchała mnie głupia chęć jakaś, aby się przed nią takim okazać, przyjąć na siebie rolę takiego, choć nie jestem nim bynajmniej w rzeczywistości. Zacząłem powoli wpatrywać się w nią niby ukradkiem, uda-

wać tłumione westchnienia, ścisnąć przy podaniu ręki jej dłoń gorąco. A nigdy jeszcze nie nienawidziłem jej tak bardzo.

I gdym patrzył w jej kameleonowe oczy z miną usychającego z miłości, zdawało mi się nieraz, że jestem w stanie zniszczyć ją moją nienawiścią; podając jej kwiaty, pracowałem nad sobą, by nie zgnieść jej brutalnie i nie zabić... Nieraz czułem, że ogarnia mnie szła jakiś prawdziwy.

Rano, gdy Miszewscy jeszcze spali i błąkałem się samotny po świecie, były moje chwile najmilsze, jedynie wolne i swobodne. Ale i tego pozazdrościła mi moja dręczycielka. Pewnego wieczora Stach — niewątpliwie za inicjatywą Lulu — prosił mnie z całą swą rubaszną serdecznością, bym na moje błędne wędrówki brał czasem jego biednego *gamin'a* z sobą.

— Ona biedaczka tak potrzebuje ciepła i powietrza. Patrz, jaki to nędzny ten wróbel, niby to skacze i trzepie się, ale desperacko wygłada.

— Poszedłbym sam z nią, ale trudno mi się ruszyć rano z łóżka, a potem przychodzą gazety, akta; w południe mi za gorąco.

— Zresztą, ona z tobą woli — dodaje filuternie. — O ile miarkuję, jesteście teraz z sobą w niezłej komitywie.

Wydał mi się wtedy okrutnie głupi i miałem wielką ochotę wytargać go porządnie za włosy. Ale chociażbym chciał się bronić, nie znalazłbym prawdopodobnej wymówki. Niech i tak będzie — niech mnie Lulu sobą zamęczy — wszystko mi jedno.

— Możeby zaraz jutro.

— Dobrze — niech będzie zaraz jutro.

Bądź zdrowa, złota wolności. Tydzień taki może wytrzymam, potem drapnę i nie zobaczą mnie więcej.

Na drugi dzień rano Lulu czekała już na mnie w ogrodzie, ożywiona, uśmiechnięta, ale i blada, jak zwykle, ubrana w białą suknię *moiré*, z jasno-zielonemi, bufiastemi rękawami, co razem z jej rudemi włosami tworzyło charakterystyczną całość. Oczy jej wydają mi się stanowczo kocie, żółto zielone, tak wyobrażam ją sobie zawsze.

— Widzi, pan, dziś jestem wcześniej gotowa, niż pan nawet.

— Wcześniej — potwierdzam obojętnie.

— Pójdziemy na Czerwoną Ścianę.

— Będzie to trochę za uciążliwe dla pani.

— Nic nie szkodzi.

— Dobrze, nie moja będzie wina, gdy się pani zmęczy.

— Idziemy. Słońce po chwili zaczyna już palić a ja wszystko znoszę, prócz słońca, jestem więc zły jak sto djabłów.

— Czuję, że ciągnę coś za sobą na sukni — skarży się po chwili Lulu.

— Tak? — nie może być...

— No, schylże się pan z łaski swojej i odczep mi ten chwast, czy cierń jakiś.

Schylam się, myśląc nad tem, że zaczyna się już próba ogniowa. Staje mi przed oczami głupi amant

z romansu. Naturalnie, to odczepianie bodiaka z sukni ma mi robić ogromną przyjemność, mam być odurzony „wonią jej ciała“. Nieznacznie popadam znowu w moją przymusową komedję. Prawię jej utarte komplementy, rzucam urywane słówka, a kosztuje mię to więcej, niż kiedykolwiek.

Słońce coraz więcej praży. Biegnę, by dojść prędzej do celu i mękę sobie skrócić. Droga idzie pod górę, widzę, że Lulu zmęczona, nie czerwona, ale bledsza, niż zwykle, jeżeli nie każe mi iść pomału, to tylko dlatego, że ją moje androny więcej obchodzą, niż wszystko zresztą. Stąpamy ciągle po kamieniach, koło nas leżą bryły ogromne, brązowe i szare, czarne i czerwone. Gdybym był sam, czuję, że to kamienne morze podobałoby mi się niezmiernie, teraz zdaje mi się tylko, że każdy z tych kamieni przygniata mię swoim ogromem i pali żarem, który zeń bucha. Wstępujemy na drogę szeroką i wygodną, ale wspinającą się stromo ponad skałą, którą z powodu jej ceglastej barwy „czerwoną“ nazwano. U stóp jej przepaść. Nigdzie nie widać świeższego, soczystego koloru, nie widać źdźbła trawy, wszystko kamień, ale gra on całą gamą odcieni i barw. — Lulu chwyciła się za piersi i staje.

— Nie mogę już... stójmy.

— A widzi pani.

— Cóż pan chce? jesteśmy na Czerwonej Skale.

— Wolalbym być w piekle, moja kochana — myślę — niż z tobą na tych głazach, które mię tak gniotą, jak twoja obecność. Czuję sam prawie, jak ją

w piersiach kłuć musi. Oczy ma zmęczone i małe usta otwierają się do trudnego głębokiego oddechu. Pomimo to nie czuję litości. Wiem, że jestem okrutny, wiem, że z mojej przyczyny tak się zmęczyła; może zachorować, taka jest delikatna, a przynajmniej wszystko w niej jest delikatne. Ale czy nie triumfuje? czyż nie cieszy się w tej chwili, że mnie pokonała, czyż nie zdaje jej się, że leżę już u jej stóp i będzie po mnie mogła deptać? Próżność kobieca w najszkadzniejszej formie: nie kocha mnie, ale mdleje ze szczęścia, że ja zdaję się ją kochać szalenie. Niech cierpi choć fizycznie, niech umiera nawet. Gdy popatrzę w jej twarz, nienawiść nie pozwala mi na iskrę litości.

*Gamin!* igrasz ze mną, lekceważysz mię, myślisz, że lalka, a ja mężczyzna dumny, mężczyzna, który zgnieść cię potrafi, zgnieść nawet moralnie. Czekaj; zbiczuję cię jednym słowem krwawo, gdy woła mię odstąpi, gdy nienawiść weźmie górę nad przymusową rycerską grzecznością! Ach to słońce! swym żarem odbiera mi ten ostatni zapas woli...

Ona wyjmuje różę białą z za gorsu i bawi się nią, pochylona nad przepaścią, uśmiecha się przytem nieznacznie. Róża ślizga się tu i tam w jej przeźroczy-  
stych palcach... drga listkami... traci równowagę... spada, niby śnieżny płatek i zatrzymuje się kilka stóp w dole na wystającym skalistem urwisku.

— Oh! niech pan patrzy! — woła niby z przestrachem — zgubiłam różę, nie ma już mojej róży.

— Wielkie nieszczęście!

— Wie pan — mówi dalej drżącym głosem — co robi rycerz, gdy dama jego straci kwiat swój ulubiony?

— Na szczęście, nie jestem tym rycerzem — syczę z rozdrażnieniem. — Na twarzy jej maluje się tylko zdziwienie, nie rozumie mnie jeszcze. To wprawia mnie prawie w szal, w pijaństwo gniewu, czuję, że tama się przerwała, że coś strasznego dzieje się ze mną, że krew bucha mi do głowy.

Słowa straszne, okrutne, słowa obelgi wyrwały mi się, jak huragan, z drżących ust, zapominam, że mówię do kobiety, zapominam, że mówię wogóle do kogośkolwiek, upajam się z rozkoszą własnym gniewem, nieprzytomny prawie z tej rozkoszy... Skończyłem, wypowiedziałem wszystko i trzęsę się jeszcze jak wysiłony sybaryta po namiętnej orgji. Teraz chcę się nasycić widokiem tego, czego dokonał. Lecz gdy spojrzałem na nią, doznałem niby uderzenia nożem w samo serce.

Stefanie! patrz, jeszcze teraz płaczę, łkam, jak dziecko, gdy sobie ten okropny wyraz jej twarzy przypominę. Niby umarła, niby oczy jej zgasły na wieki, z twarzy jej zniknęła ta wiecznie niespokojna i szukająca czegoś gorączka, tak, jak namiętność zastygła w zimnym uścisku śmierci, usta jej białe, konwulsyjnie zaciśnięte, po twarzy płyną łzy wielkie. Tak, jak pierwaj gniew, tak teraz litość — co mówię, więcej niż litość — porwała mię gwałtownie, jakiś pociąg rozpaczliwy do przedmiotu, który tę litość we mnie rozniecił.

— Lulu! — chwytam jej ręce, klęczę u jej stóp,

całując jej stopy. — Lulu, depcz mię, zrzuć mię z tej skały, słyszysz? ja twój niewolnik, ja cię kocham szalenie... nikogo, tylko ciebie, zbudź się luba, patrz na mnie... Boże, Boże!... płakałem, jak dziecko, gwałtownie, ściskając ją w ramionach.

— Lulu! patrz na mnie — szepcę namiętnie, trzymając jej główkę w mych rękach — już wiem, co robi rycerz, damo moja, słodka, najdroższa, wiem co robi rycerz.

Jak lunatyk chwiejny, zsuwam się po ostrych kamieniach, obejmuję skały uściskiem, nie czuję śmierci, która na mnie czyha. Anioł jakiś, zdaje się, czuwał wtedy nademną, krwawię sobie rękę, ale mam ją... całuję każdy listek — patrz! jest... widzisz, przynoszę ci ją... twoją różę.

Jej twarz mieni się, walczy z przerażeniem, ale wnet już każda jej łza uśmiecha się. To dawna Lulu. Jeszcze do mówienia niezdolna, bierze tylko obie moje ręce i pocałunkami ciepłą krew zmywa. Gdy widzę jej uśmiech, litość mija bezpowrotnie, ale pięknej kobiety nie ściska się bezkarnie, tem mniej, jeżeli się jej nienawidzi. Stefanie, nie wiesz, jak w takich chwilach, to właśnie sprawia nam rafinowaną rozkosz, co nas dręczy, gdy ciało pokona duszę, mści się nad tem wszystkim, co z duszy pochodzi. Z namiętnością całowałem te oczy, w które bez moralnego bólu patrzeć nie mogłem, piłem miód z tych ust, których widok goryczą mię przepelniał. Wróciłem z nią do domu pijany i odurzony.

Cóż ci więcej powiem? Stach zastał mię wieczorem

na tem samym miejscu, gdzie przepędziliśmy ów pierwszy wieczór, u stóp swej żony.

Teraz bądź zdrow. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Prosiłem cię, żebyś mi sekundował, nie chciałeś. Znajdę kogo innego... bądź zdrow. Gdyby Stach mię zabił, to powiedz mu, że mu za to bardzo jestem wdzięczny, i że go kochałem, jak brata, niecierpiałem tylko jednej osoby: jego żony... Lulu.



## I

Rozweselili się, gdy siedli na oświetlonej werandzie „pod Przepiórką“ i wszystkie twarze były uśmiechnięte; działało tak na nich może światło samo, po dwugodzinnej wędrówce w ciemności. Ożywione, choć zmęczeniem zamglone jeszcze, oczy, wodziły wokoło z jakimś pożądaniem ciepła i blasku. Mimowoli każdy spoglądał co chwilę na Dorę. Matka, kobieta starsza, tuszy pełnej, o siwych jak mleko włosach, oczach niebieskich, które spoczywały z jakimś wyrazem łagodności i słabości na córce, radowała się jej wdziękiem, dziwnym wskutek zmęczenia w twarzy i jakby gorączki w przyćmionych, czarnych oczach. Doktor, mężczyzna, zbudowany silnie, o twarzy szerokiej, zarosłej nierówno, oczami, widocznymi tylko w kształcie błysków z poza okularów, patrzył na Dorę, jak dawny przyjaciel i lekarz rodziny; czerwone, grube jego wargi uśmiechały się jak do dziecka. Inaczej pan Henryk.

Nazwiska jego nie wymawiano nigdy. Z rodziną przez te trzy lata, które przepracował w komptoarze, żył się tak, że przyzwyczajono się do niego, jak do czegoś, czego się potrzebuje codzień, i codzień ma na

zawołanie. Nazywano go dzieckiem, choć wiekiem dawno już był mężczyzną. Dziecinnie szczerą fizjonomją, prawie śmiesznie szczerą; w niebieskich oczach, na gładkiej, różowej twarzy odbijało się wszystko. Rudy był — wada, którą mu jednak, jak utrzymywał doktor, poczytywała panna Dora za przymiot; prześladowano ją tak tem rudem dzieckiem, że cudem zdołała prawie zachować koleżeńską swobodę wobec młodego, niebrzydkiego zresztą człowieka. Ujmujący wyraz nadawała twarzy Henryka prawość, jakaś skrupulatna prawda, łącząca się niekiedy z pewną jakby podejrzliwością; często wśród swobodnej rozmowy milkł nagle i spoglądał na kogoś z podębła.

Teraz patrzył na Dorę. Z natury dość zmysłowy, posiadał pewną skłonność do nadawania wszystkim swoim, choćby bardzo ziemskim uczuciom, wobec siebie samego barwy idealnej, nad którą się unosił. Zwyczajła bladeść twarzy Dory, przechodząca w lekki ton złotawy, a nadająca jej wyraz subtelnej dystynkcji, drażniącej zmysły, jak zakazany owoc, działała na jego instynkty, niby słodczy mleczna, mdła a silna; zdawało mu się, że cały ten czar płynie dlań tylko z jej czystości dziewiczej, z jej duszy anielskiej. Wierzył, że w oczach jej czarnych zachwyca go tylko melancholijna trochę powaga, nie opuszczająca jej nawet w chwilach wesołości, skutkiem jej niezmiernie wrażliwej, myślącej natury. Kochał jej włosy ciemne i suche; patrząc w rozpromienione nitki na przejrzystej skroni dziewczyny, przypominał sobie typ Dolorozy, na której czole pukle takie grają jakąś pieśń smutną.

Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak silnie pociągają go przy tem wszystkiem pełne i miękkie kształty postaci, jej ruchy senne, cała ta nieświadoma siebie kokieterja ciała kobiecego.

Dora poczuła wzrok jego i ruszyła nerwowo głową; po chwili spojrzała mimowoli na niego, poczem zarumienili się oboje.

Zaraz potem poczęła żartować z doktorem, a Henryk schował twarz w wielkim bukiecie dzwonków, bławatków i maków, z których wiała mu jeszcze wieczorna przechadzka. Odurzył się tą zebraną wonią pól i czuł znowu ubiegłe tak niedawno chwile, czuł przedziwny rytm przechadzki w mroku obok ukochanej kobiety; wszystko, co się wznosiło do niego z traw i z ziemi, czuł, jakby szło od niej, z fałdów jej szeleszczącej sukni. Że przedstawiała mu się tak ciemno, że odgadywać ją dopiero musiał, czyniło mu ją podwójnie drogą. I czuł znowu, jak barwne wspomnienie, to sine, zgasłe sklepienie nieba, które jak morze działa na duszę, choć się w nie nie patrzy. Przesuwały się przed nim wszystkie gasnące światła owej chwili, puszyste chmurki, gorejące przed nimi, cudaczne kształty wierzb nad drogą, tajemnicze szmery wieczoru, łączące jak wspólna modlitwa wśród głębokiej ciszy.

Podniósł znowu oczy i ujrzał się w wyspie światła, płonącej w nocnej czerni lasu. Otaczał go światek lamp miejskiej cywilizacji; na dole, pod werandą, w improwizowanym ogródku, stoły okryte białymi obrusami, przy nich gdzieniegdzie szare gromadki,

miejskie fraki kelnerów, rażące na zielonem tle, przesuwały się szybko, szklanki dzwoniły, z półmisków wznosiły się ciepłe zapachy w górę, w żywy rozgałęziony dach, którego liście wydawały się sztuczne, papierowe, pod wpływem światła lamp z dołu.

Tak — pomyślał, gdy oprzytomniał — skończyło się coś bardzo słodkiego, i kto wie, czy powróci? Ujrzał koło siebie twarze, oblane ciepłym tonem, zadowolone, wypoczywające, a wśród nich znowu twarz Dory. Nigdy nie byłem tak ciebie bliski — mówił do niej myślą, całując niby wzrokiem jej rysy łagodne, rysy Madonny z obrazu Belliniego — nigdy nie miałem tak ciebie, jak przed chwilą; szkoda! Przypominał sobie codzienny ich stosunek, który znów zapewne wróci. Nie był to nawet stosunek brata z siostrą; brakło czegoś do tego — może ciepła? — Tak, może ciepła... Darmo, była córką jego przełożonego, przewyższała go zresztą we wszystkim, ona, taka mądra, piękna... Przewyższała go zanadto... Powtarzał to sobie nerwowo; naprzód ze smutkiem, potem wpatrując się w jej twarz, powtarzał to już mechanicznie, a ogarniało go jakieś silne, namiętne pragnienie. Czasem myślał: ty moja, ty moja... i rozpałało go to, jak wino, które pił, a które nigdy nie działało na niego tak silnie, jak w tej chwili. Gdy się poddawał temu uczuciu, nie myślał już nic. I począł rozmawiać głośno. Aż Dora spytała:

— Czy długo jeszcze do pociągu?

Doktór spojrział na zegarek:

— Dobre pół godziny.

Ojciec umówił się z rodziną, że przybędzie za nimi pociągiem wieczornym, gdy pokończy swoje interesy w mieście. „Przepiórka“, drewniany dom szwajcarski, urządzone jak hotel, choć zewsząd otoczony dzikim lasem, służyć im miał za punkt zborny i nocleg. Stał nad samą drogą kolejową, która przerzynała las o kilka kroków za domem. Na drugi dzień projektowano stąd wspólną wycieczkę pieszą.

— Za pół godziny! — pomyślał Henryk niechętnie. Wolalby, żeby pozostali tak, jak dotychczas. Wiedział, że potem będzie skrępowany, nie będzie już miał jej tak blisko. Myśl ta była mu jeszcze nieprzyjemniejszą, gdy przypomniał sobie, że z ojcem Dory przyjechać ma dawny jego znajomy, jakiś profesor z bardzo znanem nazwiskiem. Każdy nowy mężczyzna, który zbliżał się do Dory, przejmował go nieufnością; ten szczególnie, bo zdawał się być oczekiwany niecierpliwie, z ciekawością. Myśl o tem męczyła go tak, że sam rozpoczął rozmowę o profesorze, udając radosne oczekiwanie. — Erhard? to podobno historyk; czytał o nim tyle razy w dziennikach, tyle razy...

Potem wszyscy mówią o nim; doktor, który go zna, opisuje go, chwali... Chęć zbliżenia się uczonego do rodziny kupieckiej, wydaje się pochlebnią dla wszystkich. Henryk słyszy tylko dźwięki tego wszystkiego i patrzy na Dorę, która, oparta i przechylona w tył, siedzi ze spuszczonemi oczyma, odpowiadając niekiedy, jakby bojaźliwie, pytając na jego spojrzenia, uporczywe i namiętne. Chciałby z nią być sam przez chwilę, szepnąć jej... powiedzieć... spytać, sam nie

wie co... Naraz przychodzi mu coś do głowy. Z nienaturalnym spokojem pyta Dorę:

— Nie wyjdzie pani naprzeciw ojca?

Ona spojrzała na niego wielkimi oczami.

— Wcześniej jeszcze...

— Nim dojdziemy do stacji...

Doktor zrobił ruch, jakby chciał pomóc Dorze do wstania. Ale młodzi wstali już, gotowi do nocnej wycieczki.

— Gdyby najbliższym pociągiem nie przyjechał — upomina matka — nie czekajcie, broń Boże, do następnego!

— Nie. Może pójdziecie państwo z nami?

Henryk poparł wezwanie Dory nieszczerym gestem. Ale sędziwa pani, która oburzyła się na samą myśl o chodzeniu, rzekła głosem, pokrywającym ziewanie:

— Idźcie sami, jeżeli będziemy doktora tak męczyli, to nie pójdzie już nigdy z nami.

Młodzi zeszli z werandy. Weszli w szeroką, ciemną aleję, wyciętą w lesie, prowadzącą do dworca. Henryk pomyślał, że idzie z nią zupełnie sam, że idzie z nią sam, w nocy. Droga wydawała mu się jakąś jedyną drogą, po której się płynie. Starał się uprzytomnić sobie jak najwyraźniej chwilę obecną, aby użyć całej jej słodyczy. Wsłuchiwał się w szmer, który mógł być oddechem Dory. Podał jej ramię, a gdy wsparła się na niem, szepnęła:

— Jakim ja szczęśliwy!

Dora, rozmarzona, milczała, nie mając siły na trze-

żwy swój śmiech, jakim zwykle witała podobne wylewy uczucia towarzysza. Milczenie to sprawiło na nim nieledwie wrażenie gorącego wyznania. Spokój nakoło śpiewał mu prawie; tam w czarnej gęstwinie, na pustej drodze, wznoszącej się w białym świetle, milczało wszystko, jak Dora. Rytm kroków mówił coś w noc ciemną, co szeptało potem dalej i gubiło się w krzewach, gałęziach, powietrzu. — Jesteśmy sami i razem — czuł. Czasem zatrzepotało, zaszeleściło coś w liściach, jakiś ptak, albo nietoperz... Dora opierała się wtedy silniej na nim, schylała głowę, tak, że jej włosy go muskały. Uczuł dreszcz jakiś, który płynął po całym ciele; stawał nogi, jak pijany.

Zielone i czerwone światła zaczęły już migać przed nimi; ostry zapach kolejowy mieszał się z wyziewami śpiącej zieleni i późnej nocy. Potem słyszeli drgające dzwonięcie z dworca.

Na peronie było pusto. Jakby we mgle, świeciły słabym blaskiem dwie latarnie. Usiedli w ciemnym kątku peronu, osłoniętym winem. Za chwilę zbliżył się do nich jakiś człowiek z czapką na oczach i latarnią w ręku, mrużąc niewyraźnie pozdrowienie.

— Piękny czas — zaczął rozmowę.

— Piękny — powtórzył Henryk drżącym głosem; czekał z dziwną niecierpliwością, aż ten człowiek sobie pójdzie.

— Państwo na wycieczce?

— Na wycieczce — odpowiedział szorstko i nerwowo. Zdawało mu się, że i Dora chce być z nim samą, że czekają razem na jakąś dziwną chwilę. To

pragnienie ogarnęło go tak, że drżał cały. Naraz byli sami, a potem on nie wiedział, co robi.

Nachylił się ku niej i obejmując ramię szeptał:

— Gdyby pani wiedziała... Doro, gdybyś wiedziała, co ja...

Nie słyszał nawet i nie rozumiał swych słów. Po-tem objął ją w pól i przycisnął do siebie.

— Doro!...

Czuł, że ciało jej drga całe, spojrzął na nią i widział jej oczy, jakby senne, twarz bladą, a usta zaciśnięte.

— Ja ciebie kocham... ty moja...

Ona, jakby cierpiąca, przechyliła głowę w tył, potem schyliła się na jego ramię. Henryk poczuł na piersiach ciężar jej ciała, a gdy zobaczył odsłonięty biały kawałek szyi, począł nagle ustami swemi jej ust szukać...

Naraz Dora spojrziała ku niemu. Oświetlona, mig-nęła jej na chwilę twarz jego gładka, jakby gorąca twarz dziecka; bez zarostu, otoczona rudym włosom. Wzdrygnęła się raptem i, wrywając się szybko, wyprostowała się i wstała.

Jednocześnie prawie rozdarł ciszę przeciągły świst lokomotywy. Zerwał się wiatr i podniósł lekki kape-lusz Dory, która poprawiała go, odwrócona tyłem do Henryka. Potem posunęła się naprzód, gdy wagony przesuwały się koło niej, a Henryk stał jeszcze oszołomiony, patrząc na nią nieruchomym wzrokiem.

Gdy Henryk po chwili podawał rękę ojcu Dory, drżał jeszcze cały.

— Doro, przedstawiam ci profesora Erharda.



Niewielki mężczyzna o czarnych faworytach i wąsach skłonił się jej żywo.

— Cieszę się bardzo, że mogę poznać pana — mówi Dora tonem tak swobodnym, że Henryk pyta się, czy to wszystko, co minęło, nie było snem tylko. Językiem dotyka ust swoich, które są spieczone, jakby były na nich jeszcze ślady szczęścia, które go spotkało.

Profesor idzie naprzód z Dorą, rozmawiając z nią wesoło, Henryk idzie z tyłu ze swym przełożonym, który opowiada mu coś o interesach; na twarzy jego błąka się uśmiech senny. Ma teraz uczucie, że nie używał owej chwili. Trzeba było myśleć wtedy o tem, że to jej usta, że to ona... Ale to był może początek; potem musi przyjść wielkie szczęście. Robi mu się gorąco i napada go wesołość szalona, która mu kipi aż w końcach palców.

Przyszli do restauracji; nastąpiły witania i przedstawienia. Gdy Henryk siedzi znowu przy oświetlonym stole i wśród ożywionych twarzy, ogarnia go nagle pewność swego szczęścia. Nie boli go to, że Dora śmiejąc się, rozmawia z nowym przybyszem. Na szczęście, jakby ta Dora była już jego i jakby żaden w świecie mężczyzna nie mógł mu jej zabrać. Patrzy na profesora i obserwuje go spokojnie, z ciekawym uśmiechem, jak wszyscy.

Ten profesor sprawia przedewszystkiem wrażenie człowieka, który chce odpocząć pełną piersią, a który umie to robić tak dobrze, że godzinami może być dzieckiem. Praca, myśl przetrawiona, wryła mu się prawie we wszystkie rysy jego twarzy. Leżała chmurą

na jego czole i nadawała trzydziestokilkolcletniemu mężczyźnie pozór jakiejś przedwcześniey starości, ale jasne spojrzenie, pogodny uśmiech na ustach oświetlały to wszystko świadomą siebie, zadowoloną siłą. Ruszał się dziwnie zamasyście, a wszystko w ruchach tych było ciężkie, szerokie. Gdy siada przy stole, śmieje się, jakby bez powodu, z samey tylko uciechy, ręką zagarnia włosy, a potem mówi ciągle, prawie ciągle do kobiet i żartobliwie. Ręką małą, wychuchaną suwa szybko po czole wysokiem, poprzerzynamem wzdłuż i wszcz różnemi kreskami. We wszystkim co mówi, skacze jakaś wesołość rubaszna, jak wakacyjna pustota szkolnego dzieciaka. Humor jego prawie banalny, prosty, wydaje się tylko śmiechem wyswobodzonym; tkwi w tem jakiś nieświadomy komizm, tem bardziej, że wyrazy wszystkie wymawia prawie rażąco czysto, po książkowemu; ma się niby wrażenie naiwnego prostaczka i uczonego jednocześnie.

Po krótkiej chwili stał się punktem środkowym małego towarzystwa. Czar jego był niewysłowiony; polegał może właśnie na kontraście w osobie tego człowieka. Najbliższy żart jego działał jak najpiękniejszy błysk ducha, w rubasznem jego, obcesowem obejściu kryła się dziwna dystynkcja.

Ojciec Dory narzekał, że profesor zanadto pracuje i że powinno się uważać za cud, że udało się wyciągnąć go z miasta.

— E, co tam! — obruszył się uczoney. — Praca mnie nie strawi, bo praca to moje życie. Niema jak praca. — I uśmiechał się z chłopską niemal dumą i za-

cierał ręce; zdawało się, że to mówi człowiek, który przez dziesięć godzin z rzędu ciosał kamienie.

Henryk, rozmarzony, otulony niby w usypiające, ciepłe zadowolenie, przyjmuje w siebie wrażenia łatwiej może niż zwykle, ale z tępszą, zaraz kapitulującą refleksją. Widzi profesora i Dorę, jak harmonizują z sobą wyrazem twarzy i uśmiechem i nie niepokoi się wcale. Przedewszystkiem zdaje mu się, że Dorę posiada już wyłącznie, a potem sposób, w jaki profesor traktuje jego ukochaną, wydaje mu się śmiesznie ryzykownym, nieprowadzącym do niczego i nieszkodliwym. Sam przyzwyczajony mówić do swego ideału na klęczkach, jak do królowej, nie rozumie wprost sposobu, w jaki obchodzi się z nią ten czarny profesor. Mówi on, jak do jakiegoś maleńkiego stworzenia, z takim uśmiechem, schylając się przytem, jak matka do dziecka — ledwie że nie zmienia głosu pieśczośliwie. — Gdy ona coś powie, on śmieje się, jak do szczebiotu ptaka.

Henryka dziwi z początku, że Dora godzi się z tym sposobem traktowania siebie, że przyjmuje to tak mile, z takim poddaniem się. Ale naraz przychodzi mu myśl, że to ona udaje tylko dziecko, gdy on był dzieckiem tem większem, bo ją to bawi. I Henryk cieszy się tem spostrzeżeniem; nie spuszcza wzroku z Dory. Wydaje mu się, że na jej ustach leży ten sam wyraz, jak gdy rozmawia z swą małą siostrzyczką. W jej stosowaniu się do „baby“ jest wtedy więcej słonecznego uśmiechu, niż w dziecku samem.

Cieszy się Henryk trafnością swego sądu. Oczka

jego małe już bardzo błyszczą, jak dwa szkiełka, pod rzęsami, na ustach błąka się nic nieznaczący uśmiech; myśli, że jest wcieloną ironją obserwatora.

On sam przecież zna Dorę najlepiej. Chciałby posłać jej spojrzenie, ale to mu się nie wiedzie; Dora nie patrzy na niego, udaje pewnie, że go nie uważa — tak, wobec innych! Nie mogąc porozumieć się z nią wzrokiem, ogarnia okiem całą jej postać i czuje ją już jako własność. Patrzy na nią, jak na ową poważną Dorę, a jako drażniący kontrast czerwienią mu się jej usta, których wilgotne ciepło czuł jeszcze; wprawia go to w odurzenie zmysłowe.

Powszechna rozmowa przechodzi w stan jakiś powolniejszy; usta poruszają się leniwiej, uśmiech przypomina ziewanie. Siedzą już sami prawie; na dole tylko jakaś para przy kuflu piwa, tuląca się do siebie, usypiająca już samym swym widokiem, szepcze, jak słabo tykający zegarek... Kelnerzy, rozpierający się po próżnych krzesłach, patrzą, jak psy głodne, oczami wzywając prawie gości, aby sobie spać poszli.

Milcząc, podążyli wreszcie sennym krokiem do hotelu. Na dole rozpoczęło się dzielenie towarzystwa przez portjera, który wyznaczał apartamenty.

Nie wiedząc jak, lub czy wogóle się pożegnał, Henryk znalazł się naraz w przeznaczonym dla siebie pokoiku na poddaszu. Tu, zdejmując suknie, śmiał się głośno z siebie, bo było mu tak dziwnie. W głowie poczęło mu się naraz kręcić. Na oknie szeleściła i rysowała się gałązka bzu, poruszana wiatrem. Książec oświetlał wszystko. Poczul pokusę, aby otworzyć

okno i uczynił to z zadowoleniem, jakby gasił pragnienie. Potem, rozbierając się dalej, przedsięwziął sobie, że w łóżku do snu myśleć będzie o tej scenie na dworcu.

Ale gdy się położył, zasnął, nie doszedłszy w myślach do dworca. W pokoju było cicho, tylko gałązka bzu szeleściła, poruszana wiatrem i posrebrzona promieniami księżyca.

## II

„Zdziwisz się pewnie, moja droga Maryniu, gdy otrzymasz ten list. — Dora! Tak Dora, która ma zapewne lepszą pamięć niż ty... Założyłabym się, że nie wiesz już, o czym mówiłyśmy pewnego pięknego wieczoru przed laty. Myślę o tym wieczorze czerwcowym, ostatnim, jaki przeżyłyśmy razem na pensji.

Na niebie było dużo gwiazd, w powietrzu wiele zapachu lipowego kwiatu, a my byłyśmy obie w jakimś uroczysto tkliwym usposobieniu. Mówiłyśmy o życiu, które czeka nas za murem klasztornym, mówiłyśmy o naszej przyszłości, to znaczy: mówiłyśmy o miłości i mężczyznach.

Skąd mi to przyszło na myśl, dlaczego piszę o tem do ciebie? Dlatego, że... Maryniu, zdaje mi się, że Kocham...

Opowiem ci wszystko — przedtem jednak przypomnij sobie, com ci mówiła o moim ideale. Szczycę się tem, że zapatrywania moje nie zmieniły się w niczem. Mówiłam ci, że potrafiłabym takiego tylko ko-

chać mężczyznę, którego wyższość nad sobą czułabym pod każdym względem. Trzymam się tego, badam to z bojaźliwą prawie skrupulatnością w człowieku, który kiedyś może być moim mężem. W każdym słowie, które wypowie, w każdym jego spojrzeniu, choćby tem — ciepłem, pieszczącem, miłosnem — a nawet głównie w tym wzroku miłosnym.

Miłość, to rzecz niezbędna w małżeństwie. Wierzę w to, jak w ewangelję, choć urodziłam się w ostatniej części dziewiętnastego wieku, a może właśnie dlatego. Zdaje się, że się teraz przychodzi już z dojrzałą głową na świat i czuje w sobie życie wcześniej, nim się jeszcze żyło naprawdę. Czy dlatego może matki nie chowają już przed nami książek, prowadzą nas do teatru i t. d. Nie wiem; nie chcę przed tobą pozować na mądrość, ale zdaje mi się, że w tem całym prowadzeniu nas i także w opinji męskiej o nas, leży jakieś niesłychane *qui pro quo*, którego nie umiałabym wyrazić. Ale... mówiłam ci o miłości, i mówiłam ci, że wydaje mi się ona niezbędną.

W tym względzie jednak czuję w sobie dwie siły przeciwne. Nie mogę wyobrazić sobie życia obok człowieka, którego kochać nie byłabym w stanie; jednak ilekroć wyobrażę sobie mężczyznę, klęczącego u stóp moich, patrzącego na mnie owym wzrokiem, w którym mieści się coś dzikiego prawie, czuję wstręt nieopisany. A propos tego, dam ci dowód zaufania, zwiierzając ci się z pewnej rzeczy, której nie opowiedziałabym żadnej innej kobiecie. Przedemną klęczał już raz tak mężczyzna i nietylko patrzył na mnie, tym

wzrokiem, ale... pocałował mię, objął w swoje ramiona, tak, że czułam jego gorący oddech, drganie jego piersi... Ja sama rzuciłam mu się prawie na szyję; i tym mężczyzną — nie był mężczyzna, tylko nasz Henryk. Przeczytasz to co najmniej z politowaniem dla mnie... Nie wiem już, jak się to stało, dosyć, że się stało; i dodam ci tylko tyle, że było to na wycieczce i że było parno, ja byłam odurzona trochę wiosną, oszołomiona zmęczeniem, rozgrzana winem. Przykro mi, że muszę go teraz nie cierpieć, choć nieobecnego. Dostał jakąś posiadłość w Wiedniu, gdzie ma pono korzystniejsze widoki. Gdy odjeżdżał, miał łzy w oczach, a gdy podawał mi rękę, byłam dla niego na chwilę szczerze dobrą i życzliwą. Oszukuję go mimowoli, nie rozmówiwszy się z nim na serjo; to dziecko myśli, że może się teraz spodziewać więcej, niż przedtem, a nie wie, że dzieli nas teraz więcej, niż świat cały, bo mężczyzna, którego kocham... Na tamtego nie mogłabym nawet patrzeć bez odrazy. Wiele może w tem względem niego niesprawiedliwości, ale dotknął mię człowiek, którego nie kocham, nienawidzę wstydu mojego, a tem samem Henryka. Jakie szczęście, że sobie pojechał. Lubiłam go do niedawna, był, jak rekreacja po ciężkich myślach i mądrej książce. Teraz wiem, że lekceważyłam go zawsze. Płaszczył się przedemną, gdybym mu była kazała, leżałby przedemną w błocie.

A teraz powiedz, czy to nie ironja losu, że na tej samej wycieczce, tego samego wieczoru, po owej hańbiącej scenie z Henrykiem, którą czuję tylko jak go-

rączkowy sen letni, a która gra w życiu mojem mniej więcej taką rolę, jak w wielkiej przyrodzie gnom górski, śmieszny, garbaty — czy to nie dziwne, mówię, że wtedy właśnie poznałam człowieka, który, zdaje się, będzie mi kiedyś wszystkim.

Maryniu, żebyś ty wiedziała, co ja teraz przechodzę, ach, żebym ja sama wiedziała, dokąd mię to uczucie doprowadzi i co w sobie mieści!

Ojciec przywiózł go wtedy z sobą na wycieczkę. Profesor Erhard... Nie znasz? Ach, słyszałaś o nim, proszę cię, któżby nie słyszał. Słyszałaś nazwisko, albo czytałaś w gazetach, na okładce książki — albo ja wiem... wszędzie... Bo to jeden z tych, których część duszy ogarnia świat i nim się go pozna osobiście, wie się trochę z tego, co w sobie mieści. A gdybyś go zobaczyła, wyczytałabyś to choćby z jego czoła, z jego oka, z całej osoby. Maryniu, ja żyję teraz tem wielkiem wrażeniem, jakie wywiera na mnie jego osoba, ale gdybym miała ci go opisać, nie potrafiłabym setnej części tego oddać, co w nim widzę i czuję. Gdy ci powiem, że jest średniego wzrostu, że ma czarne oczy, wąsy i faworyty, że nie jest bynajmniej typem profesora, bo nie jest ani suchy, ani łysy, nie używa okularów, nawet czytając hebrajskie rękopisy... czy wyobrażasz sobie to wszystko? A dla mnie wszystko w nim coś mówi, wszystko znaczy, gdy go widzę, albo o nim myślę. Nieraz w myślach twarzy jego nie widzę, ale gest każdy mogłabym opisać, ton jego głosu słyszę jeszcze, różne drobnostki, różne cienie w zachowaniu się, dla innych może nie-



widoczne, a dla mnie tak ważne, że składają się na jego istotę.

Piękność leży w oczach. Bije z nich siła męska, tak wielka, że choć ma ręce jak pensjonarka, barki nie wiele szersze od moich, czujesz w nim prawie olbrzyma. Jeszcze coś, czego dokładnie wyrazić nie umiem, a co wypływa, zdaje się, właśnie z tej męskiej budowy jego charakteru. Jest dziwnie nieszczerzy, nie znaczy to, że się maskuje, nie, to znaczy, że nie rozdaje siebie, nie rozdaje wszystkiego, co ma. Czuję to i kocham w nim. Gdybym została kiedy jego żoną, zrobiłby mię może szczęśliwą połową swej duszy, drugą schowałby dla siebie, i kto wie, czy za to nie kochałabym go tem więcej. Taki Henryk, który wylewał się cały w swych wodnisto-niebieskich oczach, był mi co najwyżej tem, co jedna z was, które nosicie wszystko na dłoni; spowiadając mi się z chwilowych uczuć i wrażeń, był tak ckliwo szczerzy, jak ty i ja, gdy zwierzałyśmy sobie wzajemne nasze niemądre mrzonki.

Inaczej on. Ale on, to wogóle taka osoba wyjątkowa... Tego, co czuję, opisać ci nie mogę.

Opowiem ci, jak to wykluło się, wyrosło, zarosło całą mą duszę. W ów wieczór na wycieczce, taki pachnący, senny, wtedy zastanawiałam się już, kto to taki, dlaczego i czem mię zajął? Potem nastąpiła noc, którą, może dzięki Henrykowi, przepędziłam gorączkowo, na pół we śnie i na pół na jawie. Wszystko grało we mnie i burzyło się, nie mogłam dojść z sobą do ładu.

Zdawało mi się, że dlatego spać nie mogę, że w pokoju tłoczy się jakaś mgła księżycowa, przesiąknięta zapachem bzu... Takie to było mdłe, tak rozciągało się koło mnie i nademną, tak dusiło mię, że wstrzymywałam oddech i zdawało mi się, że polykam ciągle coś słodkiego. I czułam pragnienie świeżego powietrza górskiego. Wyobrażałam sobie szczyty alpejskie, sterczące w różowych obłokach, pokryte mchem; czułam zapach jodeł. A potem spostrzegłam naraz, że on trzyma mię za rękę i mówi coś do mnie uspokajającego. Widzę jego czarne faworyty, ironiczne oczy i z największą dokładnością deseń jego fularowego krawatu. Wszystko, co mówi, prawda... Jaka ja nierozsądna, że nie myślę o tem, że to cały mój spokój, jedyne szczęście, że on tak trzyma mię za rękę, i że ten bez, to tylko mrzonka, i że ja jestem głupią dziewczyną. On mię nauczy od jutra myśleć, bo dotychczas nie umiałam tego, ale teraz on już zawsze trzymać mię będzie za rękę. Dlaczego boję się jeszcze i cierpieć? czy to nie dosyć?

Dobrze — mówię — dobrze — i patrzę na jego fularowy krawat — tylko niech mnie nie odstąpi. Czy on się na mnie gniewa, że cierpię? Ale ja temu nie winna, tylko Henryk, a ta mgła mię męczy... Henryk dziecko? tak, ale stało się, i ta mgła i nudność zostanie...

Nie, nie zostanie! gdy mnie weźmie, wszystko będzie dobrze. — A potem mówił coś jeszcze długo aż do rana... Trzymał mię za rękę i mówił tak spokojnie, jednostajnie, miło, a mnie zdawało się, że słyszę stru-

mień, płynący po świecących kamykach. Uśmiechałam się szczęśliwie, a pierś wstrząsała mi się ciągle, jak po płaczu i drżałam jakby w gorączce.

Na drugi dzień rano, gdy słońce oblało już moją poduszkę i przez zmrużone oczy patrzyłam na tańczące w powietrzu proszki promienne, czułam się, jak po bezsennej nocy. Głowa była próżna, a choć ogarniało mię jakieś leniwe ciepło, zdawało mi się, że jestem, albo w nocy byłam chora. Ale zaraz poczułam żywe drganie w sercu, gdy pomyślałam, że go zobaczę znowu — tego ze snu. Liczyłam minuty. Ze snu, czy mrzonki nocnej, zostało mi coś jeszcze w nerwach i zdawało mi się, że dzisiaj jakiś dzień szczególny, decydujący. Gdy zejdem na dół, on mi coś powie, potem przyjdą rodzice, którzy wiedzą naturalnie wszystko— a potem... Uderzyłam się w czoło i śmiałam się z siebie; robiło mi to przyjemność, tak się śmiałam. A potem patrzyłam się w zwierciadło, bez ram, upstrzone przez muchy. Oglądałam się na wszystkie strony; potem mówiłam, gestykułując... Spuszczając oczy, uśmiechałam się kątami ust i mówiłam — do niego...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale zapewne długo, bo naraz drzwi się otworzyły i weszła matka w kapeluszu i z parasolką w ręce. — Tak się przestraszyłam, nie wiedząc, czy co widziała, czy nie. — „Co ty jeszcze!... Dziecko, wszyscy już na dole. Co za szkaradny śpioch, śpieszże się!“

Na dole przywitał mnie powszechny śmiech; czekali pewnie długo na mnie. Śniadanie, a potem w drogę przez jasne łąki i rosą ubrylantowane, ostro pachnące

lasy; ścieżki były wilgotne a ziemia, cyklameny, wszystko fermentowało po nocy świeżością. Poślizgnęłam się kilka razy po wilgotnych liściach i żółtych szpilkach, a wtedy Henryk i profesor prawie jednocześnie podali mi ramię. Wyobraź sobie, oparłam się nie na nim, tylko na Henryku. Po kilku krokach, które uszliśmy tak razem, zdawało mi się, że czuję przez chwilę, jak Henryk ramię moje silniej do siebie przyciska. Spojrzałam na niego szybko i gwałtownie, uwalniając się nieznacznie. Na kapeluszu miał jeszcze zwiędłe kwiaty, zbierane wczoraj, twarz miał nieznośnie rumianą i uśmiechał się, nie wiem dlaczego... Te kwiaty bolały mnie prawie, tak mi były niesmaczne. Czy miałaś kiedy to denerwujące uczucie, gdy po balu, w gorące południe, zobaczyłaś przypadkiem na swej toalecie bukiet z wieczoru. *Mal des cheveux* wtedy najnieznośniej się czuje. On cały był mi takim bólem, takim niby ostudzeniem. Kiedy nie myślałam o śnie swoim, to czułam go jeszcze w całym ciele i zdaje się, że on mi odebrał wszelką słabość do bzu— i Henryka...

Musiąco coś w oczach moich być z tego snu, bo w najobjętniejszych rzeczach, które mówiłam z profesorem, leżało jakieś ciepło serdeczne. W postępowaniu jego ze mną zauważyłam od dnia poprzedniego zmianę, której dokładnie określić nie mogłam. Nie raz, gdy patrzył na mnie swemi wielkimi oczami, zdawało mi się, że go coś zastanawia we mnie, że nad czemś myśli.

Spytałam go, czy jest muzykalny.

Odpowiedział, że nie gra na żadnym instrumencie. Ale rozumie, lubi muzykę, a słuch ma bardzo wrażliwy.

— Ach, jeśli tak — pomyślałam sobie — jeśli rozumie muzykę, to wie, co gra mój głos, gdy mówię do niego. I starałam się uważać na ton mego głosu, aby nie usłyszał w nim jakiegoś kompromitującego nokturnu.

Ale mimowoli byłam ciągle sobą, bo nigdy nie byłam tak silnie sobą. Jeżeli zbadamy się uczciwie, moje dziecko, to gramy prawie zawsze jakąś rolę. Ja — pannę Dorę, ty — pannę Marynię, a nigdy nie żyjemy tak naturalnie, jak kwiaty na łące. Jest w tem coś dziwnego, a wydaje mi się to czysto kobiece. Co innego taka nieszczerłość męska. Taki profesor mówiąc do ciebie, zmyśla tylko; pana niema w domu. Inaczej my. My przebieramy się prędko za pannę Dorę albo Marję, mówimy: pani jest w domu i przyjmuje w tej masce gości.

Trzeba wyjątkowych chwil, aby się raz było sobą. Zdaje mi się, że kiedy on na mnie patrzy i ze mną mówi, jestem sobą mimowoli i nie mogę być inną.

Jaki on po męsku dziecinny! Nie odstępuje mnie na krok. Wypytuje mię o tysiąc drobnych szczegółów z mego trybu życia: Kiedy wstaję? A co potem robię? Czytam? Dobrze, a co czytam?...

Musi go takie stworzenie z warkoczem intrygować naukowo. Po każdej mej odpowiedzi śmieje się, jak rozbawione dziecko. A potem pędzi mię dalej. — No, a potem, po obiedzie?

I tak aż do wieczora, a rano każe mi znowu wsta-  
wać. Dowcipkuje coś o toaletach, pyta się o różne  
materje, jakby go to interesowało. Kokietuje swą mę-  
ską niezgrabnością w tych rzeczach.

Ale pana czuć w domu coraz więcej. Jak ten pan  
mruży z poza poważnych oczów, jak uśmiecha się  
nieznacznie, kręci węża!

— Jak dziś ślicznie, mamó! — wołam naraz szczę-  
śliwa.

Henryk już dawno niesie dwie zarzutki i para-  
solkę mamy, sunąc w arjergardzie; profesor już dawno  
prowadzi mię pod rękę.

— Do najbliższej stacji kolejowej, a tem samem  
końca wędrówki, już niedaleko, a on mię ciągle prze-  
słuchuje. Niechby mię kto inny tak spróbował bawić!  
A z nim czas leci mi prawie; słońce przesuwają się nad  
drzewami niby wielka wskazówka na zegarze, mama  
już ciężko oddycha ze zmęczenia, ojciec udaje zucha  
i pogwizduje, jak zwykle, gdy mu się ciężko idzie,  
a mnie wydaje się, że wyszłam dopiero z „Przepiórki“.  
Czy i jemu tak samo?

Zdaleka widzę już dworzec i nagle napadła mię  
odwaga i ochota spróbowania z nim gry odwrotnej;  
zaczęłam ja się teraz pytać.

Poprawiam coś koło włosów, bawię się wstążką  
od parasolki... Hm...

— A pan... pan do późna musi siedzieć pewnie  
na tym... uniwersytecie?

Patrzy się zdziwiony, jakby nie wiedział, o kim

mowa. Ja czerwienię się cała. Machnął ręką, jakby odganiał muchę.

— E! proszę pani, co tu mówić o takich nudnych rzeczach.

Jestem załężniona, nie wiedząc dlaczego, i gniewam się na siebie.

Za chwilę jesteśmy na peronie i czekamy na Henryka, który, jak zwykle, załatwia kupno biletów, tym razem i dla profesora. Profesor studjuje z doktorem rozkład jazdy, ojciec kupuje cygara, a ja siedzę w kącie ławki przed poczekalnią, zamyślona i nie swoja, nie słysząc, co mi matka opowiada.

Gniewa mię coś, martwi... Wiem, że tych kilka słów, powiedzianych przez niego, tak mi dokucza, i wiem zarazem, że nie było w nich nic szorstkiego i obrażającego. Nie gniewam się nawet na niego, tylko jestem smutna. Czuję zaraz coś nieprzyjemnego, ciężącego jak mgła. Powiadam sobie, że odtąd będę inaczej do niego mówiła. Ale zaraz potem wydaję się sobie śmieszna, nie wiem, gdzie patrzeć, aby nie spojrzeć na niego. Bez powodu chce mi się prawie płakać. I następuje taka chwila, jak przed burzą; każdy nerw drga we mnie, jakby się stało coś niepowetowanie bolesnego, a zbliżała się noc, w której męczyć się będę wspomnieniem tego smutku.

Przypomina mi się raz jeszcze cała wycieczka i czuję lekki wyrzut z powodu Henryka. On mię tak uwielbia; przecie ja sama zapomniałam się wtedy. Chciałabym, żeby już raz wrócił z kasy, abym mogła na niego spojrzeć raz poczciwie, cieplej, przebłagać

go jakoś, rozrachować się z nim wzrokiem. Jestem niecierpliwa i zirytowana, skubię niemiłosiernie bukiet, który mam na kolanach.

Wreszcie dzwonek zapowiada pociąg, zjawia się sapiący z pośpiechu Henryk. I teraz następuje coś dziwnego. Profesor zbliża się do mnie, podaje mi ramię i pyta po dawnemu:

— No cóż, panno Doro, bolą nas nogi? Biedna panna Dora, biedna...

A we mnie zmienia się wszystko, rozstrojenie rozplywa się tak gwałtownie w jakimś, prawie rzewnie miłym uczuciu, że gdy patrzę na niego, odpowiadając mu uśmiechem, nie wiem, czy oczy moje nie błyszczą dziwnie. W tłumie pasażerów i zamieszaniu mam czas widzieć jeszcze zdziwienie jego.

Potem siedzę w wagonie z tem pewnem mdłym uczuciem koło szyi i serca, jakie się ma wskutek płaczu. Co on sobie myśli! W duszy powtarzam nerwowo: — Jesteś głupia dziewczyna — wstydz się — wstydz — podłotek. A to rzewne uczucie nie opuszcza mnie, jak na złość. Czerwienię się prawie ustawicznie, bo on siedzi koło mnie i swobodnie mię obserwuje. Nie wiem, jaki ma wyraz twarzy, tylko czuję jego wzrok i patrzę z natężeniem przez okno na przesuwane się słupy telegraficzne i budki kolejowe. Naraz słyszę za sobą śmiech dziecka. A już taka moja natura, że kiedy maleństwo takie się pojawi, nie mogę wytrzymać, żeby go sobie nie obejrzeć, więc obracam się żywo i za chwilę jestem w najlepszej komitywie z małym bobem, które niańka za mną trzyma,



a które ciągle obraca się i wyciąga łapki do mego kapelusza.

To szczęśliwie zmienia sytuację, zamiera wszystko bez śladu. Napada mię znowu wesołość, w którą miesza się mój sąsiad z widoczną o swoje ubranie obawą, która bawi mnie niewymownie.

Profesor odprowadza nas w mieście aż pod dom. Tu rozstanie powszechne. Henryk najwidoczniej jest w złym humorze, albo obrażony; żegna się z angielskim chłodem, doktor, jak zwykle, *per frère*; profesor chrząka, widzę, że będzie coś dłuższego. Matka podaje mu rękę z stereotypowem: „co piątek jesteśmy w domu“; on, zerkając na mnie, mówi do mamy:

— Tak mi było z państwem dobrze. Mój Boże, ja taki dziki, ale z państwem czułem się tak swojsko... Dziękuję serdecznie! Więc państwo tu mieszkają. — Aha! Nie można też czasem wstąpić na chwilkę, gdy człowiek jest wolny?

„Piątki“ ignoruje najwidoczniej. Matka, której podobał się stanowczo, prosi go serdecznie, aby zrobił nam tę przyjemność, kiedykolwiek i w jakiejkolwiek porze dnia będzie miał ochotę.

Możesz sobie wyobrazić, z jakim uczuciem znalazłam się znowu w domu. — Jak się pokazało, „baby“ w naszej nieobecności zbiło wielką wazę w salonie, co spowodowało mię do tak gorącego pocałowania go, że dostałam okropną burę od matki, która musiała potem słuchać do północy krzyków z kołyski.

— Jak ja się rozpisałam. — Jedna stronica... dwie... Jeden dzień opisywałam ci tak szczegółowo,

a mam pisać o tym całym dziwnym stanie, w którym się teraz znajduję. Ale właściwie, gdy zastanowię się nad tem, to przez tych kilka tygodni czułam to samo, co-w ów jeden dzień. To, co wiem dziś, wiedziałam już wieczór po wycieczce.

Był taki naiwny ze swojemi odwiedzinami. Przychodził literalnie, kiedy mu się podobało, a odchodził, kiedy chciał. Należy już prawie do nas. Ja codziennie odkrywam w nim coś nowego, a jak się okazuje, wiedziałam to wszystko już dawno, od pierwszego wrażenia. Czy ja go kocham? Albo ja wiem, co to znaczy kochać? Na pensji wiedziałyśmy to, zdaje się lepiej, gdyż rozprawiałyśmy o tem do północy w sypialni.

Co noc prawie zastanawiałam się nad tem i wiesz, kiedy wydaje mi się, że go kocham naprawdę? Gdy pomyślę, że on mnie zapewne nie kocha. Wtedy robi się pusto i zimno w pokoju, cienie sprzętów nabierają dla mnie jakichś obcych, pustych zarysów, smutno mi tak, że nawet płakać nie mogę.

Najczęściej jednak nie myślę, tylko mam uczucie, że mię to wszystko gdzieś niesie. Mam tylko dziwnie ostry wzrok, gdy go obserwuję, czasem chwytam się na tem, że chciałabym prawie odkryć w nim jakie błędy i śmieszności.

Czasem znowu napada mię lęk niewypowiedziany, gdy mi błysnie w głowie możliwość tego co... możliwość, że mi się oświadczy. Potem następuje zwykle ślub i zostaje się czyjąś żoną. Co po za tem, to przedstawia mi się jak ciemność tajemnicza, której zanadto się boję, żebym mogła patrzeć w nią dłużej. Gdy

w nocy przychodzę do tego punktu, zakrywam kołdrą głowę i liczę do kilku tysięcy, żeby tylko zasnąć i nie myśleć. Z fatalizmem czekam, aż przyjdzie profesor, weźmie mię, jak raz we śnie za rękę, a wtedy... wtedy droga moja, dam się pewnie zaprowadzić, dokąd on zechce.

On przychodzi popołudniu, a wtedy i dzień zaczyna się dla mnie, a potem już tak toczy się to wszystko samo. Niby rzeka wielka, płynąca z szumem, oblana słońcem. Błyszczą się różne światełka, tu i tam migają się fale. Gdy patrzysz na jedną kroplę, w głowie ci się mąci wszystko, kropla rozpryska się w tysiące złotych pyłków i płynie z wielką wodą. Przyjście jego czuję już przedtem, nim usłyszę jego kroki po schodach. Zresztą „baby“, cieszące się na cukierki, anonsuje go przy oknie. Mama ucieka regularnie z wielkim pośpiechem z sofy, na której urządza sobie poobiednią drzemkę, gubiąc przytem szal i pantofle. Potem wchodzi, zawsze w tej samej granatowej kurtce i z krawatem na bakier i przeprosza, że wpada tak „bez żenady“ i wcześniej. Potem mówi ze mną samą z pół godziny, poufale, przyciszonym głosem.

Zdziwisz się, gdy ci powiem, że prawie zawsze on mówi, a ja tylko, gdy mię zapyta. A przecież dobrze mi z tem. Mam mniej więcej takie uczucie, jak gdybym mówiła z moim mistrzem. Zdaje się, że to główny charakterystyczny rys mojej miłości dla niego. Kocham, gdy daję się tak prowadzić słowem, wzrokiem i myślą, kocham go, gdy czuję się słabszą od niego, a opierającą się na nim. Dlatego nie myślę na-

przód, tylko czekam, aż on o mnie pomyśli, poprowadzi mnie.

A teraz, gdym się już ze wszystkiego wypowiedziała, powiem ci o męczącej mię i jak komar kłującej myśli, która mię wśród szczęścia nawiedza.

Jest to myśl o tej... rzeczy z Henrykiem. Żebyś mi sto razy powiedziała, że to było głupstwo, dzieciństwo... Moja droga, czy może mi kto powiedzieć, dlaczego to się stało? Zrozumiej mię. Wszystko musi mieć przecie jakieś znaczenie; w każdym szczególe piękna, w każdej drobnostce życia... Dajmy na to, że pocałunek ten wówczas był do wytłumaczenia, to nie jest on do wytłumaczenia teraz. Prawda, wtedy nie znalazłam jeszcze Stefana — prawda, wszystko prawda... A przecież to dysonans, niezgrabna jakaś kreska w mojem życiu i nie mogę dać sobie z nią rady...

A teraz ściska cię milion razy twoja kochająca cię...

*Dora*“.

### III

Kiedy skończyło się witanie, przeszła cała burza przy spotkaniu się dwóch osób, niegdyś sobie bliskich, a oddalonych na czas długi; obie kobiety spojrzwały na siebie z tą chciwą ciekawością kobiecą, która chce przeniknąć do głębi.

Marja szczególnie zdawała się pochłaniać wzrokiem każdy rys, najdrobniejszy wyraz w twarzy swej przyjaciółki. Oto męczatka! — myśli, jakby znajdowała się przed wielkim wodospadem i mówiono jej: oto Niagara!

Dora zmieniała się, a raczej może każdy rys jej postaci otrzymał tylko inne znaczenie estetyczne. Jej pleć, zawsze blada, pociąga perłowym swym tonem, a to, co gra w tej barwie, rozlewa się miękko w całej postaci pełnej, wykończonej. Na twarzy, w oczach, coś szczęśliwie skończonego, uśmiech spokojny opowiada o jakimś ostatnim akcie kobiecego życia. Marja czuje się tem z początku prawie onieśmielona; przyjaciółka wydaje się jej w pierwszej chwili jakąś obcą kobietą, o wiele starszą, o wiele trudniejszą od tej, którą знаła niegdyś. Ale złudzenie powoli znika: to przecie Dora z przed lat, Dora z pensji.

Mieszają ją jeszcze otoczenie: małżeństwo czuć prawie w powietrzu. W drugim pokoju cicho, ale może w trzecim, czwartym... Głosem trochę niepewnym pyta:

— No, cóż?

Dora odpowiada wesołym skinieniem głowy, które znaczy: wszystko w porządku. A potem mówią o innych rzeczach swobodnie.

Naraz Marynia myśli, że niedługo będzie musiała wrócić do matki, do hotelu, i że wizyta u przyjaciółki dała jej właściwie mało wrażeń... Co to Niagara? trochę wody i nic... wszystko w porządku... hm...

Rozmawiają o drobnostkach. Dora wstaje czasem i patrzy przez okno.

— Patrzę tylko, czy Stefan nie idzie.

— A... tak... — przypomina sobie Marynia, potem rumieni się — ty go musisz bardzo kochać...

— Ależ rozumie się — odpowiada Dora z uśmie-

chem. — To u was noszą jeszcze te rękawy? Pomyśl, kazałam sobie robić na wiosnę suknię...

I dalej w tym samym tonie. Słońce świeci leniwo, w szmerze ich rozmowy ziewa południe.

Dorę gniewa naturalna mina, z jaką Marynia przyjęła do wiadomości, że „wszystko w porządku“. Jakby to było czemś tak zwykłym. Ach, żeby ta dziewczyna wiedziała... Ale jak tu zacząć?

Wstaje i idzie do okna, niby patrzy na ulicę, bawi się sznurem od stor.

— Maryniu.

— Co?...

— Prawda, jak to czas leci?

— Pewnie.

— Hm... Czy pamiętasz mój list do ciebie... wiesz?...

Tamtej zabiło serce z ciekawości.

— Pamiętam — mówi i śmieje się neutralnie.

Dora siada znowu koło niej, przechyla głowę w tył i, patrząc w sufit, mówi niby do siebie:

— Przed dwoma laty!... pisałam w nim... pewnie wiele o Stefanie?

— I jak wiele. Wiedziałam już wtedy, co z tego będzie...

— I ja także — wzdycha Dora zamyślona.

Naraz śmieje się i jakby ze wstydem zakrywa twarz rękami:

Nie wiedziałam tylko i nie mogłam wiedzieć, co potem z tego będzie.

Marynia spojrzała na nią szybko.

— Jakto... potem? po ślubie?...

— Nie rozumiesz mnie. Chcę tylko powiedzieć, że, kochając, nie wiemy prawie nigdy, co nas czeka; małżeństwo wyobrażamy sobie, jako zakończenie, a ono jest dopiero początkiem życia, dlatego rozczarowanie musi przyjść...

— Rozumiem cię — przerywa Marynia z mądrym uśmiechem. — Przed ślubem kobieta wyobraża sobie ukochanego mężczyznę takim, jakim się go chce, bez błędów, bez słabostek, jakimś rycerzem idealnym.

— Mylisz się. Tego nie wyobrażałam sobie nigdy. Tak kochają zazwyczaj tylko dzieci i mężczyźni. My, kochając, znamy mężczyznę tak, jakbyśmy go nie nawidziły, błędy Kochamy z nim razem. Takim, jakiego kochałam przed ślubem, okazał się i potem. A przecież, jeśli dziś mówię, że wszystko w porządku, to nie myśl, że mnie to nic nie kosztowało.

Marynia otworzyła szeroko oczy i patrzyła na przyjaciółkę.

Dora spojrzała na nią.

— Co mówiłaś?

— Nic...

Tego, co błysnęło jej w głowie, nie odważyła się powiedzieć. Byłoby to jak niezręczne uderzenie w delikatny jakiś instrument. Dokoła taki poważny, uroczysty spokój, każdy sprzęt wydawał się symbolem harmonji małżeńskiej. A przecież to nasuwało się tak naturalnie. Nie zawiodła się na swoim mężu, a szczęście z nim przecie czemś okupiła. Może rezygnacją z miłości innego, który zjawił się na jej drodze. Na-

czytała się już tyle podobnych rzeczy w romansach, że ta kombinacja wydała jej się czemś powszedniem. A jednak w życiu to zawsze bardzo, bardzo ciekawe.

— Nie pojmuję ciebie zupełnie, droga — mówi słodko. — Czyż to trzeba cierpieniem zdobywać sobie szczęście, którego oddawna było się pewną? Nie mogłaś przecie zawieść się na pożyciu z mężem, jeśli na nim samym się nie zawiodłaś.

— Myślisz?

— To jasne. Naturalnie, jeśli nie nastąpiło coś nieprzewidzianego.

— Coś nieprzewidzianego. A czemże jest wszystko z drugiej strony ołtarza, jeśli nie czemś nieprzewidzianem? Jeśli nie znaliśmy dotychczas prawie życia, możemyż mieć jakieś pojęcie o tem, które nas czeka, choćby z mężczyzną, którego znamy?

Nastąpiła pauza, podczas której Marynia udawała spokój i patrzyła na końce swych trzewików, czując dreszcze ciekawości.

— Jakże ci go opisywałam?... — zaczyna znowu Dora.

— Jako ideał — uśmiecha się z roztargnieniem Marynia.

— Nie, wiem z pewnością, że nie, chyba jako ideał względny, jako mój ideał, a ten miał przede wszystkim ręce i nogi. Opisywałam ci go tylko, jako mężczyznę, o którego przewadze moralnej nad sobą byłam przekonana. To w nim właśnie kochałam; oprócz czegoś jeszcze, to jest — jego.

— W czemże ta przewaga jego się objawiała?



— W czym? W wielkich rzeczach i w drobnostkach — we wszystkim. Czułam ją na każdym kroku, a nie ciążyła mi, lecz owszem była mi tylko źródłem ciągłej i silnej rozkoszy. Jeżeli mi rozkazywał wzrokiem, uśmiechem, przyjmowałam to jak pieszczotę, jak coś słodkiego, czego używam, Kochając. Te nasze pieszczoty...

— To bardzo pięknie — mówi Marynia, uśmiechając się zamyślona — ale wybacź, z tem wszystkim nie mogę sobie wyobrazić na przykład — miodowych miesięcy. Czy nie jest to za uroczyste; czy nie ciąży jednej stronie? Ja inaczej wyobrażałam sobie taki stosunek. Gdy chodziliście pod błękitnem niebem włoskiem...

— Pod tym błękitem nie byliśmy dotychczas — mówi z uśmiechem Dora.

— Jakto? wybieraliście się...

— My? Ja się wybierałam, ale Stefan przekonał mię, że to niepotrzebne.

— Co ty mówisz!

— A żebyś wiedziała, jak łatwo dałam się przekonać! Miał tyle słusznych argumentów; najpierw, że taka podróż poślubna to właściwie rzecz bardzo banalna i tysiąc razy zużyta, powtóre, że piękniej takie życie we dwoje rozpoczynać we własnym ciepłym kącie... Czy to nie ładnie powiedziane „we własnym ciepłym kącie“? — Mówił mi jeszcze wiele takich rzeczy, które mi szły prosto do serca — nie wiem już co? Ale w końcu rzuciłam mu się na szyję.

— Tak? — hm... Pewnie, że to wszystko... Ale

czy nie było w tem trochę, troszeczkę — egoizmu z jego strony? Nie wiem, ale ja klóciłabym się z nim przynajmniej trochę.

— Ja się nie klóciłam. I potem także nie, gdy wyperswadował mi chodzenie na bale, które podług jego zdania robią z nas kameruńskich murzynów, do teatrów, które, jak statystyka wskazuje, po kolei co tyle a tyle lat spalić się muszą...

— Doro, przestań, to okropne! To tyranja!....

— Ależ ja spełniałam wtedy tylko moją własną wolę, poddając się woli jego; czy nie rozumiesz tego? Czy nie rozumiesz, że to panowanie siły jego nad moją wolą było mi prawie wyrafinowaną rozkoszą?

— I to... ty, ty? ta niegdyś kapryśna, samowolna...

— Wiedz moja droga, że przerobił mię zupełnie, że przerobił mię nieznacznie, powoli, nie wiedziałam kiedy i jak. Stałam się inną. Domyśliłam się tego dopiero, gdy się zaczęłam tem martwić...

— A kiedy to nastąpiło? — spytała Marynia spiesznie.

— Kiedy? — powtórzyła zamyślona Dora. — Alboż ja wiem! Zdaje się, że jesienią; zdaje się, że gdy lato minęło, z każdym liściem żółtym, który spadał na ziemię, traciłam, niby kryształy z duszy...

Umilkła, a po chwili zaczęła znowu:

— Byłam czemś w rodzaju duchowej papugi, zajmowałam się wszystkim, co należało do sztuki, poezji, ale ze wszystkiego brałam tylko błyskotki, we wszystkim obracałam się w skrajnościach, miałam duszę, przybraną podług ostatniej mody...

— A tak, czytałaś Baudelaire'a?

— My kobiety musimy mieć modne myśli, tak, jak suknie i kapelusze, choć ściśle rzeczy biorąc, wierzymy tylko w dwanaście artykułów wiary, a zresztą tylko w to, czego możemy się dotknąć, co możemy schrupać zębami. Zresztą, zdaje się, że w takim papuzim nastroju jest młodość, a w końcu, że trzeba na to i trochę oleju w głowie. Wiesz, moja Maryniu, że teraz, kiedy postarzałam się moralnie o lat kilka i widzę wszystko w świetle właściwym, widzę, jak nieroztropnie postąpił mój mąż, wyrywając mi moje pstre piórka po kolei...

— Dlaczego?

— Dlaczego? Dlatego, że zestarzałam się za prędko, że prędzej, niżby to się stało zresztą, zaczęłam myśleć o rzeczy bardzo niebezpiecznej: o sobie, podczas gdy moje piórka poniosłyby mnie były z pewnością gdzieindziej. Dlatego, że... mąż, który chce być jeszcze czemś innym, niż mężem, a więc chciałby swą żonę uszczęśliwić tylko połową swej duszy, powinien jej zostawić przynajmniej dowolne rozporządzenie choćby tylko częścią siebie samej, i... choćby w interesie własnym.

— Nie zupełnie to wprawdzie rozumiem, lecz zdaje mi się, że wiem mniej więcej, o co chodzi. Ale mówisz przecież, że z początku nie cierpiałaś nad tem, że owszem sprawiało ci to przyjemność, jakże się to działo?

— Jak? Zdawało mi się, że tracąc coś z siebie, pod jego wpływem rosnę zarazem w tem, na czem

mi zbywało dotychczas, że on użycza mi coś ze swej siły, że mnie podnosi do siebie, kształci, uszlachetnia. Czasem czułam się, jakby świętą, codziennie nowe przyjmując objawienie. Widząc się co rano w zwierciadle, czytałam najdokładniej, ile mi szlachetności przybyło od wczoraj.

— To zabawne.

— Gdzieżtam! to bardzo poważne. Ty nie znasz tego uczucia spokojnej dumy, z jaką się patrzy z wysokiego stanowiska swego szczęścia na cały świat. Jak tamto wszystko błahe, obojętne! Bo tamto wszystko wydaje się czemś nieskończonem, a my, obejmując szczęście, stoimy niby u mety. Tamto wszystko: słowa... słowa... Patrzę w jego twarz spokojną i widzę, że właściwie niema żadnych kwestyj. On taki spokojny. A gdy mię weźmie w ramiona, jestem szczęśliwa, jestem w jedynej możliwej konkluzji wszystkich rzeczy.

— A ludzie nie widzieli tej zmiany u ciebie?

— Ludzie... ludzie... Comnie obchodzili ludzie; albo ja wiem, co o mnie myśleli? Ach prawda!... czekaj-no... znasz naszego doktora? On zna mnie od dziecka i, zdaje się, że mię kocha, jak ojciec. Ten doktor... Dziwiłam się nieraz, dlaczego teraz taki poważny, spokojny, zaczął wdawać się ze mną w różne dysputy, broniąc przytem zasad najskrajniejszych, uśmiechając się dziwnie drwiąco, gdy mu odpowiadałam moim, świeżo nauczoną językiem. Musiał się przytem bardzo irytować.

— Wierzę; żal mu było, że stałaś się papugą twego męża.

— Z czasem stałam się i jego żoną. Ale to o wiele później... dla mnie o wieki później. Przedtem przyszedł czas, w którym cierpiałam, męczyłam się, czas...

— Gdy lato minęło i przyszła jesień?

— Gdy przyszła jesień — Tak...

Dora umilkła i z dziwnym uśmiechem patrzyła przed siebie.

— Widzisz to okno? — zaczęła znowu — przez które wyglądam teraz tak niecierpliwie męża? Teraz zieleń je otacza, słońce uśmiecha się i lśni się na szkle. Wyobraź sobie, jak ono wygląda w jesieni, jak za niem smutno, mglisto, nieprzyjaźnie. To okno znam dobrze, bo przepędziłam przy niem samotne poranki, gdy męża nie było w domu, smutne, szare godziny, gdy, zostawiając mię samą, pracował w drugim pokoju. Ranki były najsmutniejsze. Myśli są najgorszym towarzystwem. A przytem musisz wiedzieć, była szpara w oknie. Taka mała, nieznaczną szparka... Zdaje się, że po części ta mała szpara była powodem burzy, która potem na mnie przyszła...

— Dzieciństwo... Jakże to?

— Widzisz, gdy się ma odczuć jakieś wielkie nieszczęście, poprzedza je zawsze prawie mały rozstrój, drobny ból fizyczny jest ostatnim powodem, że się je odczuwa wogóle. Ze szpary z okna wiało, a niedługo przyszedł silny ból w twarzy. Zaczęłam naraż myśleć pod wpływem tego. Myślałam, że siedzę tu sama i smutna, a na mnie wieje zimno z okna, on

zaś stoi teraz na katedrze i opowiada swoim uczniom o rozwoju szczepu słowiańskiego.

— Mogłaś przecie kazać naprawić okno, moja Doro, i byłoby ci w pokoju ciepło i swojsko. A twój mąż? przecie był profesorem, musiał zajmować się swoją nauką, zostawiając cię samą gospodarstwu? Czy jest coś prostszego nadto?

— Jakaś ty mądra! — szepnęła Dora ironicznie. — Co to znaczy „proste“, co „naturalne“? Czułam wtedy tylko sam fakt, który przedstawiał mi się, jako sytuacja o tragice najwyższej... Czułam, że cierpię, a on o tem nie wie; logika bólu mówiła mi, że cierpię przez niego! Zresztą stąd tylko poczęły się moje myśli. Myślałam potem ogólniej...

— Zaczęłaś myśleć krytycznie o twoim mężu...

— Nie; zaczęłam myśleć nad sobą. Poczułam się słabą; nie wiem, jak przyszła mi świadomość jakiejś własnej nieudolności, która mnie bolała, nad którą poczęłam płakać. — W domu było mi tak dobrze i ciepło — mówiłam, szlochając, podczas gdy czułam denerwujące wianie z okna — w domu uważano mię za pierwszą, w domu byłam mądrą, pewną siebie. Teraz nie mogę nawet myśleć. Gdy mi przyjdzie jaka myśl, wiem, że on przyjmie to chyba ze swym zwyczajnym uśmiechem, że ma mię za niedojrzałe dziecko...

— Poczęłaś czuć swoją niewolę.

— Nie myślałam wtedy o niewoli, bo myśląc o niej, musiałabym nienawidzieć tego, którego jestem niewolnicą; nie, myślałam tylko o własnej niemocy,

to mnie gryzło, przyprowadzało do rozpacz. Przytem ciągly ból zębów...

— Więc okna nie dałaś naprawić?

— Nie, i to nie z niedbalstwa. Tylko w końcu zaczęłam rozkoszować się cierpieniem. Dawniej trzymałam przynajmniej książkę w rękę, choć nie zawsze mogłam czytać; teraz siedziałam z założonemi rękami, z twarzą szarpaną bólem, opuchniętą, zalewając się łzami, grzebiąc w przykrych myślach...

— Przebacz, Doro, ale to już szczyt dzieciństwa, dzieciństwa, o które nie posądziłabym cię nigdy!

— Łatwo ci się śmiać. To było dziecinne? Może być; a wiesz dlaczego byłam dzieckiem? Bo robiono mnie gwałtem starą, i byłam nią, dopóki nie byłam samą. Osamotniona, stawałam się dzieckiem, które cierpi często tragiczniej, wyrafinowaniej, niż starsi.

— A mąż nie spostrzegł tego nigdy? Musiałaś przecie źle wyglądać...

— Ach, moja droga, gdy on był przy mnie i zaczął się mną zajmować, stawałam się zdrową, zapomniałam o wszystkim. Mogłabym była męczyć się tak wiecznie, aż przypadkiem przyszedł przewrót.

Marynia spojrzała na przyjaciółkę z naprężeniem. Jakżeż to było?

— Zaproszenie na bal.

— A? No i cóż? Mąż wyperswadował ci pewnie znowu tę przyjemność?

— Gdzież tam! Nie dałam się.

— Oho! To był prawdziwy tryumf?

— Rozumie się. Byłam przez dni kilka rozgorącz-

kowana z radości. Okno kazałam naprawić, nie myśląc iść na bal z opuchniętą twarzą. Przedpołudnia miałam zajęte konferencjami z krawcową...

— Jaką miałaś suknię?

— Białą, dekoltowaną, z czerwonymi różami.

— Dajesz ciągle jeszcze robić u...

— Tak, u tej samej, co dawniej. Mówię ci, była śliczna! Rachunek dopiero przed dwoma miesiącami odważyłam się pokazać Stefanowi.

— No i cóż dalej? Wyobrażam sobie, że gdy przeprowadzi się choć jedną rzecz...

— Tak, to mię cieszyło; było mi chwilowem odurzeniem, wyswobodzeniem; wogóle ten cały czas, wiesz, nawet chwila przed balem, różne drobnostki, które mię cieszyły, choćby tylko to, że miałam wyjątkowo uczucie, że obracam się teraz przynajmniej na jednym polu swobodniej, niż mój mąż. Wyobraż sobie, zbierałam się jeszcze, on pukał już do mnie, żeby iść. Chciał wybierać się już o ósmej, bo tak napisane na zaproszeniu.

— Nieźle...

— Gdym mu wytłumaczyła to, co każdy porządny człowiek powinien wiedzieć, to jest, że inaczej się pisze, a inaczej czyta godziny rozpoczęcia, on, śmiejąc się, przyznał, że to są rzeczy, „na których pewnie lepiej się znam od niego“. Nie masz pojęcia, jak mię to cieszyło! Może być, żeś zresztą bardzo mądry — myślałam, uśmiechając się — ale to są rzeczy... To rozkoszne uczucie wzrosło naturalnie na sali balowej.



— Naturalnie — twój żywioł. Musiałaś się uczuć, jak ryba w wodzie.

— Albo jak żołnierz, gdy proch poczuje! Teraz na mnie kolej — myślałam ze wzruszeniem uroczystym. Zaczęłam całą pierśią żyć w tej atmosferze ciężkiej i ciepłej, przesiąkniętej perfumą i światłem. Moje podniecenie musiało działać i na innych, spotykałam tyle spojrzeń, tyle przyjaznych twarzy!... Naraz... widzę — zgadnij kogo?...

— Kogo?

— Właściwie nie poznałam go z początku, bo stał odwrócony odemnie, ale zastanowił mię kolor włosów, w całej postaci uderzyło coś znajomego. Dopiero matka mi powiedziała — Henryk.

— Co — ten?!

Marynia zerwała się, zelektryzowana. To ogromnie interesujące! Henryk...

— Ten Henryk, który cię, wtedy... o którym pisałaś?...

— Ten sam. Wrócił z Wiednia.

Marynia gotowa była udzielić przyjaciółce już na przód absolucji z wszystkiego, co teraz miało się stać z tym... z tym Henrykiem. Przesunęła się do niej z ożywieniem i objęła ją w pól.

— Moja droga... Mogę sobie wyobrazić to wzruszające uczucie, gdy się po tak przykrych chwilach zniechęcenia zobaczy naraz człowieka, z którym wiąże się wspomnienie z czasów szczęśliwych! Daremnie, Doro, choć opisywałaś mi to zajście z Henrykiem z pewnem... Nie, nie, to było takie poetyczne!

Musiał cię tak kochać! I kto wie, gdybyś nie była poznała twego profesora... Ale cóż dalej? Jakże się znalazł wobec ciebie? czy był obrażony, zimny?

— Nie przyszedł się nawet przywitać. I to mnie irytowało niewypowiedzianie. Dowiedziałam się od matki, że wrócił już od kilku tygodni, że się bardzo zmienił, nie czerwieni się, jak dawniej... wogóle nie ten sam... Gdy odwrócił głowę, spostrzegłam, że rysy jego twarzy tak samo są niesmaczne, jak niegdyś po owej scenie na dworcu.

— Ależ Doro! — mówi Marynia lekko rozczarowana.

— Błady był tylko, musiał żyć wesoło w tym Wiedniu...

— Albo płakać za tobą.

— I oczy te same; gdy patrzę w nie, czuję mdłości, szczególnie, gdy widzę jednocześnie jego rude włosy. Ale w tych oczach leży jeszcze coś dla mnie: wspomnienie chwil, w których czułam się silną, panna wałam nad obcą wolą; leży w nich jakaś zdolność do uginania karku, niewolnicza uległość słabego lub dziecka.

— Ach, Doro, przysięglabym, że teraz ten rys właśnie nie odpychał cię, jak dawniej, że owszem po tylu upokorzeniach...

— Tak, tak... masz słuszność... Ale jeśli mię pociągał, to tak jakoś niezdrowo, niejasno, jak coś, co brzydzi, i czego się pożąda zarazem. Gdy patrzyłam na niego, był mi prawie wstrętny, ale obudzały się we mnie jakieś dziwne chętki, prawie barbarzyńskie;

chciałabym prawie, aby ten człowiek leżał u stóp moich... Ileż razy czynił on to dawniej, słowem, wzrokiem, całym obejściem! Miałam jakieś łudzące niby pragnienie...

— Kto wie, jakie to było uczucie, które cię naraz ogarnęło z taką siłą?

— Maryniu, jak było, tak było; wiem, że męża mego kochałam i wtedy nad wyraz, nad życie. Czy pojmujesz, że wzdychałam mimo to, jak do najprzedziwniejszej rozkoszy, aby ktoś, dajmy na to ten Henryk, którego wzrok mię drażnił, klęczał znowu przedemną...

— Lecz jakżeście się zesзли?

— Ja sama przyszłam do niego.

— Jakżeż się to stało?

— Widzę, jak córka gospodyni zbliża się do niego, mówi mu coś ze słodkim uśmiechem, a on niby sztywnym, obojętnym ruchem bierze jej karnecik i coś pisze. Czyni to na mnie wrażenie, jakby dziecko udawało dorosłego; miałam ochotę wytłuc go, drapać ze złości, a zarazem łaskotało mię coś, żeby pójść do niego, nie zważając na nic, zagadnąć go pierwsza. Zrobiłam to.

— Cóż on?

— Gdybyś go była widziała w tej chwili! Dawny Henryk; mały, zażenowany, czerwony, klaniał się z kilka razy, nie wiedział, gdzie ma patrzeć, co mówić; rok wychowania w Wiedniu, angielska mina, wszystko wywietrzało mu, zdaje się, w tej jednej

chwili. A ja miałam przyjemne uczucie, jakbym mężczyła jakie pulchne, tuczone zwierzątko.

— O czym mówiliście z sobą?

— Czy ja wiem! Nie wydawało mi się to rozmową, ale snem, jak cały wieczór, potem aż do końca. Czułam tylko przez cały czas, że chęć moja, szalona nie opuszcza mnie ani na chwilę; mówiłam z nim o różnych, niemożliwie nudnych rzeczach. On myślał pewnie, że uśmiecham się do niego... ja śmiałam się do mojej myśli. Gdybym chciała, mówiłam mu w duszy, zaprowadziłabym cię tak nieznacznie, słowem, słówkiem, wzrokiem i wolą, jak na sznurku, dokąd tylko zechcę...

— Ale to zachowanie się twoje musiało mu zawrócić głowę, naturalnie jeśli już sam twój widok...

— Wiedziałam o tem. Ale musiałam do końca. Wiem teraz, że my kobiety działamy często niebezpiecznie, bo ślepo, jak żywioty.

— Jakże to się skończyło tego wieczoru?

— Nie wiem... Było mi tylko zimno we wszystkich nerwach, gdy siedziałam rankiem obok męża w powozie. Bolała mnie po raz pierwszy obecność męża; byłam niby upokorzona wszystkim: rankiem, mdłym wspomnieniem wieczoru, rzeczywistością dnia. Myślałam o jakimś szarem jutrze, i czułam się znowu małą i słabą.

— Więc tak szybko nastąpiła reakcja?

— Na drugi dzień zbudziłam się późno po południu... i wiesz z jaką myślą? o Henryku.

— Doro, ależ to... to miłość w najzwyklejszej formie!

— Nie! to nie była miłość.

— Cóż więc? Z myślą o nim zasnęłaś pewnie, myśl o nim witała cię na dzień drugi. Ale cóż to, jeśli nie namiętność, która rozbudziła się naraz w tobie?

— Namiętność?... być może, ale jaka? osądź sama. To uczucie wtedy... Niby głód zwodniczy, niby pragnienie...

— Miłość, Doro, miłość! Dlaczego ty mi nie ufasz dziecko? To przecie...

— Słuchaj. Moje myśli były naprawdę dziwnego rodzaju; wyobrażałam sobie przez chwilę, że oszukuję męża z Henrykiem i, walcząc ze wstrętem, wykończyłam sobie wszystkie szczegóły tego widziadła w głowie. Ale naraz spostrzegłam się, że to chęć wczorajsza tak mię męczy. Biłam się z rojem chaotycznych myśli, które rozrywały mi głowę. Potem pytałam się z dawnym spokojem, tak, jakby ty teraz: miłość? Odpowiadałam sobie ze wstrętem: nie, a skrzywienie pióra w pokoju mego męża powtarzało mi ciągle to samo pytanie.

— To skrzywienie pióra musiało ci być sumieniem?

— Nie poczuwałam się do żadnej winy. Myśl, że mój mąż pisze teraz, denerwowała mnie tylko. Otulając się ciepłem rozgrzanego mem ciałem łóżka, chroniłam się od jakiegoś codziennego chłodu, który mię czeka, gdy tylko wstanę i będę znowu biedną, zahukaną Dorą. Naraz, nie wiem dlaczego, wstałam z łóż-

ka. Światło z drugiego pokoju wołało mię. Zarzuciwszy szlafrok na siebie, weszłam do niego.

— Aby się skryć przed sobą samą?

— Aby... Męczyła mię poprostu wątpliwość, męczyło poprostu niezaspokojenie, które czułam w sobie, a że po spokój, po odpowiedź zwykłam się była zawsze udawać do mego męża, więc nie wiedząc sama, co czynię, mimowoli, sennie...

— Ale czyż nie czułaś, że on właśnie, on jedyny nie mógł ci tu być doradcą, że on...

— Nie czułam niczego. Poszłam tylko do niego. On głaszcze mi rozplątane włosy i pyta, czym się wyśpała? Kiwam głową i czytam tytuł na jego robocie: Wędrowniki ludów. Potem ziewam i czuję naraz ochotę do mówienia. — Opowiadam mu historyjkę o Rózi Lisińskiej.

— Co to za Lisińska?

— Nie wiem sama.

— Jakto? — pyta Marynia.

— Czytałam to nazwisko gdzieś w jakiejś gazecie, czy powieści — nie wiem. Opowiadam mu okropną rzecz o mojej koleżance Lisińskiej...

— Cóż ci wpadło do głowy?

— Opowiadam mu, jak rok temu, poszła za swego Lisińskiego — no a potem, ledwie w rok po ślubie, zdradziła go. Słyszałam to niby wczoraj na balu. Zdradziła go z jakimś oficerem, uciekła.

— Po cóż to wszystko na miłość Boską! Jak mogłaś mieć tyle odwagi, aby tak igrać z niebezpieczeń-

stwem! Jedno spojrzenie, jedno nierozważne słowo, a mógł cię odgadnąć, mógł...

— A gdy skończył wszystko, spytałam go, czy to nie okropne? co on o takiej kobiecie myśli?

— Ale po cóż to, po cóż?

— Ach! — Jedni przykładają plastry na ranę, drudzy szarpią miejsce, gdzie boli. — Dziecko, czy nie odgadniesz, że ja chciałam, by on o tem mówił? Zabłąkałam się niby w jakąś obcą dla mnie krainę i potrzebowałam tam towarzystwa, aby nie zginąć z trwogi. Opierałam się zawsze na nim, a teraz potrzebowałam go więcej, niż kiedykolwiek, musiał mi towarzyszyć i w myślach. Spytałam go więc, co może usprawiedliwić taką kobietę, która zdradza swego męża?

— A on?

— Przewracał spokojnie w słowniku i powiedział, że nie wie. Szarpię go więc za rękaw, nie daję mu spokoju. Co warta taka kobieta? Jak mogła tak zgrzeszyć wobec tego, który ją kochał. Wpadam w zapał, ciskam gromy, słowem — nie daję mu spokoju... Gryzie pióro nerwowo; przeszkadzam mu najwidoczniej. Wreszcie odkłada pióro i zaczyna mówić. Widzę, że go podrażniła; jeśli się teraz rozgada, będzie mówił, jak na katedrze.

— Cóż mówił?

— Z początku cieszyłam się tylko tem, że wogóle mówił; słów jego nie rozumiałam. W pokoju zrobiło się ciepło i swojsko, patrzyłam mu w oczy. Ogień w kominku, on przy pracy, a ja przy nim... Mówił

o tem, co mię bolało, więc byłam teraz z nim razem. Zauważyłam zaraz, że głos ma bardzo miły, że niektóre wyrazy wymawia jakoś szczególnie. A gdy zaczęłam wsłuchiwać się w słowa, uderzył mię niespodziewanie ich sens... Gdym zrozumiała, przeszedł mię dreszcz, chce mi się śmiać... Wiesz, on...

— On?...

— On — bronił jej... tej...

— Która nie istniała wcale?...

— Tak, tej, która nie istniała, ale — bronił kobiety, która zdradziła męża. Powiedz mi, czy to nie umierać ze śmiechu? Czy on wie — mówię sobie w duszy — co ja myślałam przed chwilą w łóżku? Nie, nie wie i nie może wiedzieć — to właśnie tak cudownie śmieszne, że on tego nie może wiedzieć, a wszystkie mądrości...

— Tem zdaniem swoim wypowiedział sąd sam o sobie. Musiałaś słyszeć ze słów jego, że jesteś wolną, jeśli kochasz innego. Tem zdaniem...

— Ja słyszałam coś innego, moja droga. Słyszałam — zgadnij Maryniu!

— Nie wiem.

— Słyszałam: jesteś silną. Jesteś moją! godną mnie współzawodniczką! Zdawało mi się, że rosnę przy nim, a on maleje. I byłam mu wdzięczna za to; czuję, że teraz dopiero patrzę na niego, jak żona na męża.

— Tego nie pojmuję zupełnie...

— Nie pojmujesz? Czy ty to możesz pojąć teraz, moja biedna? Gdybyś była wtedy na mojem miejscu... Widzisz, ja czułam wtedy, że pojmuję jasno cały sens



życia mego, jako kobiety. Dotychczas czułam się nieszczęśliwą. Dlaczego? Bo czułam się słabą, bo wydawało mi się, że on niema prawie czego kochać, bo on jest wszystkim, a ja niczem. W tej chwili dopiero poznałam siłę, siłę — kobiety.

— A w czymże ta nasza siła?

— A czymże silne jest życie samo? Czy oni, ze swoim rozumem, ze swojemi książkami pojną kiedy to życie? Ono igra z nimi i ich logiką, tak, jak serce nasze, jak turkot z ulicy, zdawało się, że się natrzęsa z mego uczonego męża i jego szlafroka, kiedy on bronił kobiety, która, idąc za popędem serca, opuszcza męża.

— Więc myślisz, że jesteśmy silne, bo nas nie znają?

— Tak, jak my nie znamy często siebie. Nie mogą wiedzieć, co się dzieje w naszym sercu. Walczą z nami rozumem, a my walczymy z nimi naszym rozumem: sercem. Owego wieczora po balu ja poczułam przewagę nad nim, jakiej on nademną mieć nie mógł nigdy. Bo on, czując się silniejszym, okazywał mi to zawsze. A ja — ja, gdym odkryła w sobie władzę, rzuciłam mu się na szyję. On myślał, że przyznaję mu słuszność, a to była tylko radość, szalona radość: „jestem silniejsza tem więcej, że mocy mojej nie widzisz“.

— Jak się nad tem głębiej pomyśli, to to jest cudowne!

— Pewnie, droga moja, chwile, jak ten dzień, który był właściwie pierwszym dniem naszego małżeństwa, powtarzać się teraz będą w mem życiu. Tak,

jak wtedy milczałam, tak milczeć będę potem. Cicho krzątać się będę koło niego, cicho słuchać jego rozkazów i mądrości. I będę go kochała bez cierpienia, bo będę kochała w nim nietylko jego, ale i swoją własną siłę. A teraz powiedz mi jeszcze, dziecko... W końcu mego listu do ciebie przed laty, zastanawiałam się, może przypomnisz sobie, na co los postawił mi tego Henryka na drodze...

Dzwonek z przedpokoju przerwał naraz poufale zwierzenia przyjaciółek. Marynia ruszyła się niespokojnie.

— Zostańże — zatrzymuje ją Dora — to tylko on. Ale pamiętaj: wszystko, com ci mówiła...

— Wiem, to naturalnie tajemnica.

— Tak, jak kobiecy sekret toaletowy.

Drzwi się otworzyły.

— Mój mąż — mówiła po chwili Dora — przedstawiając wchodzącego.

Nazwałem moją ulicę „Via della Notte“, bo jest smutna i czarna, a zresztą całe miasto takie jasne i niebieskie. Także dlatego tak ją nazwałem, bo budzi się dopiero w nocy a w dzień jest opuszczona i cicha. Leży blisko Santa Lucia i miasta, pod samem Posilippo, a mimo to nie słychać tu ani jednego głosu, nie czuć ani trochę odurzającego zapachu morza. Mieszkam na tej ulicy już od kilku tygodni, a mimo to nie zaprzyjaźniłem się z nią wcale; jest mi tak obca, jak pierwszego dnia, kiedy przyjechałem z Palermo.

Przyjechałem nazajutrz po szalonych uciechach święta Piedigrotty, po owej nocy, w której się tyle śpiewa... i tańczy i pije i całuje, w której najpiękniejsze pieśni dostają nagrody... a najpiękniejsze dziewczęta kochanków lub mężów. Przyjechałem wielkim statkiem, który wiozł oliwki i wino, i był zemną także w Bari, na Malcie, w Reggio i w kilku miastach sycylijskich. Na Piazza S. Ferdinando *vetturino* stanął i oświadczył, że na stromą „Via della Notte“ nie wyjedzie. Musiałem więc iść dalej do „hotelu“ piechotą, a *vetturino* niósł za mną rzeczy.

Zdaje się, że całe miasto spało po szalach nocy. Na placu, przy wejściu do uliczki, leżała przed małą wi-

niarnią młoda dziewczyna, jakby martwa; dopiero na odgłos naszych kroków otworzyła oczy i... naraz zaczęła śpiewać, na pół sennym, na pół pijanym głosem... tak jakby kończyła melodię przed chwilą zaczęłą... i była jeszcze ciągle noc, a oprócz nas setki ludzi na ulicy, a zamiast słońca świeciły się pochodnie i żarzyły się czerwone i zielone ognie i z hukiem pękały w ciemnościach rakiety...

Śpiewała jedną z pieśni, premiowanych tej nocy, śpiewała nie otwierając oczu; z jej czoła i z bladej, strasznie zmęczonej twarzy widać było wszystko, co działo się w nocy. Kiedy rzuciłem jej solda, zbudziła się, struny gitary zajęczały chrapliwie i zamilkły... Przed domami było pusto. W sklepach siedzieli kupcy nieruchomi, śpiąc czy marząc.

Po ostatnim, drżącym jeszcze ciągle dźwięku gitary, nie słychać było ani jednego głosu.

Weszliśmy w bramę ostatniego domu. Sień była tak ciemna, że z początku nic nie widziałem; dopiero na pierwszym piętrze zrobiło się jasno i zobaczyłem przez otwarte drzwi — ogród z pomarańczami i z winem. Potem ogród zniknął, jak obraz, i ściemniło się znowu. Na drugim piętrze były drzwi zamknięte. Zapukałem, nikt nie odpowiedział. Weszliśmy do pokoju a nasze kroki odbiły się głośnie echem o kamienną posadzkę. Przy okrągłym stole grały 4 osoby w karty. Właścicielka „hotelu“, siedząca w wielkim, ceratą pokrytym fotelu naprzeciw drzwi, spojrzała na nas gniewnie i karcąco jednym okiem, wydymając pogardliwie usta... Miała twarz całkiem białą, jakby

zanadto wypudrowaną, włosy siwe, i brwi bardzo ciemne, krzaczaste. Ramiona jej były okryte szalem włóczkowym, czarnym, i zdawało się, jakby trzęsła się z zimna.

— Padrona rozdaje — rzekł oschle siedzący naprzeciw niej starzec, z czerwoną chustką na około szyi, podobny z twarzy do Petrarki.

Nie wiedziałem, co z nami będzie, bo nikt nie zwracał uwagi ani na mnie ani na *vetturina*...

— Ecco... — mruknął *vetturino*.

— Pan nie umie grać — powiedziała padrona neapolitańskim dżalektem do Petrarki.

Zacząłem chrząkać i kaszlać znacząco. Wstał maleńki, suchy człowieczek, którego dotychczas dobrze nie widziałem, i zawołał trzy razy cienkim głosem:

— Pompei...!

Po chwili wszedł lokaj w żółtej liberji z srebrnymi guzikami, który się widocznie nazywał tak, jak nie-szczęśliwe miasto, zasypane przed wiekami lawą.

Maleńki człowieczek uśmiechnął się przyjaźnie, wskazując na nas palcem.

— *Quaranta cinque* — rzekł do lokaja. Padrona zmierzyła mnie od stóp do głowy i powiedziała cicho, nie wiedzieć dlaczego po niemiecku.

— Może pan tutaj zostać, jeżeli się panu podoba.

— Owszem — odpowiedziałem, grzecznie kłaniając się padronie, która jednak spoglądała teraz już tylko na swoje karty.

Zaprowadzono mnie do pokoju numer czterdziesty piąty. Dwa łóżka okryte baldachimem z białego mu-

ślinu i jasnoniebieskich wstążek, marmurowa posadzka, wielkie weneckie lustro, jedno krzesło, cztery szafy i komoda, na której stała fotografia...

Przez okno zaglądała do pokoju — jedna duża kamelja, która, nie wiedzieć skąd, dostała się tak wysoko. Wyszedłem na balkon i zobaczyłem, że kamelja namalowana była na oknie. Kropił cieniutki, drobny deszcz, a niebo było jakieś nieneapolitańskie, ołowiane, szare, smutne. W powietrzu unosił się ostry zapach wilgotnych liści, ryb, oliwek i atramentu czy czerwonego włoskiego wina. Na dole dwóch małych, czarnych drabów kradło z winnicy owoce. Ogród, który na schodach wydawał mi się niesłychanie wielki i pełen słońca, teraz przedstawiał się między ciemnymi, brudnymi domami, czerwonymi dachami i gankami, nędznie i smutnie jak biedna zieleń, którą porastają kamienie i mury.

Miałem uczucie wielkiej samotności, miałem wrażenie, że nikt nie wie o mojej obecności w tym domu i że mógłbym w tej chwili wyjść tak samo jak przyszedłem, albo poderznąć sobie gardło albo strzelać... a moje otoczenie spałoby dalej, a padrona grałaby dalej z Petrarką.

Naraz usłyszałem za sobą szelest jedwabnej sukni. Odwróciłem się szybko... nie było nikogo. Wszedłem do pokoju, który pachniał deszczem i Neapolem... Zdawało mi się, że tu ktoś był i wyszedł... Nie było nikogo, ale przed chwilą słyszałem przecież wyraźnie szelest sukni.

Nagle uczułem spojrzenie ludzkich oczu... i jakby

uśmiech, który gdzieś był w pokoju i dotykał mię lekko swemi promieniami tak, jakby przez szpary firanek zaglądało słońce... Zobaczyłem fotografię na komo-dzie. Jakaś dziewczyna młoda, smągła, o tych banal-nie wielkich i czarnych oczach, które się na nas patrzą w całych Włoszech z okien starych domów, w mroku wieczornym na ulicy, z tłumu, snującego się nad brze-giem morza w Santa Lucia.

Grube, czerwone wargi, a w nich wyraz jakiejś dziecinnej, lekkomyślnej ochoty do życia. Taki sam wyraz, jaki ma morze około Capri, albo zieleń ogro-dów w Sorrento. Zaczesała była tak sztucznie, jak contezzy, które siedzą w powozach na Chiaju, albo brudne wyrobnice w San Giovanni. Dziewczyna z ludu, przebrana w jedwabie, złoto i koronki. Na twarzy, w ustach i w oczach mieniła się te same na pół senne, na pół namiętne instynkty, które drgały w głosie owej nocnej śpiewaczki, którą zbudziłem niechcący przed chwilą w ciemnej *via della Notte*. Twarz żyła, śmiała się i promieniowała jak lampka ży-cia. Zdawało się, że otaczają ją złote kręgi, jakby światło padało na wodę, a woda śmiała się do świa-tła.

Nie wiem — pomyślałam — czy będzie można za-snąć w tym pokoju, w którym jest tak jasno. Niebo szare i smutne, a tutaj złoci się życie. W całym Nea-polu nie ma życia. W całym Neapolu nie ma śmierci. Ja żyję wiecznie — mówiła do mnie uśmiechnięta dziewczyna, przebrana za wielką panią. A potem

szepnęła tak słodko, prawdziwie po włosku, jedwabnie: ja cię kocham.

— Cudownie — powiedziałem — nachylając się ku niej, i czułem jej oczy tak blisko siebie, jakbym wychylił się z łódki i spojrział w głębię morza — cudownie, bo ja cię także kocham. Powiedz mi, kim jesteś? Znam cię oddawna... Pamiętasz... byłem raz u ciebie w Wenecji... pracowałeś w wielkiej fabryce na *Canal Grande*... za pięćdziesiąt centesimów dziennie. Potem spotkałem cię raz na Sycylii, w tłumie pięknie ubranych ludzi, w nocy, w ogrodzie Bellini w Catanii. Smyczki grały „*Musica proibita*“, a w powietrzu oddychały słodko kwiaty wanilji. Szłaś blada, wysoka i wiotka, przebrana w barwy ogniste południowych kwiatów, wsparta na ramieniu męża... i spojrziałaś na mnie tak, jak teraz... tak długo, tak, jakby się nasze oczy całowały, łączyły się w pieśni i w zapachu nocy. A raz szedłem w Apeninach wczesnym rankiem i ujrzałem cię na drodze z dzieckiem na ręku. Byłaś odziana w lachmany, twarz twoja była schorowana, żółta i zalana łzami, ale oczy, te oczy czarne, a wielkie jak oczy Assunty, błyszczwały, jak dwa słońca. I dałem ci z litości kilka soldów, a ty, z wdzięczności, skradłaś mi kilka lirów. A raz w karnawale, w Rzymie, na *Corso Umberto*...

— *Buona sera, signore...*

Odskoczyłem od fotografii, jakby złapany na gorącym uczynku. W pokoju stała, okryta czarnym szalem, stara gospodyni.

— *A... buona sera, padrona...*



Nie patrzyła na mnie. Rozglądała się po pokoju, jakby kontrolując, czy wszystko w porządku. Patrzyła się wzrokiem jasno niebieskim, bladym, niby wypłowiałym, który zdawał się właściwie nic nie widzieć i tylko dotykać się pojedynczych sprzętów, jak ćma obija się o sprzęty i o mury. Miałem wrażenie, że nie widzi ani mnie, ani żadnej rzeczy w pokoju. Nie wie, jak wyglądam: „może ma mnie za innego „signora“, który tutaj mieszkał przed dwudziestu laty, a jeżelibym wieczór przyszedł znowu z *vetturinem* i z pakunkami, to nie zdziwiłaby się wcale i ulokowałyby mię najspokojniej w pokoju *quaranta cinque*.

— Jakże pan spał tej nocy? — spytała, patrząc się na mój kuferek, takim tonem, jakby mówiła przez sen albo w gorączce.

— Tej nocy? Mieliśmy burzę... silny *sirocco*... nie spałem wcale.

Podniosła ze zdziwieniem swój wzrok z kufereka na sufit... Nie wiedziała zapewne, że nocy nie spędziłem w jej hotelu, tylko na okręcie. Ale zdziwienie jej trwało krótko. Zakrzętała się. Mruknęła kilka słów po francusku, potem po włosku, a wreszcie zaczęła znowu takim samym cichym, sennym głosem, jak przedtem.

— Pan przyjechał z Aleksandrji. (Nie protestowałem). Ma pan słuszność, przypominam sobie dokładnie, że przyjechał pan dziś rano z Aleksandrji, gdzie wuj pański umarł na suchoty. Moja babka, siostra jenerała Aristide Falieri, o którym opowiadałam panu wczoraj wieczór przy kartach, ten sam, który

nie wierzył w duchy, aż raz przekonał się... zna pan już tę dziwną historję... moja babka miała tę samą skłonność do choroby morskiej, co pan... Ja nie jeżdżę nigdy okrętem i boję się nawet zdaleka patrzeć na morze... od samego zapachu dostaję mdłości... ale za to czasem jadę z księżniczką Marją powozem na Posilippo (wymawia po neapolitańsku: Posilecco), to znaczy jeździłam dawniej, kiedy księżniczka jeszcze żyła... Nie wiem, czy panu opowiadałam, że byłam kilkanaście lat w służbie Burbonów. Potem, naturalnie, jak panu wiadomo, zmieniło się wszystko... Księżniczka mnie bardzo lubi, księżniczka jeździ ze mną codzień po południu na Posilecco... Kiedy księżniczka jeszcze żyła, byłam bardzo piękną. Nie wiem, czy panu mówiłam, że książe się we mnie właściwie potajemnie kochał... Niech pan tego nikomu nie mówi. Także tego niech pan nikomu nie mówi, co opowiadałam mu przed tygodniem o mojej córce... zresztą, jeżeli pan spojrzy na moją córkę, to zobaczy pan moją własną młodość i urodę... Wyglądałam zupełnie tak, jak moja córka, tylko miałam niebieskie oczy, a Carmela ma czarne... jak pan widzi n. p. tu na fotografii.

— Carmela... Carmelina, powtórzyłem szeptem, patrząc na fotografię.

Padrona opowiadała tymczasem o jakichś strasznych intrygach na dworze burbońskim, o zazdrości wysokich dygnitarzy z powodu łask, jakimi cieszyła się u dworu ona, czy jej mąż, czy cała jej rodzina.

Opowiadała o jakiejś truciznie, którą zadano lub chciano zadać jej samej, czy jej mężowi, czy... jej ca-

łej rodzinie. Mówiła o tych okropnych, a przynajmniej trochę niezwykłych rzeczach ciągle tym samym obojętnym, dziwnie sennym głosem, tak jakby opowiadała bajkę z tysiąca i jednej nocy, a nie zdarzenia z własnego życia.

Nie wiem dlaczego, miałem wrażenie, że wszystko, co mówi, jest nieprawdą, a zarazem, że wszystko jest prawdą... mniej więcej tak, jak się wydają różne zjawiska we śnie. Miałem także wrażenie, że to, co słyszę, padrona opowiadała już przedtem niezliczoną ilość razy w ten sam chaotyczny sposób, używając przytem zawsze tych samych niezrozumiałych określeń i wyrazów.

Nie starałem się jej zrozumieć, bo zajęty byłem całkowicie myślą, że fotografia przedstawia córkę padrony, a więc osobę, która zapewne mieszka ze mną pod jednym dachem i którą lada chwilę mogę zobaczyć.

Mimo to, nie widziałem jej nigdzie, kiedy wyszedłem z pokoju, nie widziałem jej także, wróciwszy wieczór z wędrowki po mieście, i szukałem jej wzrokiem napróżno przy obiedzie, choć zresztą cała partja whista, nie wyłączając Padrony, siedziała przy stole.

Po obiedzie, grała muzyka w Galerji Umberta „canzone premiate“. Piłem wino, które rośnie u stóp Wezuwiusza. Była pieśń o pięknej zalotnicy, dla której tracą rozum i zmysły po kolei Beppo i Tonio i Turridu i Carlo i Francesco... Grzesznica znana na całej kuli ziemskiej pod różnem imieniem, w pieśniach

różnych melodyj i języków... Bella Mari śmieje się z Francesca i z Carla i z Beppa... Widzę, jak się śmieje, bo pieśń jest słodka i ognista, jak wino, które piję... Marja ma oczy tak czarne i błyszczące, jak Carmela na fotografii. Na estradzie stoją muzykanci („cinquanta sei professori“) w czarnych frakach i białych krawatach, stoją w długich, powłóczyстых sukniach panie, które mają wdzięczny uśmiech, białe zęby i wszystkie te same, błyszczące czarne oczy. Pod szklanym dachem galerji snują się tłumy, oświetlone białem światłem wielkich kul elektrycznych. Między jasnowłosemi Angielkami i elegantami włoskimi stoją ciemne postacie lazzaronów o żółtych twarzach, suche, niby spalone słońcem i wiatrem, dzieci wynędzniałe, brudne o rozczochranych, czarnych kudłach na głowie, niosące z sobą zapach morza i Santa Lucia, nędzy i ryb, jak motyle nocne bezbarwne, cisnące się do światła. Słuchają wszyscy pieśni o zalotnej Marji. Słuchają z zapartym oddechem w piersiach, ich ciemne twarze rumienią się z lekka, jakby stali przed wielkim płonącym ogniem, ich usta, rozwarłe lekko, wyglądają, jak rozdarte ciało owocu granatu... a czarne oczy błyszczą... Signor maestro musi powtarzać kilka razy nagrodzoną pieśń zalotnicy.

Morze daleko, a mimo to słyszę je. Szumi i śpiewa razem z muzyką, razem z temi tysięcznymi ustami i duszami. Słyszę, jak szumi i czuję jego zapach. Widzę wielką skałę niedaleko Molo, która wygląda, jak schylona okrągła głowa olbrzyma, z wystającą dolną szczęką. Stałem przed godziną na tej lysej kamiennej

głowie i zdawało mi się, że olbrzym pije z chciwem pragnieniem ciemnozielone, szumiące morze. Wyciąga swą potężną dolną szczękę, jak ryba, i wchłania w siebie każdą falę, która z łoskotem rozbija się o jego czarny pysk w śnieżną pianę. Czasem czeka długo, wyciąga napróżno wilgotne, lśniące usta i patrzy i czeka. Zdaje mi się wtedy, że ogarnia mię jego żądza i że czekam z nim razem. Patrzymy daleko przed siebie i śledzimy, jak wody się gotują, krzyżują i łamią, aż podnosi się powoli jakieś ciało i rośnie i wzdyma się i toczy się coraz bliżej do brzegu. Bije nam serce i drgamy z pragnienia. Czekamy na falę, która nas czasem zwodzi i niedaleko brzegu naraz upada z szumiącym śmiechem i chowa się... aż za chwilę wysuwa gdzieś daleko swój kark z wody. Czasem przyływa zupełnie niespodzianie, oszołamia nas z nienacka swym cudnym zapachem i oblewa słoną pianą.

Słyszę naokoło siebie śmiech. Maestro zagrał po raz szósty pieśń zalotnicy, a tłumy szaleją z entuzjazmu i ciemne spalone dłonie klaszczą a usta krzyczą jeszcze... jeszcze... Śmieją się sami z siebie. Cieszą się już naprzód, wiedząc, że postawią na swoim i że pięćdziesięciu sześciu „profesorów“ w czarnych frakach i eleganckie panie w jedwabnych, długich sukniach będą musieli grać tak długo i śpiewać, jak się spodoba biednym, brudnym lazzaronom i żebraczkom i kwiecniarkom i rybakom i dzieciom.

Tak długo, jak zechce na przykład ten chudy, wysoki chłopak o brunatnej, ptasiej twarzy, z małemi świecącymi oczkami, w brudnoniebieskim trykocie

i białej płóciennej czapce, który śmieje się triumfująco, pokazując szpiczaste mysie zęby i wymachuje rozkazująco gołemi, długimi rękami. Jeszcze... Maestro waha się, buntuje... schodzi z estrady... Tłumy z chłopakiem o ptasiej twarzy na czele krzyczą z oburzeniem... Chłopak woła, że się pieśni jeszcze na pamięć nie nauczył, więc musi być powtórzona. Potakuje mu wielka grupa innych chłopców, którzy trzeciej strofki, także jeszcze dobrze nie umieją... Inni żądają powtórzenia całej pieśni od początku...

*Forestieri* przypatrują się tej walce z drwiącym, zimnym uśmiechem... Maestro rumieni się ze wstydu i widać, że postanawia być odważnym. Daje znak pięknej Maddalenie Fiori, o kruczych włosach i śnieżnym gorsie, która siedzi gdzieś w kącie estrady i wachluje się obojętnie olbrzymim wachlarzem z długich piór czarnych... Maddalena wstaje leniwie i ospałym krokiem, jak lunatyczka, wysuwa się naprzód... Przez chwilę panuje cisza, jak przed burzą; chłopak w niebieskim trykocie otwiera ze zdziwieniem swój ptasi dziób, a jego latające niespokojne oczka pytają: co to będzie? Maestro stuka czarną pałką o pulpit... podnosi rękę i... naraz dają się słyszeć dźwięki smyczków i harfy... wstęp do jakiejś arji operowej... Rossini, czy Bellini... Zrywa się orkan krzyków, w których toną ciche drżące dźwięki harfy i smyczków. Nie chcemy... nie chemy — wołają lazzaroni — grajcie „Bella Mari“!... Bella Mari! — ryczy chłopak na przodzie, głosem takim, jak zachrypły świst parowca... Maddalena wachluje się leniwie, spoglądając na wście-

kły tłum tak zimno, jak doświadczony marynarz na rozhukane morze.

Ale usta jej są zaciśnięte a na kremowej twarzy pojawiają się krwawe wypieki. Zaczyna cicho, jakby z tłumionem łkaniem swą „wielką arję“. Chłopak, stojący naprzeciw, krzyczy, wykrzywiając się, jak szatan. Maddalena śpiewa, starając się głos jego przysłuszyć.

Maestro wymachuje z podwójną energją swą pałką, „profesorowie“, trochę zmieszani i bladzi, grają, nie patrząc wcale na tłumy.

— Dosyć — krzyczą lazzaroni — idź Maddaleno, idź, grajcie „Bella Mari“. Naraz chłopak zaczyna śpiewać. „O bella Mari!... Mari“ — pierwszą strofkę, którą już umie na pamięć — a wtórują ją mu inni. Chór rośnie, pieśń o zalotnej Neapolitance płynie i zalewa wszystkie dźwięki orkiestry i arję Rossiniego, płynie aż pod sam dach galerji, przerywana od czasu do czasu wybuchami szalonego, dzikiego śmiechu.

Maddalena rzuca nuty na ziemię, schodzi z estrady, orkiestra przestaje grać, tłumy klaszczą, jak opętane, i krzyczą: *brava... bravissima... Fiori...*

Maddalena przebiega koło mnie. Widzę, jak błyskawicę, jej rozognioną twarz i wielkie łzy, które po niej cieką, i małe ręce, zaciskające się z gniewem, i oczy, te oczy... usta, to... Tak, to ona, Carmela, którą kocham, odkąd jestem w Neapolu, której szukam tyle godzin naprózno, to ona, córka mojej gospodyni, ona, jak na fotografii... Zrywam się, roztrącam wszystkich, przewracam butelkę, z której sączy się czerwone wino,

i biegnę za nią. Przebiegam całą galerję wzdłuż i w szerz. Nie, tu jej niema; z pewnością wyszła tędy na ulicę, poszła pewnie do domu. Teraz zaraz ją zobaczę, powiem jej wszystko, powiem jej. Stoję na tłumnej *via Toledo*, jasnej, jak w dzień, pełnej powozów i ludzi.

— Widzę cię — mówię cicho, uśmiechając się — jesteś daleko odemnie już tam, prawie na *Piazza S. Ferdinando*, biegiesz, jakby ścigana, tłumy otaczają cię ze wszystkich stron, jakby chciały cię skryć przed mojem okiem, ale ja widzę twój czerwony płaszcz i kapelusz z piórami, widzę cię, jak płomyk, raz tu a raz tam, widzę, jak biegiesz; jak pędzisz, gnana wstydem, upokorzeniem i gniewem, czuję żar w twojej piersi, widzę łzy, które spływają po twojej twarzy i widzę twe zaciśnięte, białe pięści.

Przed samem wejściem na plac zobaczyłem ją po drugiej stronie ulicy, pod latarnią... Nie widziałem dokładnie twarzy, ale zdaje mi się, że patrzała na mnie, jakby mię wołała uśmiechem, czy wzrokiem. Przyśloniłem sobie oczy ręką. Czy to ona?...

Zbliżałem się powoli, nie zważając na wozy, nie zważając na konie, których łby przesuwały się blisko koło mnie... Naraz czerwona postać oddaliła się od latarni, zniknęła na małą chwilę w tłumie... aż naraz zobaczyłem, jak wchodziła w jakąś ciemną, wąską uliczkę. Poszedłem za nią. W uliczce świeciło się tylko jedno, słabe światło.

Prowadziła mię, jak błędny ogień, przez labirynt uliczek... Nim zaszedłem do *via della Notte*, gdzie



przed progami domów było czarno i rojno, jakby z kryjówek wyszło robactwo całego miasta, rozzu-chwalone nocą — wybiła północ... Zbliżałem się do hotelu, jak w gorączce... Jeżeli wróciła do domu, to ją zobaczę teraz... Zdawało mi się na dole, że słyszę jej głos. Zdawało mi się, że słyszę, jak łkaniem i z drżącym gniewem opowiada matce o zdarzeniach wieczoru, jak skarży się jej, płacząc, i przysięga, że już nigdy nie będzie śpiewała w Galerji, dla ulicy, dla tego tłumu... okropnego... *cattivo... maladetto...* I zda- wało mi się nawet, że słyszę, jak odpowiada jej senny, monotonny i obojętny głos starej Padrony...

...Moje biedne, ukochane dziecko... moja ty piękna Carmelino... — mówi gospodyni w chwili, kiedy otwieram drzwi pokoju...

Stoję u progu, nie zdejmując płaszcza i kapelusza. Gdzie... ona?... Do kogo mówi padrona?...

Przy stole... ta sama czwórka grająca w karty, którą widziałem przed obiadem, zresztą nie ma w po- koju nikogo... Gospodyni mówi swoim bezbarwnym, jednostajnym głosem, nie patrząc na mnie, ani na ni- kogo.

...moja ty piękna Carmelino... Zazdrościli ci... Zazdrościli ci twej piękności, twoich czarnych, błysz- czących oczu. Nie wiem, czy opowiadałam państwu, że Carmelina była najpiękniejszą na dworze burboń- skim. W mojej córce kochał się potajemnie brat księ- cia, principe Ludovico... Tylko proszę tego nikomu nie mówić. *Che bellezza!* Jej fotografia jest tam w po-

koju czterdziestym piątym na komodzie. Dzień przed swoją śmiercią....

— Przed czyją śmiercią? — pytam drżącym głosem.

Petrarka i inni partnerzy gospodyni odwrócili się, mierząc mię od stóp do głowy. Padrona chrząknęła i powiedziała niechętnie.

— Pompei... zamknij drzwi, które signor zostawił za sobą otwarte. Dzień przed swoją śmiercią Carmelina miała już przecucie, że ją otrują...

— Ależ signora... upomniał Petrarka gospodynię łagodnie.

— Zapominasz, że nie twoją córkę Carmelinę, ale twego męża otruto. Opowiadałaś przedwczoraj, że twego męża...

— Mego męża — potwierdziła obojętnie gospodyni.

— A Carmelina? Carmelina? — pytam po raz setny.

Pompei, który właśnie zamykał drzwi od sieni, westchnął głęboko i objaśnił mię po cichu:

— Ach, biedna signora Carmela! Żona rzeźnika z S. Giovanni... córka naszej padrony — umarła nieszczęśliwa przed piętnastu laty, coś przy siódmem, czy ósmem dziecku...

— Padrona rozdaje — rzekł po chwili Petrarka.

Wiatr z deszczem. Słyszę, jak bije o szybę. Choć leżę w łóżku, czuję jeszcze ciągle błoto i zimno. Czuję cały dzień, który minął. Zdaje mi się, że idę ciągle z jednej lekcji na drugą. Zdaje mi się, że nogi wloką się zmęczone. Nie mogę zapomnieć nawet teraz, że jestem nauczycielem fortepianu, choć niby spoczywam i mógłbym być kilka godzin sobą.

Ale nie wiem, co znaczy być sobą, bo zapomniałem, kim jestem; z przyzwyczajenia nazywam się w duchu jeszcze ciągle artystą. Ale może być, że to tylko wspomnienie ze snu, który miałem kiedyś w młodości, a że naprawdę jestem tylko tym, za kogo mają mnie ludzie, to jest nauczycielem fortepianu.

Nie wiem nawet, czy kocham jeszcze ciągle muzykę. Nie wiem, czy kocham ją tak, jak wówczas, kiedy żyli moi rodzice, a ja nie potrzebowałem na nic zarabiać, tylko na przyszłą sławę. Zdaje mi się, że teraz czasem nienawidzę tej muzyki, której uczę innych za pieniądze. Nienawidzę muzyki i nienawidzę uczniów. Żyję... po co?... dla czego?... dla jakiejś tam nadziei, że może kiedyś stanę się znowu sobą.

Widzę bladą twarz Miry i jej energicznie zaciśnięte usta. Kazała mi być sobą. Słyszę jej głos i dźwięk

tego głosu odczuwam jeszcze ciągle, tak jak wszystkie piękne dźwięki. Ale treści jej słów dawno już nie rozumiem. Dlaczego nie jest przy mnie? Myli się co do swego powołania. Uczy się gdzieś medycyny, a ma tyle talentu na kobietę.

Potrzebuję kobiety; to znaczy kogoś, któryby chciał tego, czego sam kiedyś chciałem. Bo teraz czasem nawet już nie chcę. Poddaję się losowi i chodzę na lekcje. A jeżeli nie ma błota i deszczu, to czuję się nawet dobrze. A jeżeli jest błoto, to pocieszam się, że go po jakimś czasie nie będzie. Jeżeli trafi się taki dzień, jak dzisiaj, to wieczór mówię: już minął... a wiem przytem dobrze, że wróci.

Zdaje mi się, że przyjdzie czas, kiedy zupełnie myśleć przestanę. To znaczy, że przestanę oglądać się po za siebie i wyczekiwać czegoś od jutra. Wówczas będę z pewnością lepiej wypełniał swoje obowiązki. Będę szedł regularnie, jak zegar majora, który jest, zdaniem jego, tak dokładny, jak słońce. Może wtedy nawet zdrowie mi się polepszy. I w ten sposób będę żył dłużej. Dobre zegarki żyją dłużej niż ludzie.

Nieprzyjemnie, że myślę teraz o zegarku zamiast spać. Od dziecka myślałem ciągle o czasie. Rachowałem dni do niedzieli, do wakacyj. Zdawało mi się, że trzeba to przeżyć, jak najprędzej. Tak jakbym szedł na wysoką stromą górę i oczekiwał z upragnieniem wierzchołka. Nie ulega wątpliwości, że widziałem przed sobą zawsze jakiś wierzchołek. Chorobliwa iluzja, która mi zepsuła życie. Patrzałem zawsze za daleko przed siebie i dla tego potykałem się ciągle.

Okradałem się sam, starając się przeżyć jak najprędzej wielki kawał czasu, żeby dojść do jakiegoś szczytu, którego właściwie niema...

Chcę poprostu zapomnieć, że żyję. Przyjdzie mi to łatwo dopóki ludzie płacić mi będą za lekcje. Bo jeżeli przestaną, to będę musiał znowu pchać się i bić i uganiać za jakimś zarobkiem. Nie wiem czy w takim razie nie wolałbym raczej zginąć z głodu. Nie mam już energii i ochoty do walki.

Major w każdym razie jest pewny, choć nie wiem, czy jeszcze długo córeczki pozostaną pannami. Hela pójdzie za mąż, bo o tem nie myśli. Zresztą także dlatego, bo szczęśliwa i głupia. Lonia ma jakiś nerwowy niepokój, jakby nie miała czasu... Zostanie starą panną. Przykro mi, kiedy na nią patrzę, bo zdaje mi się, że zostanie kiedyś całkiem sama na świecie, tak jak ja. Cała moja znajomość ludzi zasada się na porównaniu z samym sobą. Wiem, że to nie jest żadna metoda, ale właściwie wszystko jedno, w jaki sposób jest się jednostronnym... Zresztą Lonia ma tak zwany talent i już dlatego nie będzie szczęśliwa...

Leżę tak godzinami i myślę zamiast spać... Śpię coraz gorzej i krócej. Grają mi ciągle w uszach... jakieś okropne fortepiany. Najgorsi są chłopcy. Jeżeli mają talent, to duży, ale jeżeli nie mają talentu, to są gorsi niż najgłupsze dziewczęta. Uczenie takiego Frania Biernickiego to syzyfowa praca... Dziewczęta mają przynajmniej intuicję. Grają nieraz bardzo „gładko“, nie mając zupełnie słuchu. Odgadują fortepian, tak jak odgadują mężczyzn, choć nieraz ich nie

rozumieją... Heła mnie odgaduje. Spostrzegłem to nieraz z pewnym zakłopotaniem n. p. w chwili, kiedy patrzyłem na jej usta czerwone i świeże.

Leżę tak godzinami i nie śpię... Tracę najlepszą rzecz, którą mam teraz w życiu... Przechodzi mię dreszcz na samą myśl, że może tak będę leżał bezsen- nie aż do rana... Nie mogę spać, bo myślę o śnie... Nie wypocznę, nie będę miał ani chwili zapomnienia... Bije dwunasta... I zaczyna się jutro... A co to jutro... co jutro?... Taki dzień, jak wszystkie... deszcz i błoto... Deszcz z wiatrem...

Spotkałem się dzisiaj z Wygarowskim. Byliśmy z sobą blisko; mówiono, że to mój przyjaciel. Nie wiem, czy dlatego byliśmy tak zakłopotani przy spotkaniu, że on zgolił sobie brodę, czy dlatego, że ja nie jestem jeszcze na żadnym „stanowisku“. Ma już pewną sławę, a że nie miał nigdy taktu, więc nie wie, co z nią zrobić. Ubiera się trochę przesadnie dobrze, jak na to, że niegdyś nosił przez cały tydzień jeden kołnierzyk. Pociesza mnie ciągle oczami, jakby zapewniał, że jeszcze coś ze mnie będzie. A że jest przy tem wszystkim także urzędnikiem i dlatego „ma dużo do roboty“, więc spacerowaliśmy z sobą zaledwie pół godziny. Mówił bardzo zajmująco o sobie i zdawało mu się, że jest bardzo delikatny, że nie mówi o mnie. Ponieważ nie lubię żadnej pobłażliwości i, bądź co bądź, na żadną nie zasługuję, więc byłem z nim chłodniejszy, niż chciałem.

Właściwie go lubię, tak jak wszystkich ludzi, któ-

rzy nie są do mnie podobni. Bardzo energiczny człowiek. To znaczy, że żaden cel nie znudzi mu się przedtem, nim go osiągnie. Jeżeli mu wpadnie na myśl zostać ministrem, to prędzej czy później chyba nim zostanie. Ponieważ chce być, zapewne, sławnym kompozytorem, więc mógłbym mu już teraz zazdrościć.

Ma nadzwyczaj małą głowę. Kiedy ubiegaliśmy się niegdyś o pierwsze miejsce w klasie, to całą moją nadzieją była ta nędzna objętość jego głowy. Kalkulowałem, że nie ma w niej poprostu miejsca na tę nadwyżkę inteligencji niezbędną dla pierwszego premjanta. Przerachowałem się naturalnie, tak jak we wszystkim, co się tyczy jego zdolności i sukcesów. Nie zazdrościłem mu nigdy, tak jak mu i dziś nie zazdrozczę. Może być, że wyścigi jeszcze nie skończone, choć moje życie jest jak wąska, brudna uliczka, w której niema słońca. Dlaczego mi się tak zdaje, nie wiem, ale gdyby mi się tak choć czasem nie zdawało, to życie byłoby nie do zniesienia. A tak znoszę je nieźle. Wgrywam się coraz lepiej w rolę zegara, ale muszę mieć tę pewność, że kiedyś znowu będę człowiekiem. Jeżeli ta pewność jest tylko złudzeniem, to niech niem będzie, byle przeprowadziła mię tylko przez życie. Śmieje się słodko i ciągle cofa się wtył; naraz zniknie, kiedyś po latach... a ja upadnę wdół, życie się skończy... Mogę to sobie tak dokładnie wyobrazić, jakby moja iluzja wyglądała jak żywa kobieta, która śmieje się, tak, jak czasem Hela, kiedy się jej wydaje, że robi na mnie „wrażenie“.

Zresztą Wygarowski odmlodniał. Przypomniiał mi znowu owego Józia z lat gimnazjalnych, którego szczypałem pod ławką, bo mi nie chciał podpowiadać. Należy do ludzi, którzy nie podpowiadają nikomu, a swoją lekcję umieją doskonale dla siebie.

Zwierałem mu się nieraz; on mi się nie zwierzał nigdy. Dlaczego tak było, nie wiem. Komponowałem już wtedy i później w konserwatorium. A profesorowie nie zwracali na mnie uwagi. Nie rozumieli mnie wtedy, kiedy było najwięcej potrzeby, żeby mnie ktoś rozumiał. Nie wiedzieli, że są tylko na to, żeby mnie rozumieć... Więc zwierzałem się jemu, a on mię rozumiał i słuchał.

Podczas dzisiejszej rozmowy z Wygarowskim przypominały mi się kolejno najlepsze kompozycje, których — nie napisałem. Łypie nerwowo lewem okiem, tak jak wówczas, kiedy „tłumaczyłem“ mu „myśl“ mojej symfonji *A-Moll*... Ten człowiek ma w swojej twarzy wszystkie moje kompozycje. Może ma je także w głowie. Może zapamiętał wszystkie motywy, które mu wygrywałem z zapałem na fortepianie, a na których wypracowanie nigdy mi nie wystarczyło energii. A że to człowiek praktyczny i ze wszystkiego, co ma, potrafi także coś zrobić; więc może robi z moich motywów pocichu swoją sławę.

I tak może moja sztuka pośrednio wydestynie się na wierzch. Trzeba go będzie obserwować. Może dowiem się, śledząc koleje jego kariery i losu, co mogłoby być ze mnie, gdybym nie potrzebował dawać lekcji



i gdybym obok swego talentu posiadał pewne jego praktyczne zdolności.

Teraz czuję naraz, że Wygarowskiemu przecież trochę zazdrozczę. A gdyby tak było? Wtedy najlepiej nie spotykać się nigdy z tym człowiekiem. Budzi on we mnie ambicje, które, rosnąc, mogą mnie pchnąć znowu na krzyżową drogę niezaspokojonych pragnień i ciągłych rozczarowań. Trzeba sobie powiedzieć, że największą rozkoszą na świecie, jest być dobrą, bezustannie poruszającą się maszyną. Jeżeli na razie nie czuję tej rozkoszy, to dlatego, że każda maszyna z początku jęczy, skrzypi i zgrzyta... Potem koła obracają się lekko, gładko i rytmicznie, tak, że muszą się wprost upajać własnym ruchem. Przychodzi to słodkie zadowolenie, które odczuwa się n. p. po pewnym czasie w ciągu każdej pracy fizycznej. Zadowolenie, które odczuwać musi nawet fabrykant szpilek przy którejś tam tysięcznej szpilce.

Pani Biernicka zdumiałaby się bardzo, słysząc, że uczenie jej syna stawiam na równi z wyrabianiem szpilek. Utrzymuje zawsze, że zajmuję swój zawód w sposób tak szlachetny, jak żaden metr fortepianu, z którym spotkała się kiedykolwiek w życiu. Nie wie, że gdybym był naprawdę tak szlachetny, to tępe zdolności Frania nakazywałyby mi zaprzestać wszelkich bezowocnych męczeń tego zresztą poczciwego dziecka i zrezygnować z siedmiu guldenów tygodniowo, które są wyrzucone na darmo...

Ale z siedmiu guldenów zrezygnować nie mogę.

Jutro zbudzę się z bólem głowy. Wiem o tem z pewnością, bo w tej chwili bije druga, a ja nie mam najmniejszej ochoty do snu. Wieczór u majora... Widzę ciągle Helę, jej miękkie ruchy i czerwone usta... Ale przedtem dzień okropny... Zresztą znoszę takie przyjemne dni i lekcje, spokojnie jak muł, ale czasem... zbierze się we mnie tyle jakiejś goryczy czy wściekłości, że zacznam kopać i kąsać i...

Do wybuchu przyszło u nieszczęśliwego Frania. Nie wiem, czy byłem sprawiedliwy... Ten chłopak drażni mię może głównie przez to, że jest pod każdym względem tak strasznie... brzydki. Ma jakiś dziwnie wyzywający, niesympatyczny rodzaj brzydoty, który sprawia wrażenie, jakby był sam temu winien, że jest brzydki. Jakby chciał mię obrazić brzydkim wyrazem swych zielonych oczek, brzydkim rysunkiem swego nosa... Czując, że go nie lubię, nie miałem przecież świadomości, że postępuję z nim niesłusznie. Zdawało mi się, jakby to on nienawidził mnie przez swą brzydotę, jakby chciał mię obrazić przez to, że jest brzydki...

Kazałem mu powtarzać jeden i ten sam pasaż bez ustanku. Czułem przytem, że męczę go napróżno. Czułem, że będzie się ciągle uśmiechał tak samo i z zakłopotaniem i że będzie powtarzał coraz gorzej i gorzej... Mimo to męczyłem go dalej. Przestałem nawet uważać, wiedząc, że musi grać źle i fałszywie. Miał uśmiech drażniący, złośliwy... Jakby naumyślnie robił błędy... Choć oddychał ciężko ze zmęczenia, a krople potu

spływały mu po bladej, piegowatej twarzy, choć ręce trzęsły mu się ze strachu...

— Nie chcesz... Umiesz, ale nie chcesz...

Uśmiechał się ciągle tak podstępnie, jakby rzeczywiście z umysłu mię drażnił...

Gniew, który tłumilem w sobie przez cały dzień, opanował mię tak, że się mu poddałem prawie z przyjemnością. Czułem, że Franio nie może naprawdę, bo jest w takim stanie, jak wróbel, który ze strachu zapomina latać, tylko skuli się i drga na całym ciele i robi ciągle ten sam ruch bezcelowy i prawie prosi oczami, żeby go schwytać lub zabić.

— Pro... szę powtórzyć.... Proszę powtórzyć...

Słyszę jeszcze teraz tych kilka taktów, powtarzanych bez końca... Naraz zatrzasnąłem fortepian i wyszedłem z pokoju. Nie widziałem, jak w tej chwili wyglądał Franio. Dopiero na schodach stanęło mi nagle przed oczyma, jak podniósł się powoli z miejsca, jak uśmiechał się ciągle podstępnie i mrugał rudemi rzęsami, jak twarz jego była blada i spływały po niej krople potu...

Na ulicy wiał suchy wiatr południowy, który nie chłodził, ale przepelniał mię niepokojem. Nie czułem zmęczenia, choć wszystkie lekcje miałem już za sobą. Miałem jakieś przykre uczucie, jakbym czegoś zapomniał, czegoś nie zrobił. Stałem. Zdawało mi się naraz, że powinienem wrócić i grać dalej z Franiem... Czułem, że się rumienię, jakby z jakiegoś okropnego wstydu... Pasaż, który grał Franio, zaczął mi dźwięczeć w uszach... Dlaczego go tak męczyłem?

Naraz niepokój minął i opanował mię wielki smutek. Taki smutek najgorszy bez wyraźnych myśli i uczuć, jak gruba mgła na sercu... Szedłem powoli do domu przez ulice, na których świeciły się już latarnie. Miałem uczucie wielkiej samotności. Tak, jakbym widział naraz siebie, jak obcego człowieka, widział siebie, jak idę sam przez ulicę i przez życie... Słyszałem ciągle odgłos własnych kroków... Pomyślałem sobie, że tak idę ciągle samotny z domu i do domu. Sam wychodzę wczesnym rankiem, żeby wieczór sam wrócić... Ciągle sam... Gdybym się teraz dał przejechać przez dorożkę, to nikt nie odczułby mojej śmierci jako straty...

Kiedy pomyślałem sobie zaraz, że mam wracać do domu i wyobraziłem sobie swój pokój... ogarnął mię jakiś dziwny lęk... Widziałem siebie, jak wchodzę do ciemnego mieszkania, jak zapalam świecę i w lustrze widzę swoją własną twarz... Stanąłem i spojrzałem w jakieś rzęsiście oświetlone okna... Naraz przypomniała mi się Hela... Myśl, że mogę pójść teraz do majora, ucieszyła mię tak, że zacząłem sobie winszować, jak umierający z głodu, który nadspodziewanie znajduje dziesiątkę w podszewce dziurawego surduta. Zacząłem prawie biec... I widziałem jasny pokój, w którym są ludzie szczęśliwi i uśmiechnięci... Słyszałem głos Heli i czułem miękki uścisk jej ręki...

Nie zastałem ich w domu.

Spytałem jeszcze raz sługę... jakbym usłyszał coś bardzo przykrego... Potem odwróciłem się, milcząc...

Ale Hania nie chciała mnie puścić... Może pań-

stwo zaraz wróca... Uśmiechała się gościnnie... A jeżeli poszli do teatru, na koncert? Hania wzruszyła ramionami... Wahałem się... Wstydziłem się przytem, że czekam i że niewiem, czy iść czy zostać... W kuchence paliła się mała lampka... Mały zegar stojący tykał ciągle, pytając: cóż będzie? cóż będzie? Hania uśmiechała się gościnnie...

Naraz zadzwoniono... Przyszli.

Świeży chłód powietrza... zmieszany z perfumami Heli... Ucieszone głosy... Brzęk szabli majora... Oczy Heli napół uśmiechnięte, napół zdziwione, jakby pytały: czekałeś na nas?... dlaczego?... Potem jednak te oczy zrobiły się bardzo wesołe i, bądź co bądź, rade, że mnie widzą... To się tak wszystko czuje w kilku sekundach, w przedpokoju...

Kiedy wnieśli lampę, Lonia zaczęła pierwsza dużo mówić o koncercie Stavenhagena, który ma być w sobotę. Tak, jakby myślała ciągle o koncercie Stavenhagena. A ja, patrząc na nią, zastanawiałem się nad tem, że w świetle sztucznem wygląda jakoś świeżej i ładniej.

Wieczór był przyjemny. Zdaje mi się, że mówiłem bardzo dużo, bo miałem ciągle uczucie, że się dobrze bawię... Bawiłem się tak dobrze, że... nie wiem dlaczego... będę szedł z pewnem zakłopotaniem na przyszłą lekcję do majora. Nie wiem, co mówiłem, ale czułem ciągle, że kiedyindziej, w jakimś innym stanie psychicznym czy fizjologicznym mówiłbym mniej i inaczej... W tym stanie jednak było mi dobrze i czu-

łem, że mam sympatię nawet u Loni, która zazwyczaj na coś takiego właściwie nie wygląda.

Podczas kolacji przeszło mi tak chwilę przez głowę, że Lonia wygląda na pannę, która wychodzi na estradę i uśmiecha się, podtrzymując jedną ręką długą, powłóczystą suknię, i pochyla nisko, bardzo nisko głowę, jakby uginając się pod szumiącym deszczem oklasków... Takich oklasków, o jakich kiedyś marzyłem dla siebie... Uczułem silny dreszcz, patrząc na nią, jakby mi to powiedział ktoś inny i jakby nie było wątpliwości, że tak będzie naprawdę... I podniosłem kieliszek... Uśmiechnęła się i także swój kieliszek podniosła... Zdawało mi się, jakby jej błyszczące oczy wiedziały o czem myślę i potwierdzały wszystko... Twarz miała oblaną pąsem...

Hela siedziała koło mnie... A choć mało na nią patrzyłem, a tem mniej z nią mówiłem, to jednak czułem, że ciepło i jasność tego pokoju pochodzą tylko od niej...

Major uśmiechnął się domyślnie...

— Niech żyje sztuka! — wypowiedział swym cichym głosem...

Tak zrozumiał niemy toast, który wznieśliśmy z Lonią...

Hela położyła swą białą rękę na ramieniu siostry... Patrzyli oboje z ojcem na Lonię przy tym toaście wzniesionym „na cześć sztuki“, jakby oprócz niej nie było innego artysty w pokoju... Uczułem się znowu przez chwilę, jako „metr fortepianu...“ Ja się więc nie liczę do sztuki, ja tylko „kształcę...“. Kształcę in-

nych na artystów, a sam pozostanę zacnym nauczycielem, który jest tylko na to, żeby inni „wspominali“ go kiedyś z „wdzięcznością“. I kiedyś panna Lonia, stojąc na estradzie i podtrzymując ręką długą, powłóczyłą suknię, spostrzeże go gdzieś tam w tłumie, cisnącym się w tyle koncertowej sali... I wyróżni go łaskawie, posyłając mu uśmiech, albo nawet zejdzie z estrady, przejdzie przez całą salę i poda mu rękę... — Kto to jest? — będą szeptali ludzie...

Przekonałem się za chwilę, że mam o tyle dar jasnowidzenia, że naprawdę jakiś koncert wisi w powietrzu. Ma się odbyć na przyszły tydzień i Lonia wystąpi na nim po raz pierwszy na estradzie. Miała to być zapewne dla mnie „niespodzianka“... Major się zdradził. A potem mówił o tem bez końca, patrząc na mnie swemi strasznie wypukłemi, jasnymi oczami... Mówił o tem cicho i uroczyście, jakby chodziło o rzecz naprawdę ważną i doniosłą.

Po kolacji Lonia grała swój „kawałek“... Siedziałem w fotelu, paląc cygaro i słuchałem. Zdawało mi się, jakbym słyszał grę Loni po raz pierwszy. Zresztą nie była to może zasługa Loni, tylko czasem działa tak na mnie wogóle muzyka, jakby rzecz całkiem nowa, świeża, dotychczas nigdy tak silnie nieodczuta. Jakbym nie był „nauczycielem“ muzyki.

Ten instrument, którego w pewnych chwilach wprost nienawidziłem, naraz dźwięczał, mówił mi coś, czego zresztą nie słyszałem, tak jakby tony stały się naraz jakies świecące, czyste, jak połysk kwiatów,

obmytych deszczem. Tak niekiedy zsuwa się niby i upada szara powłoka, którą życie zakryło mi duszę.

Rozgrzało mię wino, może i światło z ciemnych oczu Heli, i powłoka spadała, i zaczęły śpiewać z grą Loni we mnie całe chóry i orkiestry. Słyszałem może tylko muzykę, którą grała moja dusza, a nie Lonia. Zdaleka uśmiechał się do mnie, niby jasny, pogodny pas nieba na dalekim widnokręgu. I zdawało mi się, że znowu lecę, lecę... Uśmiechałem się do szczytu, do nadziei, do przyszłości...

— Pani jest artystką...

Mówiąc te słowa do Loni, czułem jednocześnie, że mówię w duszy tylko: na niebie jest jasny pas pogodny...

A Lonia słuchała, zarumieniona i szczęśliwa...

Widząc to, naraz się zmieszałem. Miałem także uczucie, jakbym nie był powiedział Loni zwykłej pochwały, lecz jakgdybym był przed nią klęknął lub zrobił jej zaraz nieszczerze wyznanie miłości...

Ale idąc od majora do domu, myślałem tylko ciągle o białych rękach i o czerwonych ustach Heli.

Szedłem wczoraj przez obcą, odległą dzielnicę, koło kościoła, w którym nigdy nie byłem. Szedłem w słońcu, krokiem zmęczonym i ospałym. Zdawało mi się, że jestem cały przesiąknięty słońcem. Nie myślałem w tej chwili o niczem innym i nic nie czułem, choć ludzie, którzy przechodzili koło mnie, mieli uśmiechnięte oczy, jakby cieszyli się wiosną. Naraz... przed kościołem... stanąłem i obejrzałem się za ko-



bieta, która właśnie przeszła... Zdawało mi się, że ją poznałem i ogarnęła mnie taka radość, jakbym za nią był już przedtem tęsknił i dziękował teraz Bogu, że ją widzę...

Zdaje się, że twarzy jej nawet nie widziałem... Mimo to poznałem ją z ruchów i sam nie wiem, dlaczego jej widok zrobił mi naraz taką radość...

Weszła do kościoła... A ja poszedłem po schodach za nią... Potem starałem się odszukać ją oczami w ciemnym kościele... Szukałem napróżno... Chwilę zdawało mi się, że klęczy niedaleko przy konfesjonale... Ale naraz kobieta, na którą patrzyłem, odwróciła się i zobaczyłem twarz — obcą... Teraz wiedziałem, że się pomyliłem... W kościele było tylko kilka osób, których nie znałem...

Naraz usłyszałem za sobą kroki... Do kościoła wchodzili znowu ludzie... Wpatrywałem się w każdą twarz... I nagle jedna z tych twarzy spojrzała ku mnie i uśmiechnęła się... To była — Hela..! Spojrzała na mnie tak, jakby jej oczy mówiły: dopiero teraz przychodzę... choć zdawało ci się już przedtem, że jestem... Byłem tak zdziwiony, że ledwie skinąłem jej głową... Zniknęła gdzieś w cieniach kościoła... a ja nie wiedziałem, czy widziałem ją naprawdę, czy pomyliłem się znowu, jak przedtem...

Ze wszystkich stron dochodziły do mnie szepty, kryjące się gdzieś w mrokach... Ale całkiem u góry wysokich okien, z tyłu za wielkim ołtarzem złociło się słońce. Ołtarz zasłany był biało, jakby przygotowany na święto i stały na nim kwiaty. Pomyślałem

naraz, że zbliża się Wielkanoc. I myśl ta ucieszyła mnie tak, jakbym był dzieckiem, które cieszy się na święto...

Usiadłem w ławce, wstrzymując prawie oddech z obawy, żeby radość nie uciekła mi z serca... Zapomniałem na chwilę o wszystkim, tak jakby wszystko, co się ze mną działo od dziecka, było tylko snem, a rzeczywistość, to tylko ten białe zasłany ołtarz z kwiatami... Czułem, że się cieszę... Tak jakby była jakaś radość dla wszystkich... gdzieś w ukryciu, do której można zawsze wrócić i zawsze znowu być dzieckiem... Tak, jak wraca co roku wiosna, która się złoci tam u góry, w wysokich gotyckich oknach...

Naraz słońce zbladło i w kościele zrobiło się ciemno. Uczułem chłód, wiejący od kamieni. Ocknąłem się, jakby ze snu, i wstałem...

Na ulicy spostrzegłem, że już późno i że muszę się śpieszyć do nowego ucznia, u którego miałem być po raz pierwszy... Mieszka daleko za miastem. Wyszedłszy z kościoła, zwróciłem się na drogę, prowadzącą między ogrodami... Drzewa nie miały jeszcze liści, ale już ziemia oddychała wiosną...

Mój nowy uczeń to — starzec. Ale mimo siedmiedziesięciu lat zaczyna uczyć się muzyki, całkiem od początku, jak dziecko. Choć może się zdarzyć, że jutro zapuka do niego śmierć i powie: już noc!... chodź ze mną... Wygląda zupełnie tak samo, jak wyobrażałem go sobie przedtem. Ma czerwoną twarz i śmiejące się oczy. Jest mały i rusza się tak szybko i niecierpliwie, jak ludzie, którzy stoją w samym zgiełku ży-

cia. Ma śliczny ogród, w którym są wysokie smreki i lipy, kasztany i kilkanaście gatunków róż...

Zaczął mi opowiadać, jak to od dziecka nie marzył o niczym innym przez całe życie, tylko o muzyce. Ale nie miał nigdy czasu, żeby zacząć się uczyć... Był czterdzieści lat urzędnikiem... Dopiero przedwczoraj poszedł na pensję...

Nie mógł się przedtem uczyć, bo toby go tak było „wzięło“, że przestałby myśleć o biurze... Więc od kilkadziesiąt lat robił tylko plany na przyszłość. Wyobrażał sobie, jak to będzie, jeżeli pójdzie raz na pensję. Ciągle tylko o tem myślał... Tutaj myślał o tem i tam na górze pod smrekami... I tutaj na tej drodze co rano, kiedy szedł do pracy... A swoją pracę wykonywał ciągle z myślą o tej jakiejś lepszej przyszłości...

Spojrzał na mnie, jakby zdziwiony, otwierając szeroko oczy.

— A teraz, to nie chce mi się wierzyć, że marzenie stało się naraz prawdą... Nie chce mi się wierzyć... Ciekawym, co z tego będzie? Czy to będzie trudno? Mogę ćwiczyć się całymi dniami... Mam tyle czasu, tyle czasu...

Mówił to zupełnie, jak dziecko... Powtarzał ciągle, że będzie się uczył i ćwiczył... Wyglądał tak, jakby nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że w tak późnym wieku ludzie zazwyczaj nie zaczynają się uczyć... Nie rozumiałem wogóle, że mógł tak spokojnie patrzeć swemi jasnymi oczami w przyszłość i robić plany, spodziewać się, marzyć o osiągnięciu jakichś doczesnych

celów... Bo myślałem dotychczas, że ludzie w tak późnym wieku widzą tylko niesłychanie wiele rzeczy poza sobą, a przed sobą tylko... jedno, i na to jedno boją się patrzeć i mrużą oczy i starają się zagłuszyć w sobie myśli...

Szliśmy po ścieżkach ogrodu, a szary mrok owijał zasłoną nagie drzewa i stłumiał wszystkie głosy z ulicy.

A że to taka godzina, w której człowiek mimowoli mówi szeptem i lękliwie, więc byłem prawie zdumiony, że on mówił tak swobodnie, głośno, wesoło... tak jakos, jakby siedł w słońcu...

Heła jest narzeczoną.

Bywa u nich od dawna młody człowiek, nieśmiały i małomówny, którego małe oczka nie zdawały mi się nigdy wyrażać wielkiego rozumu, a który, jako daleki krewny domu, podawał mi czasem płaszcz w przedpokoju. W mojej obecności odezwał się coś dwa razy. O ile sobie przypominam... raz o awansach w magistracie, a drugi raz o deszczu, czy o śniegu. Powiedziano mi, że wczoraj zdał jakiś egzamin, potrzebny mu koniecznie do małżeństwa, czy do magistratu, i że na podstawie tego egzaminu zaręczył się z Hełą.

Ta dziewczyna od wczoraj jest śliczna. Oczy jej mają jakiś połysk ciemny, jakby fosforyzowały szczęściem. Piękność jej bujna i zmysłowa stała się jakaś świadoma sobie, prawie inteligentna. Teraz wiem na pewno, że byłbym się w niej kiedyś niebezpiecznie za-

kochał i dlatego dobrze się stało, że kuzynek zdał ten potrzebny egzamin.

Zdaje mi się, że jeżeli w moim losie jest coś pocieszającego, to tylko to, że jestem z niego niezadowolony. To jedno może mię kiedyś wyratować. A w moim stanie obecnym Hela byłaby klęską ostateczną. Niebezpieczeństwo było wielkie, bo ludzie tacy, jak ja, którzy marzyli kiedyś o jakimś szczęściu szerszem, o osiągnięciu jakichś szczytów idealnych, czy sławy, a których potem zdeptało życie, sięgają w złych chwilach skwapliwie po szczęście zwykłe, osobiste, choćby najbanalniejsze, jeżeli im się takie szczęście nawinie w drodze i jest łatwe do zdobycia. A potem spoczywają w tym szczęściu jak na miękkim posłaniu, a oczy duszy zaczynają im się kleić... Ogarniają ich zadowolenie z siebie i z porządku świata...

Będzie jednak z pewnością tak, że i szczytów owych nigdy nie osiągnę i nie będę miał nigdy tej odrobiny słodkiej iluzji, zwanej szczęściem, jaką się cieszy tylu obywateli tego świata. Dlatego też, patrząc u majorów na Helę, wahałem się bardzo, co lepsze: czy moje marzenia o przyszłości, czy jej śliczne, czerwone usta i czy nie byłoby się przecie lepiej stało, gdyby kuzynek obciął się na egzaminie...

Założyłbym się zresztą, że się przy tym egzaminie jękał, choć major mówi o nim — mniej więcej tak, jak o wszystkich przyjemnych młodzieńcach — że ma „przyszłość przed sobą“...

I on także... przyszłość... Kto wie, może zostanie naprawdę kiedyś radcą magistratu... Podczas gdy

ja, prawdopodobnie, nie zostanę nigdy sławnym artystą.

Widzę cudne oczy Heli, wpatrzone w tego radcę *in spe*, jak w księżyc albo w gwiazdę wieczorną... Jej oczy się błyszczą... Szczęśliwa. To, co mi się wydaje małym i śmiesznym... jest dla niej życiem... wielkim, niesłychanym szczęściem, w którym promienieje i rozkwita, jak róża w słońcu... Patrząc w te śliczne oczy, uczulem naraz ból kłujący, gorący... To nie zazdrość, Heli nie kocham. Myśl, że może być szczęśliwą z innym, nie sprawia mi wcale cierpienia. To nie zazdrość o Helę, chyba zazdrość o życie... Tęsknota za tą jakąś radością, która jest dla wszystkich...

W dzień koncertu byłem u Loni, tak, jak lekarz odwiedza chorego przed operacją. Dzień szary, chłodny. Lonia wyglądała brzydko i starzej niż zwykle. Owinięta w czarny szal, przyjęła mię w sieniach z twarzą bladą i z takim wyrazem w ustach, jakby dygotała w dreszczach. Oczy miała otoczone czarną obwódką i zmęczone, włosy nieuczesane i dziwnie zimne w tonie, brudnopozielate, bez blasku. Nie mogłem sobie wyobrazić, że to kobieta, która wstępuje na estradę.

Oświadczyła, że się boi i że dlatego kazała mnie do siebie prosić. Wierzyłem jej aż do chwili, kiedy siadła do fortepianu... Bo potem miałem takie uczucie, jak lekarz, którego kobiety wołają nie dlatego, że są chore, tylko dlatego, żeby mu pokazać przy opatrunku jak są piękne. Nie można nazwać jej gry ina-

czej, jak „koncertową“. W jakimś znaczeniu dla mnie nieprzyjemnem, ale bądź co bądź w takim, że można jej wróżyć świetną przyszłość.

Ma zapewne ów dar czysto kobiecy zdobywania sobie rutyny, prawie cudem, zapomocą intuicji, nie pracy. Choć zaledwie rozpoczęła swój zawód, ma już większą rutynę, niż talent. Tak, jakby nie znając jeszcze *sanctissimum* swej sztuki, odgadywała je już naprzód, jakie w niem są — tapety. Zdawało mi się dotychczas, że znam ją tak dobrze, jak tylko nauczyciel może znać ucznia, i naraz przekonałem się, że jej nie znam. Grała i grała, a ja słuchałem tonów, jakby szmeru jakiejś gładkiej, obojętnej salonowej rozmowy, pytając się ciągle: kto ją tego nauczył?...

— Co mogę pani powiedzieć? — szepnąłem prawie ironicznie i zimno, patrząc na swoje paznogie — jestem o panią spokojny... Da sobie pani radę zawsze i wszędzie, niema powodu do żadnej obawy...

Patrzała na mnie przenikliwie, jakby starając się odgadnąć, co myślę. Zobaczyłem naraz, spoglądając na nią przelotnie, że jej oczy, przedtem zamglone i zimne, świeciły się teraz takim blaskiem, jak czarne perły w słońcu.

I ten blask oczu zdumiał mię więcej niż jej gra przed chwilą.

Przez otwarte okno wiał chłód wiosenny, przenikliwy, wilgotny. Lonia drżała, otulając się szalem.

— Zimno... Ojciec to lubi... Cały dzień okna muszą być otwarte...

— Pani lubi ciepło...

— Tak...

— Wygląda pani zmęczona... Proszę koniecznie wypocząć i nie grać już przed koncertem.

— Które miejsca, zdaniem pańskim, gram gorzej?

— Nie wiem... Żadne...

Spojrzała na mnie znowu ze zdziwieniem, niedowierzająco...

— A więc do widzenia... wieczór! — rzekłem; podając jej rękę...

— Do widzenia — szepnęła, uśmiechając się nerwowo.

Jej ręka była zimna.

Wieczór zobaczyłem u progu sali koncertowej grupkę, w której znajdował się Wygarowski. Ubrany nadzwyczaj starannie, gładził białą ręką swą gładko ogoloną brodę i uśmiechał się z czegoś, bardzo dowcipnie, mrużąc oczy...

— Czy to twoja uczennica? — spytał, kiedy przechodziłem koło niego, wskazując palcem na nazwisko Loni na afiszu.

— Tak.

— Aha... dobrze...

Zanotował sobie coś ołówkiem, patrząc przy tem na mnie, jakby zapewniał: nie bój się, będę ją protegował...

Stałem w tyle. Nie widziałem ani majora z Helą, ani innych znajomych. Widziałem tylko wachlarze, gorsy, fraki... Zdawało mi się, że ci ludzie znają się wszyscy między sobą i prowadzą teraz, uśmiechając się ciągle, tak jak przedtem Wygarowski, jakąś cichą



rozmowę, której nie rozumiem. Słyszałem jakiś szmer zagadkowy, widziałem śmiejące się oczy i usta w jasnym świetle elektrycznym. Zdawało mi się, że wszyscy pachną jedną i tą samą perfumą i że wszyscy mówią o muzyce. Bo przedemną siedziała kobieta z obnażonymi, bardzo białymi ramionami, wysoka i pełna, która, poruszając bardzo powoli wachlarzem z czarnych piór, posyłała mi ciągle fale jakiegoś bardzo słodkiego, egzotycznego zapachu, a przytem słyszałem urywane słowa, które wymawiała głosem leniwym, zwracając się do Wygarowskiego. Mówiła o nokturnie, który miała grać Lonia, używając jakichś wyrazów sztucznych i niezwykłych. Z dźwięku jej głosu czułem, że mówi nieszczerze, dla popisania się przed Wygarowskim, a z jego uśmiechu widziałem, że popisuje się przed nią...

Nie poznałem Loni, kiedy wyszła na estradę... Miała coś w postaci i w ruchach, czego u niej dotychczas nie widziałem... Miała jakiś uśmiech drażniący i zmysłowy, jak ładne aktorki... Wygarowski szepnął do kobiety z białymi ramionami:

— Piękność wieczorna...

Przypomniałem sobie, jak Lonia wyglądała rano, w szalu, dygocząca z zimna, z twarzą, jakby zwiędłą, zmiętą. Wyglądała cała, jakby zgasała, a nawet włosy nie miały barwy i blasku i tylko oczy świeciły się po grze, jak czarne perły w słońcu... Teraz jaśniała. Twarz miała jakąś świeżość dziewiczą, którą opromieniał uśmiech; włosy iskrzyły się, jak sucha sierść kocia.

Grała z większą pewnością, niż rano, i z tą samą rutyną czy kokieterją, z jaką weszła na podjum i ukloniła się fotelom w parterze. Czułem, że się podoba, nim jeszcze skończyła swój nokturn. A przy końcu nawet Wygarowski i pani z białymi ramionami klaskali w ręce.

Patrzałem i zachwyciałem się, jak pięknie za każdym razem wychodzi na estradę, jak uśmiecha się, podtrzymując jedną ręką długą, powłóczystą suknię i pochyla nisko, bardzo nisko głowę, uginając się pod szumiącym deszczem oklasków, takich oklasków bez końca, o jakich kiedyś, kiedyś marzyłem dla siebie...

Wygarowski kiwał przychylnie głową i notował coś skrzętnie na afiszu. Potem uśmiechnął się i zaczął się patrzeć w moją stronę. Czułem, że szuka mnie wzrokiem. Aha! — pomyślałem — teraz kolej na nauczyciela „znakomitej artystki“. I ogarnął mnie jakiś niewytłumaczony lęk i wstyd, tak, że schowałem się za słup, żeby mnie Wygarowski nie widział.

Wystąpił skrzypek, a potem znowu Lonia...

Widziałem podczas pauzy, jak wyszła na salę i jak ją otoczono kołem, jak jej się dał przedstawić Wygarowski i sławny krytyk z „Gońca“ i sławny pianista Allegri i kilku innych sławnych ludzi. I widziałem, jak potem przystąpiła do nich wysoka, piękna pani z białymi ramionami i czarnym wachlarzem, która musi zajmować wysokie i poważne stanowisko w towarzystwie, bo całowali ją po kolei w rękę krytycy, pianiści i skrzypkowie. Przemówiła do Loni,

a Lonia ukloniła się nisko i odpowiadała uśmiechnięta, rozpromieniona, piękna...

Patrzałem na tę grupę, z której dochodził do mnie zapach ciągle tej samej, słodkiej i silnej perfumy i myślałem: Winszuję ci, Loniu... jesteś na dobrej drodze... jesteś na tej drodze, gdzie leżą wieńce i gdzie byłbym może szedł z tobą, gdyby mnie nie było zdeptało życie...

Zobaczyłem naraz twarz owej pani z białymi ramionami i zdziwiłem się, że ma jakiś wyraz zwykły, prawie prosty, wyraz, który był w dziwnej sprzeczności z jej suknią, z jedwabiem jej głosu i z subtelnym zapachem, który od niej płynął. I zdawało mi się naraz jakby ten wyraz płaski i banalny miała cała grupa, która otoczyła Lonię, a z nią cała sala, panowie we frakach i panie w dekoltowanych sukniach...

Ogarnął mnie znowu lęk, żeby nie pytano mnie, żebym w tej chwili nie potrzebował mówić z ową panią, z Wygarowskim, lub z Helą.

I jeszcze podczas pauzy, wśród szmeru stłumionych rozmów i śmiechów, pocichu na palcach wyszedłem z sali.

Zaczął się Wielki Tydzień. Mój pokój w słońcu wyglądał dziś, jak obcy. Stary fortepian miał taki wyraz, jakby mnie nie znał. Obdarty fotel był jakby żółty rekonwalescent, który po raz pierwszy wychodzi na słońce i trzęsie się i mruży oczy... W pokoju duszno od moich myśli i pragnień, które nazbierały się tu przez zimę. Słońce piecze, jak w lecie.

— Pan od kilku dni w gorączce — powiedziano mi u mego siedmdziesięcioletniego ucznia.

Nie mieliśmy jednak tej pierwszej lekcji, za którą tyle lat tęsknił... A w ogrodzie zieleni się trawa... Przed kilkoma dniami było tu jeszcze szaro i pusto... Słyszę głos staruszka, jak rozlega się w wieczornym mroku... odważnie i dźwięcznie... Teraz leży i nie poznaje nikogo.

Miałem lekcję u Frania, a że było dużo czasu, więc szedłem bardzo powoli. Nie spieszyłem się wogóle na tę lekcję. Mimo to przyszedłem za wcześnie.

W sieni słyszałem głos fortepianu. Przypomniały mi się lata u rodziców. Jest jakieś podobieństwo w sieniach, może przez malowidła na ścianach, czy też przez małe podwórko, w którym stoi jakaś znajoma studnia, czy są jakieś znajome drzewa. Idąc po schodach, miałem jeszcze to samo wrażenie... Widzę przez okno mały ganek i słyszę, jak ktoś gra na fortepianie... Przypomniałem sobie, jak bawiłem się z innymi dziećmi na ganku lub na podwórzu, a matka na górze grała...

Mieszkanie było otwarte na oścież... W pokoju ktoś grał... Rozbierałem się cicho, myśląc nad tym, że to zupełnie kobiecy sposób grania... Niestychanie wiele uczucia... Jakaś dziwna, ładna rzecz, której nie znałem. Czekałem jakiś czas na progu, żeby nie spłoszyć owej matki czy siostry... Jakaś naiwna, świeża melodja... Usłyszałem za sobą kroki, musiałem otworzyć drzwi...

Przy fortepianie siedział — Franio.

— Czy to ty grałeś?

Krzyknął lekko i opuścił ręce... Spojrzał na mnie bezmyślnie, jak we śnie. Potem czułem, jak zmienia mu się twarz pod wpływem mego wzroku. I usta jego zaczęły się już krzywić w owym cierpiącym czy złośliwym uśmiechu... Spytałem cicho:

— Co grałeś przed chwilą?

Uśmiechał się ciągle, nie patrząc na mnie.

— Nie wiem.

— Jakto... nie wiesz?

Patrzył na podłogę.

— Pokaż mi nuty.

Zaśmiał się krótko.

— Niema nut...

— Niema? Grałeś z pamięci?

Począł się bawić guzikiem surduta, wykrzywiając jeszcze więcej usta.

Zagraj jeszcze raz to samo..

Zawahał się... usiadł...

— To... samo?

— Proszę cię o to — rzekłem bardzo łagodnie i cicho — podobało mi się ogromnie to, co grałeś.

Spojrzał na mnie z podejśba, szybko i podejrzliwie.

— Naprawdę? — bąknął.

— Naprawdę.

Przez jego twarz przeszedł wyraz napół drwiący, na pół szczęśliwy...

— Nie wiedziałem, że umiesz grać tak pięknie z pamięci...

Zarumienił się... Zaczął grać. To samo, co sły-

szalem w przedpokoju... Było mi, jakby się w tej chwili odbywało coś bardzo dziwnego... Uśmiechałem się, ale czułem, że jestem blady. Patrzyłem na małe, białe ręce, które przesuwały się po klawiszach, słuchałem tonów fortepianu i zdawało mi się, jakby między tem, co widzę, a tem co słyszę, żadnego nie było związku... A kiedy skończył, spojrział na mnie znowu z ukosa i powiedział szybko, z niewysłowionym wyrazem radości i dumy...

— To ja... To moje...

Wiedziałem. Ale przeszedł mię dreszcz... Wiedziałem o tem już podczas jego gry. Uśmiechałem się i patrzyłem na niego długo, nie mówiąc słowa... Przez otwarte okno dochodził do mnie z podwórza płacz dziecka. Pomyślałem sobie naraz, że to wszystko mi się nie śni, tylko jest rzeczywistość.

— Dlaczego nie mówiłeś mi nigdy?

Głos ugrzązł mi w gardle.

Franio spojrział na mnie wzrokiem, który zrozumiałem tak dobrze, że ogarnął mię naraz jakiś żar wstydu. Przypomniałem sobie ostatnią lekcję i wszystkie lekcje. Przypomniałem sobie własną młodość, własnych nauczycieli. Patrząc na niego, czułem, że ogarnia mnie wzruszenie, którego nie mogę opanować.

Staralem się okazać mu spokój, obojętność... ale czułem, że głos mój jest zmieniony i drżący.

Zmarszczyłem czoło.

— Będę z tobą teraz ostrzejszy — rzekłem surowo — masz talent, więc...

Ale on się już nie bał... Śmiał się swobodnie, jakby

czuł naraz w sobie tę siłę, którą miał od Boga. I twarz jego wyrażała jakąś niesłychaną radość, występującą powoli w oczach, coraz to śmielej i jaśniej, jak promienie przez chmury.

Spotkałem na ulicy Helę z narzeczoną, piękną i strojną. Zatrzymując mnie skinieniem głowy i uśmiechem, spytała:

— Czemu pan taki... szczęśliwy?

— Czy to widać?

— Widać...

Naraz sobie przypomniała:

— Lonia się na pana gniewa.

— Dlaczego?

— Nie mówił pan z nią na koncercie.

— Nie mogłem się przecisnąć przez tłum tylu innych, winszujących...

— A jednak... nie zależało jej nic na innych, tylko właśnie na panu, któremu tyle zawdzięcza.

Ukloniłem się zlekka.

— Dziękuję... ale mnie nikt nie winien wdzięczności... Dlaczego pani stała się naraz sentymentalną? Zaśmiała się.

— A czemu pan naraz taki szczęśliwy?

— Bo mam dobre zamiary... na przyszłość...

— Naprawdę?... Nie pytam: jakie...

— Owszem... powiem pani: chcę zrobić artystę...

— Z kogo?

— Z kogoś, który już jest na to przeznaczony.

— Życzę powodzenia.

— Dziękuję... Wesołego Alleluja!

Przyjechała Mira. Zostanie przez święta u matki. Wygląda zmęczona i trzyma się sztucznie prosto, jak istoty, które czują, że siły je niezadługo opuszczą.

Wracaliśmy wieczór z rezurekcji. Szliśmy w tłumie, który poruszał się cicho... Mężczyźni i kobiety, w których twarzach jaśniał wschodzący już blask wiosennego święta pociechy... Szli milcząc, może z nadmiaru jakiejś słodkiej radości, która z ich serc zdawała się płynąć w powietrze, przepelniając je zapachem tęsknym i wiosennym...

Mira szepnęła:

— Czy nie zdaje ci się, że tulą się do ciebie dusze, jak główki kwiatów w ogrodzie?

W mroku płonęły pierwsze latarnie, a ich światło żółtawe i drżące mieszało się z sinemi blaskami dnia, który bladł, jak uśmiech na sennych ustach.

Uścisnąłem jej rękę.

— Teraz w mroku zdaje mi się, że nie leżą między nami długie lata... Zdaje mi się, że idę z tobą wieczorem przez pola i łąki, tak jak dawniej, a nie po ulicach miasta.

— Masz ten sam głos, co dawniej.

— Jestem szczęśliwy, że jesteś... Nie miałbym bez ciebie świąt...

— A jednak rano byłeś smutny...

— Tak. Umarł człowiek, którego prawie nie znałem, a którego śmierć odczułem przecież głęboko...

— Dziś umarł?

— Dzisiaj... Starzy ludzie umierają na wiosnę... Umierają nieraz w same święto.



Odczułem jakieś lekkie drganie w powietrzu, które jeszcze nie było dźwiękiem, ale które już odgadywało moje ucho wrażliwe nawet na cień muzyki. I drganie to udzieliło się duszy i zmysłom. Z ręki Miry płynęło gorące życie. Spojrzeliśmy sobie w oczy i szliśmy przytuleni do siebie... A drganie stawało się coraz silniejsze i szybsze...

I naraz zaczęły bić dzwony. Jakby wielkie głosy kobiece i męskie.

Szliśmy w jakimś sennem poddaniu się tym fałom tonów, które nas niosły. Szliśmy zaśluchani i zdawało się nam, że idziemy jeszcze ciągle w pochodzie tłumy. Ocknęliśmy się dopiero, kiedy już miasto daleko było za nami...

— Wieje wiatr... pachnie...

— Wiosna.

Szliśmy dalej... Mira spytała.

— Kto to ten człowiek, który umarł?...

— Ten człowiek?...

Zacząłem jej o nim opowiadać... O tym starcu, którego miałem uczyć muzyki... O rozmowie, którą prowadziłem z nim wieczorem w ogrodzie...

— Tęsknił, całe życie tęsknił... Zresztą...

Uśmiechnąłem się smutnie.

— Ten człowiek, to może... ja...

Spojrzała na mnie szybko, przenikliwie...

— Ty?...

— Ten starzec żył tylko myślą o jutrze... a więc nie żył... Żył śmiesznym złudzeniem... nadzieją, że

kiedyś, kiedyś... dopiero żyć zacznie. I tak nie miał życia...

— A ty?...

— Ja się zbudziłem, Miro... Nie wierzę już w jutro... Tam daleko na niebie, gdzie tak jasno... gdzie jest pas tak pięknie pogodny, tam... zachód... Tam błędnie dziś i jutro...

Wstrząsnęła się i spuściła głowę... Nie patrzyła już w niebo tylko na dół, gdzie leżało miasto, gdzie mrugały setki drobnych światełek.

— Wracajmy — szepnęła — to tak smutno być wieczorem zdaleka od miasta i od tych świateł... Tu tak zimno...

— Patrzyłem na dół, na światła... Mira mówiła cicho i tęsknie:

— Jest ich tyle, tyle...

W głosie jej drżał smutek, jakby spoglądała na coś dalekiego, co się nie da osiągnąć. Spojrzałem jej w oczy. A choć było ciemno, czułem, że w tych oczach rozwiewał się teraz ten sam sen, który i ja kiedyś miałem.

— Tyle małych światełek — powtarzała — a każde światełko, to małe szczęście...

Zaczęliśmy schodzić do miasta. Nie mówiliśmy słowa. Ale czuliśmy gorące życie, które łączyło nasze dusze i zmysły... Szliśmy przytuleni do siebie, jakby w sennym poddaniu się tym falom życia, które nas niosło... Szliśmy upojeni i zdawało się nam, że idziemy jeszcze ciągle sami i w nocnej ciszy... Ocknęliśmy się dopiero, kiedy już byliśmy w mieście...

Twarz Miry okryta była rumieńcem, a oczy jej mgliły się, jakby zbudziła się ze snu.

W domu czekało na nas ciepło i święto. A kiedy na stole postawiono lampę, spojrzeliśmy z Mirą na siebie z uśmiechem... Wiedzieliśmy, że czujemy w tej chwili to samo...

Pomyśleliśmy, że tam z góry widzi się, jak za-  
błysło naraz znowu jedno światło...

## EPIZOD

— Jak się nazywa twoje szczęście? — pytali mnie ludzie. A kiedy odpowiadałem: miłość — śmiali się, nie wierząc, że kocham małą szwaczkę, Hanię.

— Twoja miłość nie przetrwa wiosny. Spytaj się twojej duszy, bo wiedz, że prawdziwe kochanie łączy dwie dusze na wieki. Łączy je tak, jak natura złączyła raz dwóch braci z Syamu; kiedy jeden miał pragnienie, to drugi pił wodę. Mieli także wspólnych wrogów; kiedy zaś przyszła pani z kosą, to bronili się razem i razem... się poddali. Spytaj się, czy ją kochasz?

— Kocham odpowiedziałem. — Kocham jej rękę, które oszpeciła praca i jej oczy, w których śmieje się lekkomyślność, i jej śmiech kocham, i te usta, które pachną wiosną... Bo wiecie, co to jest miłość? — To pierwsza wiosna, która pachnie... a nam pachnie świat i życie. Życie nas łączy. I wspólnych mamy wrogów — was i waszą zazdrość.

— Nie, nie... nie wierz nam... twoja miłość, to jak ten skarb, który posiada się we śnie... Nie poznasz jej kiedyś... Bo pomyśl, co cię łączy z ludźmi ze snu... Pierwsza wiosna, która pachnie... Kiedy przyjdzie, to wszystko inne staje się obojętne. Czy słyszałeś, że

umarł twój brat? — Ach może będę płakał kiedyś, bo teraz nic nie wiem, tylko kocham.

Nic nie wiem, tylko kocham, mówiłem, patrząc w oczy Hani... dawno temu w tę pierwszą wiosnę, która pachnie. Czy to nie cud; naraz dowiedziałem się, że mam Hanię: Była, jak życie. Śmiała się tak cudnie i złoto i jasno, więc zawsze był dzień w mojej duszy. Czasem patrzyłem ze strachem w jej oczy, czy może nie oszukuje, czy pozatem jasnem życiem w jej oczach niema innego...

— Ach, nie wiesz Haniu... śmiejesz się tak, jakbyś nie wiedziała, że można płakać... jakby na świecie nie było ani zimna, ani bólu, ani zbrodni.

— Bo niema — mówiła, śmiejąc się.

A kiedy się śmiała, to nie było naprawdę ani zbrodni, ani bólu, ani zimna na świecie.

— Tylko mi nie zazdroście... Czasem zdawało mi się, że czuję wzrok obcy, który nam zazdrości... Patrzył się na naszą wiosnę, tak, jak rankiem patrzy się ze zdziwieniem biały księżyc, którego noc zapomniała zabrać. Nie bała się tego wzroku i pachniała nasza wiosna. Tylko czasem... między dniem a nocą trzęsła się ze strachu.

A po wiosnie lato. Długie lato, kiedy noce nie śpią z kochania i leżą na wznak z otwartymi oczami, patrząc się w rozświetlone niebo, które także zasnąć nie może.

Nigdy się nie skończy — myślałem — nigdy miłość się nie skończy. Oto minęło lato i przyszła jesień, a oczy twoje śmieją się, jak na wiosnę...

O zachodzie słońca to było, w lesie daleko za miastem, kiedy, patrząc na nią, miałem naraz takie uczucie szczęścia, jak wówczas dawno, kiedy jeszcze nie znałem słowa szczęście.

Teraz będziemy zawsze razem...

Szumiały liście, a blask ich mrugał, mienił się w jej oczach.

— Zawsze razem, powtarzałem.

Czekałem, czy naraz nie wyczytam także z jej oczu: zawsze razem. Ale to było, jak we śnie; jej oczy nic nie mówiły, tylko śmiały się i mieniły...

Kiedy się zciemniało, zacząłem mówić: — nikogo się nie boję. Dla nas nigdy szczęście się nie skończy. Widzisz, przed rokiem ciebie nie znałem, a teraz niema dla mnie życia bez ciebie. A kiedy się zciemniało jeszcze więcej, radość moja zaczęła drzeć, jakby myślała, że może zblednąć i zniknąć.

Zrobiło się całkiem ciemno i cicho, tak, że już nie widziałem, czy jej oczy się śmieją.

— Nie boję się nikogo, mówiłem. A uczucie ciemności przemieniło się w dziwny, niewytłumaczony lęk i smutek, kiedy musieliśmy wracać do miasta.

Przypominam sobie, że wracaliśmy tej niedzieli z naszej wycieczki później, niż zwykle, i że pociąg był przepelniony ludźmi, których krzyki i głośne śmiechy słychać było jeszcze na stacji, a które naraz ucichły, kiedy zaczęliśmy jechać. Był z nami tylko jeden człowiek. Zdawało mi się, że na nas patrzy; tak nieprzyjemnie, jak ten niewidzialny wzrok, który czuję nieraz wśród szczęścia, wzrok, który zazdrości...

Ale przekonałem się, że tak nie jest. Patrzył prosto przed siebie. Mężczyzna bardzo wysoki i blady. Miał oczy wielkie, osadzone w ciemnych, głębokich dołach, a brwi podniesione do góry, jakby ciągle zdziwione, i bródkę taką, jak Don Kiszot, i bardzo niski kołnierzyk, i palce długie, białe, delikatne. Widzę go tak dokładnie, że mógłbym każdej chwili zrobić jego portret, gdybym był malarzem. Wiem, że miał krótko obcięte włosy i jasny krawat i długi brązowy surdut. Padało na jego głowę przyćmione światło z sufitu. Patrzył się nieruchomym wzrokiem prosto przed siebie — nie na nas, ciągle w ten sam punkt, może na dwie kartki, przyklepione na ścianie, na których były przepisy o użyciu sygnału alarmowego i przestroga, ażeby się nie wychylać przez okno.

Hania patrzyła na niego z taką ciekawością, jak dziecko. Od czasu do czasu robiła szeptem swoje uwagi. Była jakby lekko opalona po wycieczce, oczy jej błyszczały, a usta były czerwieńsze, niż zwykle. Śmiała się „z dziwnego pana“, a przytem było widać, że się go boi. Miałem uczucie, że obcy usłyszy te szeptki, że spostrzeże, iż o nim mówimy, pomimo, że się na nas nie patrzy.

— Cicho... cicho... — upominałem nerwowo Hanię. Bałem się, że obcy nagle na nas spojrzy. Hania śmiała się coraz więcej, pomimo moich upomnień. Drażniło mnie to ogromnie; czułem zresztą, że śmieje się nerwami. Coraz głośniej i głośniej. Obcy pan nagle drgnął i zwracając ku nam powoli głowę, spojrzął, milcząc, długo na Hanię. Umilkła w tej chwili. Wi-

działem, że zbladła i skrzywiła się tak, jak bardzo zawstydzone i przestraszone dzieci. Odtąd nie słyszałem już nigdy jej śmiechu.

Nachyliłem się do niej.

— A widzisz — szepnąłem, chcąc ją rozśmieszyć — broiłaś tak długo, aż...

Patrzyła na mnie z podełba, skubiąc nerwowo bukiet z polnych kwiatów, które uzbierała niedawno. Zrobiło mi się jej żal; wziąłem ją za małe, drżące ręce. A kiedy te ręce trzymałem, uczułem naraz silne wstrząśnienie, jakby pociąg nagle się zatrzymał. Hania krzyknęła i wstała. Skoczyłem do okna, ale nic nie widziałem, bo było ciemno, a dziś nawet nie mogę powiedzieć, czy staliśmy wtedy w polu, czy poruszaliśmy się bardzo powoli, dojeżdżając do stacji. Ale nagle zobaczyłem konduktora z latarką, który wyskoczył z pociągu na ziemię i wskazując ręką w kierunku jazdy, coś wołał, czego nie rozumiałem. Słyszałem także z innych stron jakieś nawoływania, czy krzyki.

— Pójdę zobaczyć, co się dzieje — powiedziałem idąc do drzwi.

Hania szła za mną bardzo blada, przyciskając ręce do piersi i szepcząc, jakby nie mogła mówić głośno ze strachu.

— Nie bój się — uspokajałem ją, — otwierając drzwi, prowadzące na platformę.

W tej chwili spostrzegłem, że mężczyzny, który siedział jeszcze przed chwilą z nami, nie było, i przeszły mnie, niewiedzieć dlaczego, jakieś dreszcze.



Na platformie stał mały żółty kuferek: własność naszego towarzysza podróży. Przeskoczyłem przez ten pakunek, zagrządzający mi drogę, i zszedłem po schodach wagonu na ziemię... Potem wyciągnąłem ręce ku Hani.

— Wejdz na kuferek — rzekłem do niej — a potem zeskocz... Ja cię złapię...

Widziałem jeszcze, jak Hania wstąpiła na walizkę.

Potem usłyszałem huk, łoskot i chrzęst łamiącego się drzewa, czy żelaza; brzęk szkła i chór jakichś strasznych głosów, który zdawał się wychodzić z ziemi, z pod moich stóp, a przedemną podnosiła się czarna, wysoka góra, na której tańczyły światła i po której chodzili, spadali, czy czołgali się ludzie — i widziałem, jak panna w niebieskiej sukni sunęła się po oknach, ciałach i kołach w jakiś dół i jak potem na jej wyciągnięte ręce kładł się olbrzymi kocioł. A potem rwały się jakieś łańcuchy i spadały kufierki, kapelusze i żelaza.

— Głowa, głowa — chrapał jakiś głos ochryply...

— Trzymać, trzymać — wołał ktoś za mną.

— Numer 6 winien...

— Lekarz, lekarz...

— O pięć minut zawcześniej...

— Zlitujcie się... Boże... mój brat...

— Wstań, wstań...

— Tutaj, lekarz...

Jakiś człowiek w żółtym płaszczu z wiszącym szkłem na sznurku, biegł pędem, krzycząc i trzymając się za uszy...

- Ściągnąć...
- Tutaj ludzie, trzymać...
- Ratujcie, tam... córka... słuchajcie...
- Przysięgam, że tamten wyjechał wcześniej...
- Odwalić, ludzie, odwalić...
- Tylko dwa wagony, panie naczelniku...
- Tam rannych...
- Kto zabity?... Ile?... I gdzie?...
- Jasiu, Jasiu...
- Palce, wszystkie palce...
- Strasznie...

Słyszałem ciągle o jakiejś pani, której „obcięto nogi“... A głowa moja stawiała się coraz cięższa i zdawało mi się, że połykam jakiś okropny, gryzący dym i dlatego mi tak zimno i słabo... i dlatego ściemnia mi się wzrok i nie mogę zrobić kroku.

Czując, że lada chwila mogę upaść, usiadłem na kuferkach i płaszczach, czerwonych poduszkach, nagromadzonych w jednym miejscu pod słupem. W tej chwili przystąpił do mnie konduktor, podnosząc wysoko latarnię i patrząc mi w oczy.

— Co pan robi? — mówiłem jak w gorączce. — Boli mnie światło...

Zbliżył latarnię zupełnie blisko do mego czoła i spytał:

- Czy pan ranny?
- Nie...

W tej chwili go poznałem. Miał czarną brodę i żółtą twarz. A był to konduktor, z którym jechałem kiedyś, może niedawno, przed chwilą.

— Gdzie jest ta pani, której... — nie mogłem do-  
kończyć.

— Aha tak, prawda, przypominam sobie — rzekł,  
biorąc mnie za rękę...

Kiedy zbliżaliśmy się znowu do góry, która teraz  
stała nieruchoma, dymiąca i czarna, uczułem coś w ro-  
dzaju nieprzewyciężonego wstrętu i fizycznego bólu,  
jakby mnie chciano uderzyć poraz drugi w to samo  
miejsce i tak już obolałe. Zdaje mi się, że konduktor  
mnie prawie ciągnął i że mu stawiałem jakiś dziwny  
opór. Ciągnął mnie z miejsca na miejsce... Zdaje mi  
się, że kręciliśmy się w kółko, żeśmy się ciągle wracali  
do tego samego miejsca...

Powtarzał niezliczoną ilość razy:

— Gdzie ranni z drugiej klasy?

Pytał się ludzi, którzy biegli w przeciwną stronę,  
nie patrząc na nas.

Czasem, nie odpowiadając, stawiali nam pytania:

— Nie widział pan dwojga dzieci z białymi czap-  
kami?

— Czy pan lekarz?

— Panie konduktorze, gdzie trzecia?

Potem stanęliśmy i widziałem przy świetle pocho-  
dni jakieś straszne, poszarpane, skrwawione ciało, wy-  
suwające się z pod wagonu. Potem widziałem na ziemi  
dziewczynkę, która miała przy oczach ręce krwią  
zalane. Potem księdza, leżącego na wznak z okropną  
czerwoną plamą zamiast nosa i ust... Potem konduk-  
tor zaprowadził mnie do miejsca oświetlonego latar-  
nią, gdzie cisnęło się najwięcej ludzi i klęczało na

ziemi dwóch lekarzy... czułem silny zapach jodoformu i zobaczyłem kobietę z zamkniętymi oczami, z rozpuszczonymi włosami, która od pasa aż do nóg tworzyła jakąś nieforemną masę, leżącą w purpurowej kałuży... koło niej leżał bukiet kwiatów polnych...

— To tutaj — powiedział konduktor, robiąc mi miejsce.

— Czy pan zna tę kobietę? — spytał mnie jeden z mężczyzn klęczących.

Popatrzałem chwilę na bladą twarz, otoczoną czarnymi włosami i odpowiedziałem:

— Znam.

Ale właściwie przyszedłem dopiero o wiele później do świadomości, że znam ją rzeczywiście. Nie poznałem jej w pierwszej chwili dlatego, bo się nie śmiała i miała zamknięte oczy.

Nie poznajemy ludzi niegdyś kochanych, bo cóż nas wiąże z ludźmi ze snu?...

Leżała w szpitalu. Mówiła mi oczami: Nie myśl, że musisz mnie pielęgnować całe życie dlatego, że przeżyliśmy z sobą wiosnę.

Odwiedzałem ją kilka razy tak, jak się odwiedza daleką krewną. Widziało się prawie z jej oczu, że straciła obie nogi... Twarz, w której nie było ani rozpacz, ani światła, ani bólu, ani śmiechu. Mówiła obojętnie o wszystkim. Mówiła takim głosem, jak starzy ludzie mówią o tem, co jest albo co będzie, tak jakby to już było. Mówiła o tem, że pada deszcz, że może dostanie od kolei jakieś odszkodowanie.

Podanie zrobił jej jakiś starszy człowiek, który

miał czarne brwi, czarną brodę i siwe oczy. Siedział przy niej pewnie cały dzień, bo ile razy u niej byłem, zawsze go zastawałem. Nie pytałem się, kto to jest; wydawało mi się to całkiem naturalne, że jest taki człowiek, który z nią żyje teraz, kiedy jest półtrupem, podczas, podczas gdy ja z nią żyłem wtedy, kiedy kwitła i twarz jej się śmiała. Mówił mało. Miał takie ruchy fatalistyczne i taki głos zawsze rwany — czy to mówiąc ze mną, czy z nią, czy z lekarzem — że wydawało mi się, jakby zadaniem jego życia było służyć kalekom.

Kiedy przyszedłem raz wieczorem i trafiłem przypadkiem na oględziny lekarskie, pokój oświetlony był tylko słabym płomykiem świeczki — miałem naraz uczucie, że nie przyjdę tu już więcej... Co ja tu robię? pytam się ze zdziwieniem, ze strachem i prawie ze wstrętem... Przecież tam leży... obca... Tej twarzy żółtej i strasznej nie znałem nigdy... Hanię znałem, której już niema, która przestała się śmiać w ową niedzielę na zawsze.

W pokoju było coraz ciemniej; świeca dogorywała, sycząc... Zdawało mi się, że czarne oczy Hani pytają się mnie także: Co ty tu robisz? Ktoś ty?...

Potem spytałem się lekarza: kto to ten człowiek, który pomagał panu przy opatrunku?

— Ten? Jej ojciec...

Odetchnąłem swobodnie... Chwała Bogu, ma ojca. Mogę sobie pójść, nie potrzebuję wrócić... Nie potrzebuję się nawet pożegnać... Czy nie pożegnaliśmy się już dawno?...

— Ma napewno sześćdziesiąt lat — słyszał przez drzwi — załóż się. Celina jest od niej młodsza o pięć, a Marja o osiem lat. Mogę przysiąc na co chcesz, bo jej drugi ślub był wtedy, kiedy był mój pierwszy...

„Kłóć się znowu o czyjeś lata? — pomyślał bez sarkazmu, tylko z lekkim skrzywieniem, jakby go mucha lechtała po nosie...

Stał zupełnie biały przed lustrem. Był, poprostu, w bieliźnie, a zresztą w pantoflach. Kamerdyner rozebrał go przed kwadranssem i zostawił samego.

Leżał już nawet przez kilka minut na kanapie... ale potem zaczął sobie przypominać jakieś szczegóły z dopiero co odbytego bankietu... zwłaszcza dwa własne toasty... (siedział na pierwszym miejscu) i wzięła go chęć, ażeby się przejrzeć w lustrze...

„To jest właściwie strasznie dziecinnie z mojej strony“ — rzekł nagle półgłosem...

Patrzył na swą własną twarz z tępej zdziwieniem. Zaczął sobie wyobrażać, jak siedzi poważnie przy dużym stole, jako reprezentant wysokiego rządu... Na szyi miał jeszcze wielką, kolorową wstęgę. Twarz była jednolicie czerwona od wina i gorąca, oczy zmęczone i małe, a symetryczne bokobrody wyglądały

jak stylizowane orle skrzydła na papierowych dziesiątkach...

„Ekscelencjo“... — szepnął do siebie kilka razy w różnych tonach, naśladowując raz tę, raz inną osobę z obecnych na bankiecie...

Uświadomił sobie, że jest wysokim dygnitarzem. Ukłonił się czerwonej twarzy z głębokim szacunkiem i powtórzył:

„Ekscelencjo“...

Uśmiechnął się głupkowato.

„Więc to niby ja. Nikt inny tylko ja, minister. Tak wyglądałem, wznosząc w imieniu rządu toast, który jutro będzie wydrukowany w gazetach“.

...I dla kontrastu wystawił sobie język.

...Potem zadumał się głęboko. Mrużąc sennie oczka, patrzył z podębna na siwawe bokobrody... i zastanawiał się nad tożsamością dygnitarza, przemawiającego na bankiecie, z człowiekiem w bieliźnie, krzywiącym się dziecinnie przed lustrem...

Było jeszcze słońce w pokoju. Słyszał przez drzwi:

— Kiedy szła poraz drugi zamąż, miała czterdzieści pięć. Wiem napewno, bo wróciliśmy właśnie z mężem z Karlsbadu. Załóż się o co chcesz. Mojej Nastki nie było jeszcze na świecie, kiedy byliśmy na jej drugim ślubie...

Pan minister zachwiał się przed lustrem.

„Prześpię się godzinkę przed kolacją“ — pomyślał, wracając znowu do kanapy.

Wyciągnął się wygodnie na poduszkach i przykrył się szalem.

„Męczą mię już takie bankiety i historie — mru-  
czał, zamykając oczy — i nie znoszę ciężkiego wina.  
Zresztą jest niedziela. A za miesiąc... skończę sześć-  
dziesiąt dwa lata...

...Teraz kobiety w drugim pokoju mówiły jedno-  
cześnie. Ich słowa tłoczyły i biły się, wlatywały przez  
zamknięte drzwi i brzęczały w powietrzu...

— Baby... baby kłóćą się — jęczał pan minister —  
dzisiaj niedziela... Ekszelencjo... Ekszelencjo... W imie-  
niu rządu...

— Korabiewski! — powiedział głośno profesor. —  
A to co?... zdziwił się minister i zadrzał. Był nagle  
małym chłopcem, siedział w klasie... a za chwilę mógł  
być pytany z Homera. Poznał twarz profesora greki,  
pochyloną nad dużym katalogiem. I profesor powie-  
dział głośno: „Korabiewski...“ To było źle. Bo po K  
następuje L. Po Korabiewskim pytają zawsze jego,  
zawsze. Pan minister zadrzał...

...Jezus, Marja, — szeptał i zaczął szukać książki,  
której nie posiadał.

O!... czuł ze strachem, że nie tylko nie ma książki...  
ale i nie ma nic w głowie. Ani odrobiny greki nie ma  
w głowie. Gdzie była ta greka? Gdzieś daleko, zgu-  
biła się, rozwiała się... Między nim a greką była jakaś  
olbrzymia przestrzeń, a w tej przestrzeni mgły i lata  
i przeróżne sprawy, którymi zajmował się był z roz-  
targnieniem, zamiast uczyć się greki... A tu zawo-  
łano nagle: „Korabiewski...“ i pan minister zadrzał,  
bo nazwisko jego zaczynało się na L...

Nagle się opamiętał.



„Niema głupich — powiedziałem do siebie: — to musi być sen. Nie dam się złapać. Wiem z doświadczenia, że często zdarzają się takie sny...” Czuł, że dzieje mu się krzywda, i że nie wypada ministrowi dostać dwójki z greki...

„...Ale to są tylko kpiny, — pocieszał się — kpiny... Za chwilę zbudzę się... Zanim mnie zawołają, ucieknę im... wyrwę się ze snu”.

...Mimo to... nie budził się.

„...Co to znaczy, do licha?” — pytał się ze strachem.

A im więcej się bał, tem większą miał nadzieję, że nagle zbudzi się ze snu. Bo wiedział z doświadczenia, że czasem — pod ciężarem strachu — takie sny przerywają się, jak nitki... i człowiek znajduje się nagle w łóżku, i przynoszą mu herbatę z rogalikami. Przypomniał sobie, że nieraz spadał już z okropnie wysokiej skały... w ostatniej chwili przed rozbiciem sobie głowy w drobne kawałki znalazł się nagle w łóżku i przynosili mu herbatę.

A jednak... tym razem się nie zbudził. I profesor go zawołał, i musiał wstać... a herbaty, jak nie było, tak nie było.

Stał błądy i szeptał: „To jest rzeczywistość”...

— Gdzie książka? — spytał profesor.

Nagle miał książkę. Zaczął czytać po grecku. Ale czytał nieśmiało i patrzył niby przez grubą zasłonę na litery. Patrzył podejrzliwie na dziwnie obce litery, które miały powykręcane członki, jak drobne chrząszcze albo muszki... i ruszały akcentami, jak

skrzydełkami czy różkami, i zachowywały się tak niespokojnie, że trudno było zebrać je w słowa i zdania. Przytem zapomniał rytmu heksametru...

I nie budził się.

Dostał dwójkę i szedł w krótkich spodeńkach z kolegami ze szkoły. Szli przez sosnowy las, znajomy mu z lat dziecięcych. Ogromne plamy słońca siedziały na konarach, jak czerwonozłote motyle. Szedł wiatr z doliny...

„Słońce zachodzi...” — pomyślał pan minister.

...Przypomniał sobie, że mu umarła matka i młodsza siostra... i zbierało mu się na płacz, choć to były sprawy z przed lat czterdziestu. Zaszleściło coś w górze... Spadła jedna szyszka, druga... Ściemniło się i zapach siana z doliny mieszał się z wilgotnym zapachem grzybów w lesie. Czuł, że za nim idą koledzy, i odwrócił się i zobaczył ich młode, czerwone twarze z pytającymi oczami.

Powiedział: „słuchajcie... Życie to jedna chwila. Teraz to poznałem... Albo: w każdej chwilce jest całe życie... Rozumiecie?... Albo: nic nie było i nic nie będzie... tylko wszystko jest...” Usłyszał swój własny głos i dopiero wtedy miał uczucie, że mówi jakies niedorzeczne słowa bez związku, i czerwienił się ze wstydu...

Wiedział, że za nim się śmieją.

Jakby to do nich mówić? — zastanawiał się. „Jestem niby taki mały, jak oni, a nie umiem do nich mówić. Strasznie mi trudno udawać, że między mną

a nimi niema żadnej różnicy... Chciałem wyrazić coś, co czuję, ale mi się nie udało...”

Za nim śmiali się chłopcy.

Tak będzie najlepiej: zaśmieję się tak, jak te małe draby i zaraz będę im równy...

Z natężeniem zapał zachrypłym głosem... Aż sam się przestraszył. Usłyszał, jak za nim zerwała się w górę chmura ptaków...

„To sroki, szepnął. — Nie... to oni. Chłopcy... Złękli się mego głosu. Nic mi się nie udaje. Odróżniam się niepotrzebnie od tamtych... zwracam na siebie uwagę. A mam przecież na sobie to samo ubranie, które miałem, jako malec, i krótkie majtki, i kapelusik ze wstążkami. Oduczyłem się śmiechu. Prawdopodobnie od palenia fajki i cygar zepsuło mi się gardło... Także z irytacji i z gadania na posiedzeniach i z różnych chorób, które przebyłem... Zresztą słońce zachodzi...”

...Słońce zachodziło w lesie. Plamy na drzewach czerwieniały... I naraz zaczęła się śliczna dzwonkowa muzyka.

„To krowy... — przypomniał sobie — wracają do domu”.

Ktoś porwał mu kapelusik ze wstążkami. Usłyszał znowu śmiechy: Obejrzał się i zobaczył, jak koledzy podrzucali jego kapelusz do góry. Czuł, że teraz wypada mu zdobyć się na jakiś czyn stanowczy. Chłopak, podrzucający kapelusz, patrzył na niego wyczekująco.

„Trzeba za nim pobiec, wyrwać mu kapelusz

z ręki i porządnie zmlócić“ — zdawał sobie sprawę.

...I wyobrażał sobie, że już leci, jak piłka... Że leci zgrabnie, leci mały chłopiec i bije się z drugim małym chłopcem, i są krzyki jasne w powietrzu i małe pięści, i niebieskie wstążki na wietrze, i zaperzone twarze, jak jabłka... Ale nie miał odwagi naprawdę pobiec i uczynić tego wszystkiego, co wypadało.

„Może się nie udać“ — mruzczał.

Czuł gorący żal w sercu. Niby zazdrość.. czy jakiś inny ból kłujący. Bo miał szczerą ochotę do biegania, miał głębokie zrozumienie przyjemności biegania... i wiedział, teoretycznie wiedział, jak ma biegać... A zarazem zdawał sobie sprawę z tego, że najdrobniejszy ruch może go skompromitować śmiertelnie.

„Gdyby nie ta psia kr..... podagra...“ — narzekał cicho, i lzy ciekły mu po twarzy.

Utykał lekko na lewej nodze, bo licho wierciło mu w wielkim palcu. Przytem przypomniał sobie, że jest bez kapelusza, i w tej chwili krople deszczu zaczęły mu padać na głowę.

„Biedna ze mnie dziecina“ — litował się nad sobą...

A im więcej się nad sobą litował, tem lepiej mu się robiło. Odczuwał nagle z rozkoszą bezpośrednią ciepłą bliskość olbrzymiego leśnego ducha czy cielska. Miał las w ustach, w nosie, w oczach i uszach... Uczuł mięciuchny, śliski mech pod stopami i spostrzegł, że idzie boso... Dotykał się rękoma pni, żywicy, niebieskich jedwabnych dzwonek..., wdychał w siebie ziemną wilgoć... a oczy jego pasły się po ziemi, pła-

wiły w różnych kolorowych skarbach. Całowały wszystko, co rosło w słońcu, albo kryło się wstydliwie w cieniach...

I zobaczył, że ma naprawdę takie nóżki, jak chłopiec. I ucieszył się, że jest taki mały i przez to bliższy pachnącej ziemi. A oprócz własnych ruchliwych nóżek widział niskie ogrody czarnych pereł i poziomkowych, i widział grzyby, które wyglądały jak tłuste króliki w purpurowych płaszczach, i takie drobne, opalowe, przezrzyste, jak małe muszelki morskie, i takie, jak żółtobiałe korale i gąbki... i nagle pomyślał z uciechą:

„Muszę im pokazać te grzyby... to mnie zrozumieją...”

W tej chwili usłyszał za sobą ciekawe, pytające głosy chłopców:

„Co? Co?...“

„Czego chcesz?“

„Czego wołasz?“

„Co widzisz?“

„Coś znalazł?“

„Co nam pokażesz?“

Widać, że go usłyszeli, choć on nie przemówił głośno, tylko chciał przemówić.

„To wam pokażę!“ — rzekł do nich; pokazał im z tryumfem królików w czerwonych płaszczach.

...Ale oni zaczęli się śmiać.

„Jaki on dziecinny! — krzyczeli — dziecinny... Bawią go zwykłe muchomory“

...Jestem dziecinny — zdumiał się pan minister.

I szedł teraz sam, bo tamci, pogardzając jego dziecinnością, naraz od niego uciekli. Czuł plecami, że ich już niema w lesie. Czuł plecami, że już nawet drzewa gdzieś uciekły. Kroczył bosymi nogami po jakiejś rozległej, jasnej polance. Jasnej z tego, że naraz zjawił się księżyc.

Pan minister uczuł, że jest sam.

„Tylko ja i księżyc, — myślał złośliwie — a ja jestem mały, jestem coraz mniejszy, zgubiłem się...”

Z daleka słyszał, jak przez zasłonę głosy małych chłopców, i mówił sobie: Jestem dziecinniejszy, niż te głosy... niż wszystko...”

Mogło mu się rzeczywiście coś złego przytrafić, bo był taki mały i sam.

I ledwo to sobie pomyślał, zobaczył z daleka, na tej samej drodze, którą szedł... dużą czarną krowę, idącą naprzeciw niego.

...Przeląkł się okropnie.

Krowa miała ogromny łeb i świecące oczy i pod lewem okiem białą plamę, jak plaster. I łeb coraz bardziej się zbliżał i stał się już taki duży, że zakrywał prawie połowę nieba i księżyc zmykał przed krową, jak zając... i wszystkie trawki drgały w niebieskiem świetle.

„Mój strach mię zadusi...” czuł pan minister — mój strach jest już taki, jak milion mrówek, i nie może być już większy... czy może być większy? Mój strach załaskocze mię ra śmierć... utonie w nim moje serce... jak w morzu...”

I czuł już oddech łba czarnego i pysk się otworzył i zdawało się, że nadszedł koniec.

Zaszumiało mu w uszach. Tak mu zaszumiało, jak komuś, kto wpadł do wody i znowu raptownie wypłynął w górę na małą chwileczkę. A zbliżając się do powierzchni wody, usłyszał pan minister przytłumione słowa:

— „Ma napewno sześćdziesiąt lat... Załóż się o co chcesz... Jest o wiele starsza ode mnie i od Celiny... O wiele starsza...

I zdawało mu się, choć słów nie rozumiał i nie wiedział, kto je mówi, że bliża się ratunek.

Ale to trwało kilka sekund. A potem szedł znowu tą samą drogą, co przedtem. I choć niebezpieczeństwo jakoś minęło, jednak dobrze je pamiętał i czuł, że lada chwila może znowu wrócić...

„Że też nikt o mnie się nie troszczy!“ — skarżył się płaczliwie.

I na to zobaczył, jak nadchodzi jego matka. Była całkiem młoda, w białej sukni i miała różę we włosach.

„Ano... jeżeli tak, to dobrze“ — zawołał do niej i aż rozbeczał się z radości.

Wzięła go za rękę.

„A ty czego...? — spytała, widząc, że płacze. Powiedział jej o dwójce z greki i o podagrze w lewej nodze, i o długach, które miał w Banku kredytowym. Także o kapeluszu, który mu porwali chłopcy.

Głaskała go mięką dłonią.

— I żonę mam gadatliwą... — skarżył się —  
...i synowie mi się lampartują.

...Głaskała go.

...I to nowe prądy... — jęczał — te żywioły radykalne... stanowisko nasze zachwiane...

Całowała go w głowę.

— Nikt mnie nie rozumie... Nikt nas starych nie rozumie... Mieszkam w głuchym świecie... A jak nadejdzie ślota, boli mię tak lewa noga, że aż krzyczę... A...

Załkał cicho w jej fartuszek...

— A te draby porwały mi kapelusz.

Podniosła go wysoko i niosła na rękę.

— Bo ty jeszcze mały — mówiła do niego. — Któż to słyszał, żeby taki bęben już tyle cierpiał... Dostałeś się przypadkiem między starych i stąd całe nieszczęście. Nie becz, bo ta dwójka z greki się nie liczy... Uśmiechnął się przez łzy. — Dokąd my idziemy? — spytał... Bo szli na dół, między ogrodami, które mu były bardzo znajome.

— Do domu — mówiła matka — do domu... Nic się nie liczy... Boś ty jeszcze mały. ~~Nie umiesz ani czytać, ani rachować..~~ Tobie siedzieć w domu przy niańce.

— Nazywa się Hania? — przypomniał sobie.

— A naturalnie... Jakże się ma nazywać, jeśli nie Hania...

Zamyślił się głęboko.

— Miałem bąka... zauważył — wiem napewno, że miałem bąka czerwonego z zielonemi kropkami.



Z daleka zobaczył małe okienko, przez które przeświecała lampa... a przed domem, był ganek porośły winem... I teraz czuł już napewno, że wszystko złe się skończyło.

— Chodźmy prędko... — prosił matkę — chodźmy prędko do domu... W domu był dzień... chociaż przed chwilą widział wyraźnie światło lampy w oknach: Przeleciał prędko przez kilka pokojów... a zdaleka poznał przez drzwi otwarte swoje duże biurko, założone aktami. Kamerdyner pochylony był nad niem i kurz z niego ścierał.

„Tam jest mój pokój“... — powiedział niepewnym głosem do Hani, która go wzięła na kolana.

Zaśmiała się.

— Głupstwa gadasz... tam jest pokój dziadzia.

Zdziwił się mocno.

— Dziadzia?

Pochylił się, żeby go zobaczyć przez drzwi otwarte... Ale nic nie zobaczył. Odwrócił się do Hani... Ujrzał jej oczy i uczuł nagle ze wstydem, że siedzi na jej kolanach...

I w tej chwili Hania powiedziała:

— Józio jest niegrzeczny...

Zsunął się jej z kolan i spytał prędko, żeby odwrócić jej uwagę od swego wstydu:

— Gdzie jest mój bąk?

Ale Hania wzięła go za rękę, zaprowadziła do niskiego stołu i rzekła:

— Teraz będziesz pisał powinszowanie...

Siadł i zaczął z trudem pisać różne słowa, które

mu dyktowała Hania. Z pokoju, którego drzwi były otwarte, wyszła nagle jego siostra. Była całkiem mała i była w białej sukience...

— Wszyscy już wieszowali dziadziowi — rzekła do niego z wyrzutem. Przestraszył się i zaczął prędzej pisać. Aż Hania powiedziała mu, że już dosyć, i zwinęła powinszowanie w trąbkę i związała je czerwona wstążeczką.

— Teraz chodź!... — powiedziała do niego jakimś bardzo surowym głosem. Zaczął się bać i nie chciał się ruszyć z miejsca... i Hania ciągnęła go z całej siły.

— Chodź! — powtarzała — chodź!

Im więcej zbliżali się do drzwi otwartych, tem większy był strach przed dziadkiem.

A kiedy weszli, zobaczył z daleka twarz czerwoną, dziwnie sobie znaną.

Zbliżał się do niej coraz więcej... Twarz miała oczy zmęczone, symetryczne, siwe bokobrody, które wyglądały jak stylizowane orle skrzydła na papierowych dziesiątkach.

Uklonił się przed tą twarzą z głębokim szacunkiem...

„To ja?“ — spytał cicho...

Potem szepnął:

— „Ekscelencjo“...

I nagle zobaczył, że w pokoju panuje mrok głęboki... a on sam leży na miękkiej kanapie.

...I usłyszał:

— Nie rozumiem, jak możesz mówić, że ona jest ode mnie młodsza... Przysięgam ci, że to nieprawda..!

Ona ma zapewne sześćdziesiąt lat... Nagle drzwi się otworzyły, do pokoju wpadło przeraźliwe czerwone światło...

— Proszę Ekscelencji na herbatę... — rzekł kamerdyner.

— Hm... — mruknął pan minister.

Jeszcze leżał na kanapie i powoli przychodził do siebie...

— Ma co najmniej sześćdziesiąt lat — mówiła jego żona w drugim pokoju — co najmniej sześćdziesiąt.

Uśmiechnął się dziwnie, mruczał:

— Baby kłóć się o czyjeś lata... o głupie lata... Hm... hm... Co to są lata?...

Zaareztowali go, kiedy w nocy siedział w szynku i pił ze znajomym żołnierzem. Od dwóch dni nie miał nic w ustach, jego kieszenie były puste, mimo to pił bez miary i zwrócił w końcu uwagę wszystkich gości na siebie.

— Jestem numer 14 — krzyczał — jestem dukatem, wybitym za Kazimierza Wielkiego!

— Milczże już raz — mruknął kapral.

— Za Kazimierza Wielkiego.

Wtedy przystąpił do nich starszy człowiek w złotej zarzutce i czarnych okularach. Głos jego brzmiał prawie przyjaźnie, kiedy zapytał:

— Proszę pana pójść za mną?

Ale on trzął się od śmiechu.

— Dokąd kochanku? Dokąd? Ja jestem dukat z czasów...

Starszy pan szepnął mu kilka słów do ucha. Zagadnięty podniósł się, drżąc. — Był blady, jak płótno; bolesny uśmiech wykrzywił mu usta...

— A więc dobrze — nie jestem dukatem. Pan sam to stwierdził. Jestem zdemaskowany... Nie znajdzie pan w żadnym europejskim zbiorze monety, która byłaby... Zresztą... nie, nie, poczekaj pan.. Pan przecież nie chce...

Zaczął płakać. Podniósł obie ręce do góry:

— Bóg mi świadkiem!...

Pan w żółtej zarzutce chwycił go za ramię.

— Chodź pan — rzekł cicho.

Rozstąpiono się przed nimi, a na progu pijany zatrzymał się chwilę, wahając się.

— Poczekaj pan — rzekł chrypliwie — byłbym zapomniał...

W największej ciszy powrócił do swego miejsca i wziął laskę, której tam zapomniał.

— Moja laska, widzi pan... srebrna rączka, prawdziwa...

Potem wyszli obydwaj.

A w pół godziny później Kasper Mróz przyznał się, że zabił starego barona Hienau młotkiem od zabijania gwoździ.

Nazajutrz miał straszny „katzenjammer“. Wszystko było mu obojętne; prosił tylko ciągle, żeby mu zimną wodę na głowę lano.

Urzednikowi, doktorowi Suchełce, który interesował się psychologicznymi motywami, odpowiedział na jedno pytanie, że zabił starego barona „z przekonania“.

To wywołało pewne wrażenie. W Jaworowych-Sadach nikt jeszcze nikogo z przekonania nie zabił. Wogóle, morderstwa były bardzo rzadkie. Ostatnie przed siedmiu laty; ale morderca zabrał wtedy pięćdziesiąt guldenów i trzydzieści centów, nie licząc złotożegarka.

Potem przyszło małe rozczarowanie. Morderca

pozostał do południa apatyczny; popołudniu jednak oświadczył nagle, że jest głodny, i że wogóle dopiero teraz wie, dlaczego starego jegomościa zabił; prosto z głodu... Tak! A zatem nie z przekonania.

— Człowieku, to niemożliwe! — krzyczał dr. Suchelce prawie z rozpaczy.

Morderca drgnął; wysoki głos doktora Suchelki raził jego nerwy.

— Nie? Dlaczego myśli pan?

— Bo... — urzędnik zaśmiał się zirytowany. — Przecież pan starego barona nie okradł?

Kasper Mróz naraz zupełnie wytrzeźwiał.

— Okradł? — szepnął zdziwiony — ja?

— A więc widzi pan! — tryumfował doktor. Nie popełnił pan tego morderstwa dla zysku — a zatem musiał być inny powód...

Delinkwenta napadł nagle strach. Przypomniawszy sobie, że jest uwięziony. Chwycił się za głowę i wstał.

— Proszę, ja chciałbym...

— Co?

— Ja chciałbym — pić.

— Przedewszystkiem będzie pan zeznawał! Słyszysz pan? Przedewszystkiem.

— Ale ja muszę pić — jękał nieporadnie — ja bym chciał tylko...

— Co by pan chciał?

— Moje myśli zebrać.

Trząsł się na całym ciele. Wysoki, wychudły człowiek, brudny i zaniedbany.

— Niech pan siada — zachęcał go doktor Su-

chełka przyjaźnie — potem może pan pić, jak pan chce.

— Wino?

— Co pan zechce — potem. Teraz jednak niech pan odpowiada. Powiedział pan przedtem: z głodu — prawda?

— Z głodu.

— Ale rano powiedział pan: z przekonania?

— Z przekonania.

Uśmiechał się na pół przytomnie.

— Czy pan jest — warjatem?

— Nie, nie... nie zdaje mi się.

A po chwili:

— Czy pan jest może — doktor Suchełka powstał uroczyście — anarchistą?

— Nie, nie, na pewno, nie — nie zdaje mi się...

Urządник patrzył na niego przenikliwie, prawie z wściekłością. Potem spuścił oczy i zaczął cichym, cierpiącym głosem, bawiąc się niedbale ołówkiem:

— Pan pozostawał w stosunku służbowym do zamordowanego? Myślę, że pan go często odwiedzał, może codziennie i miał pan u niego zajęcie? Pracował pan dla niego — czy tak? — powiedzmy, pisał pan? Nie?

— Pisał? tak, tak — kiwnął głową — musiałem pisać karteczki.

— Jakie karteczki?

— Panie sędzio... mnie głowa boli i...

— Proszę pana, niech pan uważa! Do czego służyły te karteczki?

Zapytany westchnął.

— Karteczki? Stary zbieracz miał cenne monety...

— A więcej?

— Rzadkie monety — jedna nawet z czasów Kazimierza...

— ...Wielkiego, wiem już — a dalej?

— Także książki, obrazy...

— Ach tak, więc owe kartki tyczyły się tych zbiorów? Pan miał zapewne robić rodzaj katalogu?

— Tak, rodzaj katalogu.

— Dobrze. Starzec dawał panu zarobek. Czy miał pan oprócz tego jaki inny zarobek? Nie. Więc pan mu był niejako do wdzięczności obowiązany. Czy nie tak — do wdzięczności?

— Tak, tak.

Patrzył przed siebie w milczeniu, zamyślony. Naraz zaczerwienił się, jakgdyby mu coś na myśl wpadło, a jego oczy zabłyśły.

— Wdzięczny? — wyrzucił z siebie — ja jemu? Zaśmiał się z nienawiścią.

— Niech djabli porwą! Wdzięczny! — Niech djabli... To straszne, jak ja tego człowieka nienawidziłem!...

Mówił teraz gorączkowo, pośpiesznie połykając wyrazy:

— Żeby go pan widział, co za olbrzymia głowa, co za potwór... Gdybym panu tylko mógł go opisać — jego nosowy głos był mi już obrzydliwy, a łysina i ręce i wszystko czego się dotknął... Miał ładne obrazy, przyznaję. Muzyki nie rozumiał nic, ale miał



ładne posągi i obrazy... Obrazy, które miałem zapisywać — prawdziwe arcydzieła. Boże, zlituj się — był tam Böcklin...

— Czy to wszystko należy do rzeczy?

— Ach, jeżeli się pan pyta! Chcę wszystko najdokładniej opowiedzieć, tak — jestem panu sędziemu wprost wdzięczny, to jest dla mnie prawdziwe wybawienie, jak mnie się tak pan sędzia o wszystko wypytuje. Bo przedtem nikomu się do tego nie przyznałem i to była prawdziwa męczarnia. Proszę pana! — dwa lata mnie ten człowiek zamęczał!

Zaniósł się głośno od płaczu, załamując ręce.

— Zamęczał... Tak. On posiadał cudowne rzeczy — gdybym mógł tych wspaniałości używać jako wolny człowiek... ale u niego męczyła mnie tylko ta piękność, jak pozory niedoścignionego szczęścia. — A ja byłem tylko biednym pisarczykiem! — na przykład: Numer taki a taki, przedmiot ten a ten, wartość: 4000 Dolarów... On siedzi na niskim stołeczku, bierze jeden przedmiot po drugim, przypatruje mu się przez całą wieczność — ja mogę się razem z nim przypatrywać... potem dyktuje — nosowy obrzydliwy głos — dyktuje, nie patrząc na mnie. To trwa czasem trzy godziny, czasem cztery — jak ślicznie mógłbym w domu przez ten czas ćwiczyć się na skrzypcach!...

— Na skrzypcach?

Urzędnik patrzy się zdziwiony.

— Tak, ja...

Przestępca siedzi skruszony, jakgdyby fakt, że grywa na skrzypcach, był jego największym grzechem.

Ale zaraz wskutek wstydu staje się gwałtownym i mówi w najwyższym wzburzeniu:

— I co dalej — co dalej, pytam? Może pan sobie wyobrazić, że na dłuższy przeciąg czasu rzecz taka staje się nie do wytrzymania — ale ja to wytrzymywałem od piętnastu lat. Od czasu, kiedy obciąłem się na egzaminie. Mój ojciec był tapicerem i sprzedawał meble. Wobec tego, że nie zdałem egzaminu — rzekł do mnie — widać Kasprze, że muzyka nie jest dla ciebie — ucz się rzemiosła! Tymczasem do dziś dnia grałem zawsze na skrzypcach, a rzemiosła nie wyuczyłem się nigdy — straciłem wszystko i grałem na skrzypcach — musiałem. Mam kochankę i dwoje dzieci i — pomyśl pan — często nie mają co jeść... a ja gram w tajemnicy przed ludźmi — gram... Wystaw pan sobie, że pan idzie przez ulicę i wpada panu mała melodja na myśl, którą pan sam... Słońce pali pana w kark, na ulicy przechadzają się piękne panie z białymi rękami i niebieskimi oczyma... Czy mogę prosić teraz o wino?

— Nie, nie. — I wogóle pan mówi całkiem od rzeczy...

— Dobrze — to później. Co to ja chciałem? A tak: więc pan się przechadza, jest wiosna, powietrze musujące, jak szampan, dziwna melodja dzwoni panu w uszach, pan się uśmiecha i myśli: Jak to przyjemnie, nie potrzebuję nic jeść, a jednak żyję i melodje wpadają mi do głowy... Wtem spostrzega pan jakiegoś małego, grubego jegomościa. — Pan go zna i jego olbrzymią głowę...

— Baron Hienau?

— Tak. Ach — wzdycha pan — słońce już nie świeci tak jasno, muszę zejść temu człowiekowi z drogi. I biegnie pan na drugą stronę ulicy, odwraca się pan i patrzy w niebo. Ale w tej samej chwili chwyta pana ktoś za kołnierz i przed panem stoi gruby jego-ność: — Jak to dobrze, że pana przypadkiem spotykam! Dlaczego pan się nie pokazuje u mnie? Mam znowu nowe rzeczy — jutro od dziewiątej będziemy pisali karteczki, karteczki... — Pan dziękuje wzruszony, a kiedy on już jest daleko, ma pan to obrzydliwe uczucie, jakgdyby pan był znowu mniejszym, o wiele mniejszym. A ja...

— Poszedłeś pan przecie do niego?

— Tak... naturalnie, cóż miałem robić, proszę pana? Zaraz nazajutrz poszedłem do niego, zaraz nazajutrz... Ale teraz muszę panu opowiedzieć coś najlepszego, to przedewszystkiem.

Śmiał się, chociaż był zupełnie blady.

— Szedłem wieczór z Elżbietą — ale pan nic nie wie — Elżbieta jest całkiem zwykłą dziewczyną, śpiewała przedtem na ulicach moje pieśni; miałem z nią dwoje dzieci — szedłem zatem z Elżbietą wieczorem koło antykwarjusza. Widzimy na wystawie jakiś obraz z podpisem: „Królowa“ — nie będę go opisywał — nazywał się: „Królowa“. Co czułem, patrząc na ten obraz, powiedziałem Elżbiecie, a ona uśmiechnęła się i rzekła: — „Ty jesteś artystą...“ A nazajutrz siedziałem znowu u barona i pisałem jego karteczki. Stary był znowu zakatarzony i mówił niewyraźnie.—

„Mam coś nowego“ — uśmiechnął się do mnie tajemniczo — „przyjrzyj się pan i weź nową karteczkę“. Wziął jakiś obraz i poniósł go do okna. Zacisnąłem usta. — Była to „Królowa“. — „No jakże się panu podoba?“ — zapytał protekcyjnie. Czułem się tak małym i zawstydzonym, że nie mogłem ani słowa wypowiedzieć. — „Więc jakże się panu podoba?“ — zapytał jeszcze raz. Milczałem. — „No“ — uśmiechnął się pobłaźliwie. — „Sztuka nie zdaje się pana interesować... za to ma pan wyraźne pismo, a to także jest coś warte... ha... ha...“

Trząsałem się ze złości, ale uśmiechałem się pokornie. On dyktował. A kiedy skończyliśmy, powiedział w dobrym humorze, podnosząc obraz do góry: Chociaż pan się nie zna na obrazach — na ścianę go pan przybić potrafi — co? Niech pan weźmie młotek!“ Zrobiło mi się zimno i wszystko tańczyło przed moimi oczami — widziałem tylko jego łysą czaszkę i jego drwiące, czerwone usta, widziałem je podwójnie, potrójnie, stokrotnie... Wziąłem obraz... wydawał mi się tak lekki, jakgdyby nie miał żadnej wagi, potem wzięłem młotek... wzięłem z uśmiechem młotek... i...

— I? — Urzędnik stał przed nim, trzęsąc się ze wzburzenia.

— I... — Kasper Mróz uśmiechnął się głupkowato.

— Mów pan, mów! I...

Morderca wyszeptał:

— ...I uderzyłem nim w głowę starego.

Urzędnik milczał. Potem otworzył drzwi.

— Panie Mróz, proszę teraz...

A po kilku tygodniach został wydany wyrok na mordercę barona Hienau: kara śmierci!

— Boże, Boże... — szlochała tego samego dnia dziewczyna.

— Cicho Elżbieto — rzekł skazany i popatrzył na sufit w celi więziennej — wszystko się właściwie szczęśliwie skończyło...

Spojrzał na nią wzrokiem rozjaśnionym.

— Pomyśl tylko, nie potrzebuję już nigdy... czy słyszysz?... nigdy widzieć tego człowieka! Jestem wolny — pomyśl tylko — wolny — nie potrzebuję już nigdy więcej pieniędzy!

— A nasze szczęście? — skarżyła się — nasze szczęście? — Popatrzył na nią uważnie ze zdziwieniem. Jakgdyby zobaczył ją po raz pierwszy. Jakgdyby zbudził się ze snu i już nie wiedział, z kim był szczęśliwy.

Ona nie przestawała szlochać... Pocałował ją kilka razy chłodno i lekko.

— Nie płacz, Elżbieto — powiedział z roztargnieniem. Potem sobie coś przypomniał:

Poczekaj... przynieś mi raz jeszcze skrzypce do więzienia.

Myśl ta go rozgrzała.

— Słuchaj, Elżbieto? Proszę cię, przynieś mi je na pewno, ale prędko, inaczej będzie za późno. — I nieś je ostrożnie, proszę cię, bardzo ostrożnie!

— A zresztą Kasprze? A zresztą?

Pogładził ją po głowie.

— Bądź zdrowa, dziecko... — dziękuję ci, bądź zdrowa!...

A kiedy pozostał sam:

— Dzięki Bogu... koniec z nędzą, koniec ze smutnem życiem...

Zaśmiał się cicho.

— Ze wszystkim koniec. Nie potrzebuję go więcej. Nie zobaczę go już nigdy!

W noc, poprzedzającą stracenie, miał sen:

Śniło mu się, że siedzieli wszyscy przy stole: ojciec, matka i on, mały Kasperek. „Paskudny bębnie do niczego“ — krzyczał ojciec — „nie chcę cię widzieć na oczy“, skarżyła się matka i drapała się markotnie szpilką od włosów w głowę. — „Znowu grał na tych przeklętych skrzypcach“. — Wtedy weszła stara Jaga do pokoju. „Jezus, Jezus — jęczała — czy wiecie, co on zrobił? Jaga miała swą żółtą chustkę na głowie i wniosła miskę, pełną smażonych jabłek, jego ulubionej potrawy. I postawiono miskę przed nim. Całą, pełną miskę. Ojciec podrwiwał: „Jedz tylko, jedz“. Matce spadały łzy, jak groch po twarzy suchej i pomarszczonej... Jaga otworzyła drzwi i wszedł — baron Hienau z okrwawioną głową, a za nim komisja egzaminacyjna z Konserwatorjum. Stary baron uśmiechnął się i powiedział: „Niech nam pan kandydat odpowie na następujące pytanie...

Kasper został nagle zbudzony.

— Mój synu, musisz przygotować się na ostatnią drogę.

— Kto... mówił?

Poznał postać księdza.

— Czy był tu stary Hienau?

— To głos sumienia przez ciebie mówi!

— A więc to nie był on? — zaśmiał się wesoło. —  
Nigdy nie przyjdzie. Nie może przyjść.

Oczy skazanego zabłysnęły. Przy straceniu był obecny doktor Suchetka. Jego zwykły spokój nie opuścił go, ale kiedy potem chciał wypić kawę, okazało się, że mu ją ta przeprawa przecie obrzydziła, nie miał apetytu.

A Kasper Mróz znalazł się potem, kiedy już umarł, nagle w jasnym, niezmiernem przestworzu, uczył rozkoszne ciepło, a zdaleka słyszał swoją melodję, o której marzył w bezsennych nocach. — Zobaczył także niezliczone gwiazdy różnej wielkości, w rozmaitych kolorach, jak koło niego przelatywały. Tak widział w pierwszej chwili. Ale potem zauważył, że gwiazdy te wyglądały, jak ludzie. Może anioły... Z daleka świeciły, jak iskry — ale kiedy się przybliżały, rozróżniał włosy, ręce i nogi, ładne stroje z dawnych i nowszych czasów...

Z daleka jaśniała wielka, różowa gwiazda. Nie leciała w powietrzu, jak inne, ale płynęła. Płynęła powoli z niejaką, rozumiejącą się samo przez się, pewnością i arystokratyczną nonszalancją.

Patrzcie, to musi być jakaś znakomita osobistość, myślał Kasper i czuł, że jego serce przy zbliżaniu się niebieskiego dygnitarza zaczynało gwałtownie bić.

— Albo jestto sam Pan Bóg — mruzczał — albo ty jesteś ostatnim tchórzem, Kasprze.

Ale owo niebieskie ciało miało — łysinę, a także— okulary... patrzcie, to był mały gruby... Na miłość boską... to był...

Kasper drgnął.

On? Bez wątpienia. Ale jeżeli to był on — co począć? Gdzie się ukryć? Gdzie w tym przestworzu bez ubikacji zniknąć? Uciekać? Dokąd? Nie mógł się poruszyć; był tak lekki, że nie miał woli.

Co zrobić, jeżeli mnie pozna? Czy będzie mi robił wyrzuty? — myślał Kasper Mróz. Co może mi zrobić? Już przecież umarłem, czy mogę pod jego spojrzeniem jeszcze raz umrzeć?

Boże... staje, obraca się i... poznaje go. A potem zbliża się do niego.

Niewymownie miły uśmiech rozjaśnia jego oblicze. Klepie go życzliwie po ramieniu i mówi ujmującym głosem:

— Ach! Dobrze, że tu pana spotykam. Jakże się cieszę. Chodź pan zaraz ze mną... Chodź pan — będziemy karteczki pisali, karteczki...

---



## CO BŁAZEN WIDZIAŁ NA DWORZE KRÓLEWSKIM?

My, dzieci, lubiliśmy go bardzo. Bo taki był zabawny — a właściwie — zabawnie wyglądał. Mały, stary człowieczek, o czarnych oczkach, cienkim, na końcu prawie przeświecającym nosie, o ruchach, które zawsze mówiły więcej, niż usta. Ojciec mój dał mu raz coś do roboty, kiedy przed wieloma laty — jak mówili — z Okranji przywędrował do naszej wsi. Potem powracał do nas częściej i zawsze dostawał nową robotę. Bo tak mu dobrze z oczu patrzyło i taki był biedaczysko — mówił mój ojciec. Małgosię, Tomka i mnie kochał, jak własne dzieci, i przynosił nam zawsze coś osobliwego; raz całą gałąź leszczyny z zielonemi jeszcze orzechami, raz brunatną jaszczurkę, a raz prawdziwego jeża, którego nam potem skradł jakiś chłopak. Nie wierzę temu, co ludzie mówią, iż był niegdyś błaznem na dworze króla Oskara — a nadto rodzonym synem prawdziwej czarownicy. Ale kiedy nam swoją bajkę o królewiczu opowiadał, wierzyłem mu znowu — i sam już teraz nie wiem, co jest prawdą, a co ludzkim gadaniem. Tomek w to wierzy i mówi, że wszyscy ludzie we wsi w to wierzą. Ale jak został błaznem królewskim, opowiadał nam

raz, kiedy ścinaliśmy razem łożinę nad strumykiem, żeby sobie z niej potem porobić fujarki.

To zresztą z całą historją nie ma nic wspólnego; wspomniałem o tem tylko dlatego, żeby zaznaczyć, że Puk sam opowiadał zawsze, iż był błaznem królewskim, więc może i wszystko inne także nie jest bajką, tylko prawdziwym wypadkiem, który się zdarzył w dalekiej krainie, zwanej Okranją. Także swojej starej matki, owej osławionej, złej czarownicy, nie wstydził się Puk — i owszem — łyzy, jak groch mu z oczu leciały, kiedy o niej mówił — i z wielką dumą opowiadał, jak dobrze umiała przepowiadać przyszłość i jak wywróżyła młodej królowej Anitrze, iż będzie miała syna, który w młodocianym wieku zjedzie z tego świata. A o swojej zmarłej siostrzyczce, Licie, opowiadał, że wyglądała, jak księżniczka i że miała najpiękniejsze niebieskie oczy w całej Okranji.

Przed innymi nie wspominał o tem nigdy, jak wogóle nigdy nie był taki rozmowny i swobodny z obcymi i dorosłymi ludźmi, jak z nami — dziećmi.— Pewnie dlatego także, iż ludzie podrzywali z jego nieśmiałości i chorobliwej wiary w zabobony, słów jego nie rozumieli i pogardzali jego pochodzeniem.

Stąd poszło, że Puk tylko wtedy opowiadał, gdy nikogo nie było w domu i tylko nas troje z nim siedziało. Była to zawsze jedna i ta sama bajka: bajka o królewiczu, ale chociaż nam ją już ze sto razy i za każdym razem w ten sam sposób opowiadał, nie znudziła nam się nigdy i zawsze słuchaliśmy jej z jednokowym zaciekawieniem.

...Była raz dziewczyna cudnej urody — tak zaczęła się bajka — była raz dziewczyna na dworze królewskim, a na imię jej było Izabela. Wspaniała pięknnością, umysłem rozkoszna, z sercem złem i przewrotnem — taką była panna Izabela. Zawsze do swawolnych wybryków gotowa — zawracała głowy wszystkim rycerzom, ilu ich było na dworze królewskim, i odpychała dumnie każdego, kiedy, rozgorzawszy miłością, zebrał jej względów. Stąd wiele zawiści, zawodów i zazdrości, bo każdy myślał, że będzie chytrzejszy i szczęśliwszy od innych. Królewicz liczył właśnie lat osiemnaście, miał delikatną twarzyczkę, jak dziewczyna, ale w usposobieniu swem był dziki i gwałtowny i kiedy pożądał czego, nie znosił oporu ani perswazji. A co się tyczy rodziców — mój Boże — król był za stary i zbyt wiekiem znużony, żeby mógł śledzić wszystkie kroki swego syna, a królowa śmiała się tylko z jego psot; sama jeszcze dziecko prawie, pełne lekkomyślności i wesela, nie wiedziała co dzieciom wychodzi na dobre, a co na złe. Królewicz zaś wciąż szukał, jak się w lesie słodkich jagód szuka; brał i zrywał jedną jagodę po drugiej — kosztował, wyrzucał i zrywał znowu. Zatruewał sobie życie złemi jagodami — a dobrych znaleźć nie umiał. Kiedy mówiła z królewiczem, panna Izabela spuszczała wzrok ku ziemi skromnie i wstydliwie, jak niewinna dziewczeczka. Przy nim wydawała się zupełnie inną, jakby przeistoczoną. Ale był to z jej strony tylko podstęp i tajemna dążność, żeby go tem silniej do siebie przykuć.

I królewicz zapragnął jej tak gorąco i namiętnie, jak żadnej dotąd dziewczyny. Ona jednak udawała, że tego ani widzi ani słyszy. A raz zdarzyło się, że kiedy stała pod krzakiem jaśminu w parku zamkowym z pełnym koszykiem kwiecica, zbliżył się do niej królewicz i poprosił o jeden kwiat. Podała mu go, nie podnosząc nań wzroku. Królewicz zapytał szeptem: „Kochasz mnie, Izabelo?” — Ona zaś odpowiedziała spokojnie: „Nie, książę, nie kocham cię wcale”. — „Dlaczego?” — pytał królewicz, odchodząc od zmysłów — powiedz dziewczyno, dlaczego?”

— „Dlaczego?” — powtórzyła, śmiejąc się — „mój książę... dlaczego? A gdybym ci rzekła: kocham ciebie — czy zapytałbyś także: dlaczego?”

Królewicz zbladł i zamilkł, bo czuł słuszność w drwinach dziewczęcia. A od tego czasu było z nim coraz gorzej; ścigał Izabelę na każdym kroku swoją miłością. Ona nie drwiła z niego więcej, pozostała milcząca i pokorna, ale gdy się chciał zbliżyć, występował na jej twarz dziwnie mroźny uśmiech, jak światło księżycy w chłodną noc zimową.

Królewicz jednak nie pragnął już w końcu niczego, tylko jednego pocałunku jej ust. Jednego pocałunku z ust Izabeli. Śnił o tem i mówił głośno we snach, krzyczał wobec wszystkich na dworze, upity młodem winem. Opowiadał o tem każdemu; swemu spowiednikowi i swoim lokajom, tylko nie mnie — błaznowi. Dlaczego mnie właśnie wstydził się królewicz?

Przedemną nikt się mówić nie wstydził. Ja by-

łem tylko błaznem i tylko śmiać się umiałem. I jak długo się śmiałem, byłem szczęśliwy. Jak długo się śmiałem, było wszystko dobrze, było wszystko jasne i zrozumiałe. Dopiero później, gdy przyszła na mnie trwoga i śmiać się już nie mogłem, zmieniło się wszystko. Wówczas wygnano precz smutnego błazna.

Dlaczego to on przedemną właśnie wstydził się Izabeli? — Miałem ja raz siostrzyczkę; leżała ona od lat w więzieniu, ciężką złożoną chorobą i bliska śmierci. Nieraz myślałem sobie: Czy jej twój śmiech serca nie rani? Może ona wszystko słyszy. A kiedy raz poszedłem do Litty — ona pocałowała mnie i spytała: „Powiedz braciszku, czy mój królewicz szczęśliwy?”

Bo królewicz raz jej święcie zaprzysiął, że ją weźmie za żonę. To była jej wielka zbrodnia i za to król ją ukarał. Królewicza winy w tem nie było; on był jeszcze tak młody, a Litta pierwszą, którą kochał. A Litta go od tego czasu zapomnieć nie mogła.

Kiedy Littę wtrącono do więzienia, królewicz długo pozostawał pogrążony w melancholji. Ale potem począł znowu słodkich jagód szukać. I znalazł z początku zaraz namiętną Violę o krwi gorącej, potem bujnie rozkwitłą Sybillę, białą Leję, wytworną Eufrozyne, a potem Ewę, Chloe i w końcu — Izabelę, najpiękniejszą ze wszystkich — Izabelę, która mu się oparła...

Ile razy patrzyłem na miłostki królewicza, mogłem zapomnieć o Licie i... śmiać się. Mój śmiech Litty nie zrani — myślałem sobie. A królewicz szuka zaw-

sze nowych jagód, a Litta zawsze pyta: „Czy mój król-  
lewicz szczęśliwy?”

Ale naraz przyszła kolej na Izabelę. Jednego pocałunku tylko chciał księżę — ale ona się opierała. Młoda królowa Anitra śmiała się, kiedy to doszło do jej uszu. Z początku namyślała się sama, potem wezwwała najwyższego mistrza ceremonji, a w końcu zaczęła się naradzać z Aquilonem, mądrym doradcą w delikatnych sprawach.

W owym czasie powrócił król Oskar z zwycięskiej wyprawy, do Okranji, witany radośnie przez lud. Królowa pocałowała go w siwą brodę przy powitaniu i raczyła przyjąć błyszczące klejnoty, które jej ofiarował. A w nocy na rozkaz królowej urządzono w parku królewskim wspaniałą festyn.

Drzewa, altany i krzaki, ozdobione cudownie papierowemi wielobarwnemi latarniami, jaśniały z dala jakby gorejące, olbrzymie tulipany żarzące się, zaklęte bratki, nadnaturalnie wielkie narcyzy, potoki ognistych róż i błękitnych dzwoneczków i piramidy hja-centów. Zewsząd brzmiała słodka muzyka smyczkowa, która wzmagała się i cichła i przechodziła w huk trąb i bębnow, huczna i skoczna, to znów rozmarzająca i smętna. Gdy zaś ogniste wino, płynące obficie ze złotych pucharów, rozpało krew rycerzy i ukazała się królowa w całym przepychu i blasku majestatu i piękności, i sama w swej łaskawości do tańca zachęcać zaczęła — nie było już miary wesołości. Wszystko co żyło, śmiało się, śpiewało, tańczyło z szaloną uciechą i piło aż do zupełnego odurzenia.

O północy zabrzmiały naraz trąby, jakby do nowej zabawy wzywając. Zaczęto zwoływać pary, które dotychczas przezornie samotności szukały, żeby się zbierały przy wielkiej fontannie w podwórzku zamkowym. Tam oczekiwała ich już królowa Anitra, a u jej boku mądry doradca Aquilon.

Rozbawione rzesze otoczyły fontannę, czekając na niespodziankę. Zaczęto znosić kosze i wory pełne pachnącego kwiecia; śnieżno białe kamelje, różnobarwne goździki, powódź róż i bzu cudnego okiście. Wydano polecenie, żeby wszyscy rycerze i ich damy sięgali do koszów z kwiatami. Królowa rzekła:

— „Rozpoczynamy nową grę, którą wymyślił nasz mądry Aquilon. W grze tej łączą się kwiaty i serca. Spróbujcie szczęścia, rycerze! Kto znajdzie swój kwiat w rękach swojej damy, ma prawo złożyć na jej ustach całusa — na co uroczycie nasze zezwolenie dajemy“.

— Całusa — zawrzało wśród tłumu — całusa!... Rycerze poczęli cisnąć się do koszów, a nawet skromne panienki nie wahały się za przykładem królowej sięgać po kwiaty.

Po chwili powstał szalony zamęt, gonitwy i ucieczki, że aż drzewa zaszumiały i zatrzeszczały gałęzie. Zewsząd dały się słyszeć przerażone wykrzykiwania dziewcząt i dzikie okrzyki zwycięzców. Niejedna broni się rozpaczliwie i tuli się zarazem do swego pogromcy; niejedna próbuje ucieczki, potyka się szczęśliwie i upada po to tylko, żeby być w tej chwili podniesioną przez swego rycerza i zduszoną w słodkim

uścisku. Widać dziewice, które bledną z przerażenia, widać inne, które oblewają się purpurą, a wszędzie błyszczą rozpalone spojrzenia, wszędzie odnajdują się kochające serca. Barwy, kwiaty i stęsknieni, szczęśliwi ludzie...

Nagle zabrzmiał głos królewicza: — „Gdzie jesteś, mój goździku?”

Chwila ciszy — i znowu szum, gonitwy i szukanie... Królewicz woła poraz drugi: „Żółty goździku — odezwij się!”

Wszystko zamilkło. Królewicz stał ponad tłumem, wysmukły i piękny. Żółty kwiat trzymał w ręku.

Wtedy królowa zapytała z uśmiechem: — „Cóż się dzieje z goździkiem? Gdzież jest ten goździk?”

Ktoś powiedział cicho: — „Izabela...”

Słowa te wyrzekł mądry doradca Aquilon...

Tłum rozstąpił się. Pod krzakiem bzu stała Izabela; drżała na całym ciele, jakgdyby się śmiała albo gwałtownie płakała... Nie poruszyła się. Królewicz stał i czekał... — „Izabelo?...” — szeptał namiętnie — „Izabelo?...” Ona nie poruszyła się.

Wtem krzyk przeraźliwy rozdarł powietrze. Królewicz rzucił się ku niej przez tłum, roztrącając wszystko po drodze, chwycił ją silnie w ramiona i podniósł w górę, jak piórko.

— Już mu nie ujdzie — szeptano — będzie miał swego całusa... Jej płonące lica śmiały się, a jej oczy jaśniały od łez.

Przyciągnął ją do siebie — i wszyscy widzieli, jak



wycisnął pocałunek na jej ustach... — Wszyscy wdziali pocałunek...

Lecz nagle... przerażenie ogarnęło wszystkich! Bo zaledwie królewicz pocałował Izabelę — padł jak martwy na ziemię. — Powstał nieopisany hałas i zamieszanie. Królewicz leżał bez ruchu, wargi mu zsiniały i blady był, jak trup.

— „Co mu się stało, co mu się stało!“ — biadała królowa Anitra, uklękła przy omdlałym i całowała jego zimne usta. Kazała przynieść soli orzeźwiających, zawołać króla i uczonych doktorów. Podniesiono królewicza i złożono go na noszach... O Izabeli nikt nie myślał. Światła w ogrodzie pogasły, papierowe kwiaty zwisły pomięte. Stała w ciemnościach, a jej bezdenne oczy patrzyły w próżnię...

Podszedłem do niej cicho... — „Czy ty jesteś czarownicą?“ — spytałem. Popatrzyła na mnie przez chwilę. A potem zemdliała. Nie miałem odwagi dotknąć się jej... I pozostała tak w omdleniu nie spostrzeżona przez nikogo. Zapewne nad ranem oprzytomniała.

A królewicz leżał przez całą noc bez ruchu. O wschodzie słońca otworzył oczy i zamknął je znowu. Ciało jego stygło.

Na zamku zapanowała głucha cisza. Ludzie przesuwali się, jak cienie. Wszystko było jak wymarłe. Przychodzili doktorzy młodzi i starzy, z Okranji i z obcych krajów. Stali, patrzyli, badali, potrząsali głowami i odchodzili. Mnie zaś błysnęła myśl ratunku i poszedłem do Aquilona.

— „Czego chcesz?“ — zapytał mnie pogardliwie.

— „Królewicza chcę uleczyć“.

— „Ty, błaznie?“

— „Doktorzy nic nie wiedzą...“

— „A ty wiesz więcej?“

— „Ja nie — ale spytajcie mojej matki“.

— „Precz, precz... Jeszcze ci drwiny w głowie? Czy nie wiesz, że nasz królewicz padł ofiarą złej czarownicy? Chcesz jeszcze jednej czarownicy doń wołać? Precz, mówię ci, błaznie, precz...!“

Matkę muszę przecie zawołać — pomyślałem — matka wie więcej, niż wszyscy doktorzy z całego świata. Matka zna zioła przeróżne, co złą gorączkę leczą i złe uroki i suche bóle i krzypotę. — Matka wie wszystko... Poszedłem do królowej. Płakała i zawodziła, rwała złote włosy i łamała ręce. — „Miłościwa pani“ — rzekłem — nie wypędzaj mnie od siebie. Jam już nie ten Puk, co dawniej, ja już nie jestem błaznem — zapomniałem się śmiać“.

— „Czego chcesz, Puk?“ — „Chcę zawołać mojej matki, żeby uleczyła księcia“. — Królowa otarła łzy i spojrzała na mnie. — „Czy twoja matka zna się na lekach?“

— „Czy nie wiecie o tem, miłościwa pani?“

— „A jeśli uleczyć księcia — nie potrafi?“

— „Wtedy bierz moją głowę, królowo“.

Uśmiechnęła się smutnie. To nie wiele, mój Puku“.

— „Więc weź moje serce, miłościwa pani — to więcej“.

A nazajutrz wieczorem wolno mi było moją matkę

zawołać. A kiedy przybyła na dwór królewski i weszła do sypialni królewicza, zastała tam już wszystkich zebranych: króla, królową, wielu rycerzy i panny dworskie, Leję, Sybillę, Lysinę, Violę i Eufrozyne. Gdyż królewicz skarżył się w snach gorączkowych na ciszę i pożądał ludzkich głosów i ludzkich twarzy. Więc królowa rozkazała przyjść pannom z fraucymeru i grać na lutni i tak się zachowywać, jakgdyby królewicz był zdrowy i wesoły i mógł się bawić wraz z niemi.

Ale on tego wszystkiego nie widział, ani nie słyszał. Leżał z oczyma w ślup, jak umarły.

Moja matka pochyliła się nad nim, położyła mu swoją żółtą pomarszczoną rękę na czole i trwała tak długo. Potem rzekła cicho:

— „Królewicz jest — zatruty“.

— „Zatruty?“ — szepnął król przerażony. — „Kto go mógł zatruć?“ „Czyżby Izabela mu to nieszczęście przyniosła?“ — pytała królowa, — „pocałunek dziewczyny?“

— „Już dawno pił truciznę“ — rzekła matka. — „Nie z jednego kwiatu, ale z wielu ją pił. A były między niemi pocałunki tak jadowite, jak ukąszenia żmiji... Musi umrzeć...“

— „Kłamiesz!“

— „Musi umrzeć... Złe, zdradliwe całusy zatręły jego młode życie“.

— „Uratuj go!“

— „Ja nie mogę... Tylko jednych ust pocałunek może go uratować“.

— „Pocałunek?“

— „Pocałunek, który z prawdziwej pochodzi miłości“.

— „Gdzie szukać dziewczyny, która go takim obdarzy całusem?“

Zaśmiała się ochryple.

— „Szukaj jej!... Wiele pięknych panien widzę tu dookoła... Czy niema żadnej między niemi, któraby go kochała? Żadnej, któraby go w miłosnym uścisku objęła? Czy to możliwe?... Patrzcie, miłościwa pani, jak się płonią i drżą, czy żadna w skrytości pięknego księcia nie kocha? Chodźcie tu, chodźcie dziewczęta! Czego wasze usta nie śmiały wypowiedzieć, niechaj zdradzą w pocałunku... Czy słyszycie? Rozkaż im, rozkaż im, królu!...“

— „Przybliżcie się“ — rzekł z cicha król.

— „Przybliżcie się, król tego żąda, chodźcie, całujcie... Czy zapomnieliście już, jak się całuje? Zapomnieliście już święta kwiatów i pocałunków?... Widzę tu Leję; widziałam ją na festynie, w parku, nocą — widziałam, jak naszego królewicza płomiennym wzrokiem ścigała... tak, o tobie mówię Lejo... właśnie o tobie... Ty, biała panienko, z pięknymi, błyszczącymi lokami...“ — Chwyciła Leję za ramię — „Chodź, ty pierwsza, pocałuj królewicza“.

— „Co robisz? — jąkała Leja, przerażona i drżąca. Broniła się, ale królowa rzekła: „Idź Lejo!“

I Leja wystąpiła powoli, niepewnie i lękliwie. Jak drgający płomyk, przesuwała się w swej czerwonej szacie przez zaciemnioną komnatę. Jej biała szyja

była obnażona, nagiemi, białemi ramionami objęła głowę księcia i ucałowała jego blade wargi.

Ale królewicz leżał blady i nieruchomy; pewnie nawet nie uczuł jej pocałunku.

— „To nie ty“ — rzekł smutno król i skinął, żeby odeszła; ona zatoczyła się, jak nieprzytomna i znikła.

— „Sybilla!“ — zawołała królowa.

Sybilla była, jak rozkwitająca róża, jej włosy, jak roztopiona miedź. I ona ucałowała królewicza, ale on zbladł jeszcze więcej i jęknął.

— „Idź, nie sprawiaj mu bólu!“ — rzekł król. Zapłoniła się i odeszła.

— „Eufrozyno!“ — rozkazała królowa.

Przyszła zgrabna, maleńka, zalękniona, jak mały ptaszek. Zaczerwieniła się, wspięła się na palcach i, trzymając ręce za sobą, dotknęła ostrożnie ust królewicza.

Ale on zamknął oczy i odwrócił się.

— „I ty także nie“ — rzekł król, trzęsąc głową, a ona odeszła, płacząc.

— „Chodź teraz ty, Violo“ — rzekła królowa.

Przyszła w żałobnej szacie, jakby ciężki smutek na swych wątłych barkach dźwigając. Miała szlachetne oblicze, dumne spojrzenie, a oczy czarne i głębokie. Upadła na kolana przed łóżkiem, objęła królewicza gwałtownie i wpiła się w jego usta, jakby przeżywała z nim noc miłosną.

Ale królewicz wydał przeraźliwy okrzyk, wiał się w boleściach, a jego oczy krwią zaszyły.

— „Precz!“ — zawołał król przerażony. Upadła zemdlona i wyniesiono ją.

— „Może ty, Lysino?“ — rzekła królowa złamanym głosem. Lysina miała lat szesnaście; jasnowłose dziecko. Potrząsnęła głową:

— „Ja nie pójdę... wybaczcie, miłościwa pani“.

— „Dlaczego nie, Lysino?“

— „Nie chcę królewiczowi bólu zadawać. Ja głupia dziewczyna, królowo, ja nie wiem, co to miłość“...  
Zająknęła się i zamilkła.

Tymczasem zrobiło się w sali zupełnie ciemno. Tylko na kominie migwały czerwone płomyki. Obrazy na ścianach były czarne — tylko białe postacie dziewcząt i białe łoże królewskie jaśniały wśród ciemności. Wszystkie okna były otwarte szeroko a z pobliskiego lasu, gdzie mieszkała moja matka, staruszka — pachniało miodem... Słysząc było monotonne rechotanie żab.

Zdawało mi się, jakbym stał przy naszym małym okienku, w naszej chacie w lesie, a przy mnie moja mała siostrzyczka Litta. — „Czy mój królewicz szczęśliwy?...“ Ach, gdyby ona tu była — myślałam — gdyby ona swego królewicza zobaczyła, gdyby ona go pocałować mogła!

I wzruszony szepnąłem mojej matce do ucha: „Litta“.

Zaśmiała się gorzko: „Tak, teraz... teraz by im się przydała!...“

Ale ktoś dosłyszał imię siostry i wszystkie usta

szeptały naraz: „Litta“... Zmartwychwstało dawne wspomnienie... jak wyrzut, jak grzech...

Król zerwał się i rzekł do pazia: — „Przypro-  
wadźcie Littę!“ Chwyciłem matkę za rękę: „Czy  
przyjdzie, matko? Czy przyjdzie?“

— „Jeżeli jeszcze żyje“ — rzekła ochryple.

Srebrna smuga światła wpadła przez okno —  
wzszedł księżyc. Lekki wiatr poruszył koronami  
drzew... W komnacie panował szmer, zewsząd słysza-  
łem szepty, ciśnięto się do drzwi...

Paź powrócił — sam.

Dreszcz zimny mnie przeszedł — spojrzałem na  
matkę...

— „Matko...“ — zacząłem cicho, lecz głos uwią-  
zał mi w gardle. Potem, drżąc, pytałem pazia: „Powiedz  
mi, powiedz, ja jestem jej bratem...“

Spojrzał na mnie litościwie. I zrozumiałem, że...  
już było zapóźno.

Naraz królewicz poruszył się niespokojnie. Usiadł  
na łóżku, otworzył oczy i patrzył z niecierpliwością  
na drzwi... I naraz drzwi otworzyły się zwołna...

W krótkiej białej sukience ukazała się moja mała  
siostrzyczka Litta...

Szła cicho, jak we śnie. Rzuciłem się ku niej, chcia-  
łem ją chwycić za rękę — nie mogłem; jak biały obłok  
przesunęła się koło mnie. Nie słyszałem jej kroków,  
ale widziałem jej kochane oczy, jej bladą twarzączkę...  
Królewicz patrzył na nią, jak odrętwiały, nie spuszc-  
zając z niej wzroku.

A ona była coraz bielsza i bielsza w świetle księżyca i dochodziła coraz bliżej do łoża królewicza.

— Królewicz wyciągnął ramiona — krzyknął:

— „Litta, Litta!...”

Wtedy uśmiechnęła się tak słabo, tak dziecinnie, jak niegdyś. Uśmiechnęła się, przystąpiła cicho do królewicza i... pocałowała go w usta...

Potem zbladła i rozplynęła się...

— „Uleczony!” — zawołała moja matka.

Królewicz już nie żył.



# HOMUNCULUS

## I

Po niebie pędziły różowe konie, smoki, łabędzie. Ciepło, jak w maju, chociaż był luty. Wiatr południowy, miękki, jak oliwa. Okna dworca czerwieniły się łagodnym, dobrotliwym blaskiem.

I na pociąg druga czterdzieści przyszły te same osoby, co zawsze. Dwie panny starsze, Cesia i Wala Błotnickie, z których jedna pisze w sądzie powiatowym, a druga na poczcie, i mają dwie zupełnie jednakowe pelerynki, a z odwrotnej strony, zwłaszcza w pasie, dużo jeszcze pozornej młodości. Potem pan notariusz z siwą bródką hiszpańską i w kapeluszu aksamitnym, à la Rembrandt. Zjawia się on zwykle o drugiej trzydzieści osiem, kłania się pięknie Wali i Cesi i stwierdza:

— Tylko co go nie widać...

Potem pani generałowa z kunsztownie i symetrycznie zbudowaną fryzurą, która ma na sobie dużo czarnych a szklących się różności i przez długi, sztywny l o r g n o n, z braku godniejszych uwagi przedmiotów, patrzy na jakieś kury, spacerujące po tamtej stronie toru, na Szymona w czapce urzędowej, noszącego paki, na kapelusz notariusza, a czasem na panny Błotnickie.

Wreszcie zajeżdża fotel na kółkach z pasażerem na pozór starym, w istocie czterdziestoletnim — a za fotelem idzie smukła pani Elżbieta, profesorowa, która ma bladą twarz i duże czarne oczy. A w tych oczach jest dusza całego dworca i wszystkich osób na dworcu i nieba, po którym pędzą różowe obłoki, i wieczne oczekiwanie pań Blotnickich, i tragedia *Lo rgnon'u*, zmuszonego patrzeć na kury, i piękne aspiracje kapelusza à la Rembrandt...

Słychać takie dzwonienie, jakby padały gęsto drobne perełki. Jakby dzwoniły szyny, obłoki, dworzec, czerwone słońce. A notariusz mówi niejako do wszystkich:

— Już sygnalizują z Bortnik...

Jednocześnie wpada na peron krokiem wesółym i młodym jasny blondyn z twarzą clown'a. Ma czapkę czerwoną.

— Naczelnik — mówi do męża pani Elżbieta.

Pan naczelnik salutuje — często i chętnie, jak młody oficer. Ale nie ma czasu. Bo w powietrzu dzwonią perełki. Wydaje rozkazy, i czuje się ważność chwili. Czuje się drugą czterdzieści. Panny Blotnickie z oczekiwania nerwowo śmieją się i szepczą.

Pani Elżbieta patrzy z prawie brzydkim zajęciem...

— Ale ja także jestem na dworcu. Hop, hop — nie widzi mnie pani? Ani myśli. Profesor odklonił się, ale ona jest zajęta, patrzy. Naturalnie, w kierunku Bortnik, skąd ma nadszednąć pociąg. Czysty przypa-

dek, że zarazem patrzy na blondyna z twarzą clown'a. On, jako naczelnik, musi stać właśnie tam, gdzie stoi.

I słychać już z daleka maszynę. Sapie strasznie, jak „coś“ w bajce, czego jeszcze nie ma. Fantastycznie a regularnie, jak „coś“ we śnie, co się dopiero zjawi.

Zresztą Cesia mówi całkiem wyraźnie i słusznie do Wali:

— Nigdy nie można przewidzieć...

Wszyscy czekają — nawet dworzec stanął, niby na palcach, żeby zobaczyć to, co sapie.

Instynktowo zbliżam się do naczelnika i klepię go po plecach (żeby zauważyła mię pani Elżbieta).

— Niech pan siebie bije — mówi clown, niby zły.

Ale pani Elżbieta uśmiechnęła się do mnie i kiwnęła głową.

I nagle — zajechał pociąg. Mimo czekania — nagle. A wszyscy, którzy tak długo czekali — panny, generałowa, notariusz — naraz gdzieś utopili się w chaosie. Tak jak znikają domownicy, kiedy są obcy... Okna dworca zgasły.

Obejrzałem się; fotel z profesorem i pani Elżbieta stały tam, gdzie przedtem. Ona, jak osiemnastoletnia panienka. Miała jakiś biedny, jakby zmarznięty wyraz twarzy, która wydłużyła się ciekawie. Jej dziobek zwrócony był mocno w prawą stronę, bo tam właśnie była pierwsza klasa. Przypadkiem był tam zresztą i naczelnik, który właśnie mówił z oficerami, wyglądającymi z okien wagonu.

Usłyszałem, jak powiedział:

— Nie mam pociągu do pociągów.

Śmiał się, jakby rzekł coś dowcipnego. Przez chwileczkę piał, jak kogut, a potem krzyknął na chłopów, pchających się do trzeciej klasy:

— Nie wszyscy razem! Jeden hrabia po drugim...

Potem konduktorzy jęli z trzaskiem zamykać drzwiczki. Szymon, który przedtem nosił paki, stanął z miną uroczystą przy dzwonie, i dał potężny sygnał... Rozjaśniło się na peronie. Trąbka, świst bolesny — i koła zwolna zaczęły się ruszać.

...Peron był brudniejszy niż przedtem. Cesia i Wala Błotnickie postarzały się znowu, kapelusz à la Rembrandt zmalął, a pani generałowa patrzyła uważnie przez l o r g n o n na ostatnie wagony, które biegły coraz prędzej, prędzej — niż lata.

Zresztą Wala mówi zupełnie wyraźnie i słusznie do Cesi:

— No, i cóż z tego wszystkiego?

...Z toru było słyhać śmiech robotników. Bo pan naczelnik wywrócił właśnie koziołka.

— „*Pierrot triste*“ — zauważyła cicho pani Elżbieta.

Szliśmy potem we dwoje aleją topolową, która od października nie miała już kolorytu, lecz tylko rysunek — szliśmy we dwoje, bo profesora wieźli kilkanaście kroków przed nami, i... bardzo mi było smutno dlatego, że pani Elżbieta mówiła przed chwilą o naczelniku — a także dlatego, że wiatr ciepły przypomniał mi jakieś słodkie wieczory letnie.

Zacząłem mimowoli:

— Jak się tak kogoś bardzo zna, bardzo odczuwa

każdy rys twarzy, każdy ruch... wszystko — i jeżeli to „moje“ nie jest jednak mojem...

Nie dokończyłem z tchórzostwa. Ale ona rzekła takim tonem, jakby nic nie usłyszała:

— Pan wie, że on wszystko udaje.

Nagle wpadłem w pasję:

— Wiem, że pani go kocha.

Spojrzała na mnie zdumiona:

— O kim pan mówi?

W tej chwili znowu straciłem odwagę.

— O... mężu pani — rzekłem, spuszczać oczy.

Przez chwilę milczała; potem szybko, głosem dzieci, mówiących o rzeczach religijnych albo mądrych:

— Naturalnie, że go kocham. Muszę go przecież kochać. Jak się go zna tak dobrze, jak ja — przecież już trzeci rok minął od naszego ślubu — to dopiero ceni się jego niezwykłą inteligencję i dobroć...

Spojrzała gdzieś, na jakiś dach czy słup telegraficzny (a ja czułem wyraźnie, o czym myśli) i powtórzyła:

— I przytem — dobroć...

Zaraz potem zaczęła się śmiać:

— Czy pan widział, jak naczelnik machnął koziółka?

Słowo „machnął“ powiedziała tak, jakby miała najwyżej lat czternaście. Ale zaraz potem spoważniała i zwolniła tak kroku, że odległość między jej mężem a nami powiększyła się znacznie:

— Ale wtedy nie śmiałam się. Bo on jest w grun-

cie nieszczęśliwy. Pan wie; że on jest bardzo... zdolny, tak — podobno niezwykle zdolny... i w dodatku z dobrej rodziny — pan wie...

— Nie wiem — mruknąłem, ale gdyby nawet tak było... nie widzę w tem doprawdy żadnego nieszczęścia.

— Ależ nie w tem! — przerwała mi niecierpliwie (głosem dziewczynki zirytowanej brakiem pojętności u dorosłych) — tylko w tem, że, mimo wszystko, żyje tutaj... w takiej dziurze, na małej stacyjce...

Obraziłem się.

— On jeden! — rzekłem ostro.

Zaczerwieniła się.

— My, to co innego... Mój mąż dlatego, że... no, pan wie — nie mógł przecież wyklądać dalej na uniwersytecie... ja, jestem jego żoną... taka generałowa, no, bo stara baba... a pan... albo ja wiem?... Bo pewnie sam pan chce.

— Pewnie.

Ale ona już na mnie nie patrzyła.

— Rozumie pan — mówiła dalej — on ma coś tragicznego... chociaż robi głupstwa. „*Pierrot triste*“. Szukałam długo odpowiedniego wyrażenia... On mię zajmuje od... od miesiąca właściwie...

— Aha — przerwałem jej — od tych popisów gimnastycznych w sali ratuszowej.

Stała zmieszana i oburzona.

— Po-pi-sów gim-nastycznych? — powtórzyła powoli, pogardliwie — myśli pan, że mnie to imponuje? — Gimnastyka, siła, zdrowie... Ha, ha, —

Gdyby moim ideałem było zdrowe, silne zwierzę, to przecież...

Opamiętała się, nie dokończyła: „to przecież nie byłabym wyszła za swego męża“.

— Przepraszam panią — rzekłem zupełnie szczerze.

Szliśmy już przez rynek, na którym świeciły się trzy latarnie.

— Pan go ma pewnie za przeciętnego błazna — powiedziała Elżbieta.

A ja pomyślałem:

„Tak, jak wszyscy“.

Ale w tej chwili rzekła i ona głośno:

— Tak, jak wszyscy... w naszym towarzystwie. Uważa go się za kompletne zero. Zresztą przyznaję otwarcie, że i ja sama, dawniej... zanim poznałam go bliżej...

Spojrzałem na nią.

— Kiedyż właściwie... poznała go pani bliżej? O ile mi wiadomo, nie miała pani dotąd sposobności. Nigdy nie rozmawiała pani z nim dłużej...

— Rozmawiała! Tak jakby trzeba dopiero mówić z człowiekiem! To się czuje... w pewnych chwilach... Kiedy dziś na dworcu wywrócił koziołka, stanęło mi jasno przed oczyma, że on jest...

— „*Pierrot triste*“ — dokończyłem ironicznie.

— Tak... Ale dziś wieczór zobaczymy się, prawda?

— Z nim — czy ze mną?

— Z panem, naturalnie. Pan będzie przecież na balu.

Rozstaliśmy się... Było jeszcze wcześniej, ale przed hotelem pod Różą był ruch prawie świąteczny. Będzie znowu „cała okolica“ — na tej jedynej większej zabawie w zapustach. A pani Elżbieta będzie znowu najpiękniejsza.

...Idę po błocie i jestem szczęśliwy, bo wyobrażam sobie, że oczy pani Elżbiety patrzą wyłącznie — na mnie. A clown, w czerwonej czapce stoi gdzieś daleko w kącie. Ale za kilka godzin pokazało się, że...

Zdarzyły się tej nocy dziwne, dla mnie i dla męża pani Elżbiety niezbyt przyjemne rzeczy. Czas w tej nocy gorącej pędził z szybkością huraganu. Może głównie dlatego, że... mam słabą głowę.

— Mówmy sobie „ty“ — rzekłem do naczelnika stacji w małym handelku koło ratusza.

(Bo spotkaliśmy się przed balem na rynku i wstąpiliśmy razem na wódkę).

Tak się złożyło.

...Ucałowaliśmy się, jak należy. Opowiedział mi zaraz trzy dykteryjki, zanotowane w małej książeczce, którą wyjął z kieszeni fraka.

— Notuj sobie także — poradził mi — bo to się zapomina, i najlepsze rzeczy idą na marne... A to potrzebne. Ot np. na balu wypadnie zabawić damy...

Wkońcu zaproponował:

— Jeszcze po wódcę, wszak pomrzemy wkrótce.

Poszliśmy na bal. A za chwilę zrobiła się... pierwsza w nocy. W gęstej dżungli kwitły złote melodie i pachnące niewiasty. Czuło się niejako ten wiatr południowy, co przez cały tydzień, tylko gorętszy...



Tak silny, że w głowie mej powstała burza morską...

— W tem wszystkim są misterje... — powiedziałem kilka razy do różnych osób.

...Kolorowe papużki skakały z jednego drzewa na drugie.

— Nie jestem zazdrosna — oświadczyła mi jakaś niebieska — przyznaję otwarcie, że ona najładniejsza.

— Kto?

Uśmiechnęła się niedowierzająco.

— O, pan niby nie wie?... Dostyc popatrzeć...

I rzeczywiście; nagle otworzyłem niejako oczy i ujrzałem.... Elżbietę. Czyż nie była wszędzie? Drobną osobką, smukłą... biała świeca w czarnym lichtarzu. Cienka, dekoltowana świeca. Ale blask jej był niesłychany... Ile razy się spojrzęło — ona, wszędzie ona.

Tak szeroko i wysoko rozkwitła jej piękność.

— Aż pod sufit — rzekłem do weterynarza miejskiego.

...Jej piękność biała. O, bo w dzień, przez rok szary tliła się gdzieś w ciemnych sukniach i kątach... a dopiero dzisiaj objawiła się wszystkim czarowna fontanna... Olbrzymie kręgi adoracji ją otaczały...

Przeszła koło mnie.

— O, biała świeca w czarnym lichtarzu — rzekłem do poborcy podatkowego.

Odpowiedział:

— Pan pewnie tak po tokaju... Trzeba strzec się węgryzna, panie dziejku... Trzeba uważać...

Elżbieta stanęła nagle koło mnie... Chcąc z tego skorzystać, powiedziałem do niej szybko (ale mimowoli surowo):

— Droga pani ma sukces! Sukces!...

— A cóż to panu szkodzi? — spytała z uśmiechem.

Aha, pomyślałem, sama przyznała, że podoba się całemu światu, wszystkim gadom i płazom tej ziemi. Jej urok jest ewenementem poprostu. Jak trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu. Jutro będą ją sławiły telegramy, dzienniki...

Zresztą śpiewały właśnie o jej wdziękach skrzy-pce...

— Tak pięknie grają, że aż boli... — zwierzyłem się Elżbiecie.

Kiwnęła głową, jakby w tej chwili to samo czuła.

— Bo to są melodie do tańca — mówiłem — tylko do tańca... Wyczerpując się przez taniec... można je wyrazić kompletnie nogami. Niejako do ostatniej kropli...

Znowu kiwnęła głową.

— Ale w tym walcu... — mówiłem — słyszy pani? W tym walcu jest nadwyżka, idealna, boska... Słyszy pani tę zbyteczną, niepraktyczną resztę? Tak fruwa w powietrzu ćma rozkochana, tłukąc się o ściany, ciepłe gorsy, tęskne serca... Albo teraz, po ziemi, między parami...

Powtórzyła cicho:

— Między parami...

— Jak samotny artysta w tłumie — dokończyłem prawie płacząc.

Uśmiechnęła się.

— Tak — szepnęła zdziwiona — tak... Ale —

— Co ale? — spytałem żywo.

— ...Ale dzisiaj wszyscy przyznają, że on jest... niezwykły. Wszyscy mówią z nim i o nim...

— O kim?

— O naczelniku.

Zabolało mię serce.

— Tak — rzekłem gniewnie — tak... Wszyscy mówią, że pani z nim tańczyła, Bóg wie, jak długo, jednym ciągiem... Przed samą kolacją... Tak. Jedna para tańczyła całą wieczność... pani z naczelnikiem. Wszyscy mówią...

Zaśmiała się:

— Niech mówią!

I w tej chwili znowu ją porwali mężczyźni.

A ja cicho do siebie:

„Mówią o tym, z którym tańczy królowa... On jest pierwszy, bo odznacza go królowa... Tak powstają dobrodziejstwa, sławy europejskie... Naturalnie, że mówią...“

Przystąpił do mnie notariusz i zauważył:

— ...W nim jest bądź co bądź... mimo pozorów niezbyt może interesujących... pewna, że tak powiem... zagadka...

— W kim jest zagadka? — spytałem (trochę za głośno).

Notarjusz zaniepokoił się cokolwiek:

— Niech pan tak nie krzyczy. Zauważyłem, że w naczelniku jest jakaś tajemna melancholja...

Roześmiałem się... (zdaniem notarjusza zbyt „dziko“)... i zaprowadzili mię do innego apartamentu.

Znalazłem się w miejscu rozsądniejszym, chłodnym. Gdzieś poza dżunglą. Błękitny dym w powietrzu, stoły wybite zielonem suknem, starsi panowie, brak perfum...

Siedział tu profesor, mąż pani Elżbiety, a z nim mężczyźni siwi, cicho i mądrze mówiący.

Tylko po kątach płonęły nieśmiało jakieś sympatyczne ogniska. Czulem, że tam piją koniak.

Usiadłem na czemś gładko-ceratowem. Świat wytworny, cichy jał wirować szybko naokoło gorących bólów i pytań mego serca... Czasem, na małą chwileczkę, otwierały się drzwi od sali i czuć było wiatr z piekła, oddechy podzwrotnikowego życia.

Westchnąłem głęboko.

„Pokój wyrzutów sumienia“, pomyślałem — „pokój o tak subtelnej akustyce moralnej, że napewno wszyscy ci poważni starce słyszą bezecne krzyki mego ukrytego pijaństwa“...

Aż nagle ktoś z siedzących w kącie uderzył mnie przyjaźnie w kolano.

— Do czego się to odnosi? — spytałem (głosem trochę innym, niż chciałem).

— Do koniaku — odrzekła osoba nie młoda, ale jowialna.

Przesiadłem się i nabrałem odwagi. Wzrokiem

śmiałym jałem badać dokładnie materiały ludzki w pokoju i przekonałem się, że tak źle nie jest. Właściwie tylko twarz profesora była poważna i blada. A nawet profesor — ot w tej sekundzie, spojrział na mnie wprost życzliwie, ciepło, niemal poufale.

Pomyślałem naraz, że w gruncie rzeczy, ja i profesor znamy się dobrze i że oddawna nas łączy nie tajemnej sympatii. Wstałem natychmiast i po dość chwiejnej posadzce lekko i szybko zbliżyłem się do niego.

Zaczynając (trochę raptownie) konwersację, rzekłem:

— Pani Elżbieta jest stanowczo królową! Co tu mówić! Nikt chyba nie zaprzeczy, że... no, co tu mówić!...

Zaperzyłem się jakoś, całkiem niepotrzebnie.

A profesor uklonił się głową z uśmiechem uprzejmym.

— Właśnie i panowie (wskazał na starców) nie szczędzą w tej chwili słów, ogromnie dla mej Elżuni pochlebnych a i dla mnie nad wyraz miłych...

„Mówi jak książka“ (pomyślałem trochę kpiąco).

Ale zaraz potem rzekł profesor do tamtych panów całkiem już naturalnie poprostu:

— Podoba się, wierzę. Nie dlatego, że ładna, tylko dlatego, że dziecko. Dlatego wszystkich czaruje, odmładza. To jej życie niezepsute, świeże. Jej czystość.

Pauza, pauza.

„Czemuż te bałwany milczą?“ — pomyślałem z przykrością.

...Sam czułem, że profesor mówi jasnowidząco, całkiem pewne prawdy o Elżbiecie. Dziecko... życie... czystość. — A oni za to milczą jakoś impertynencko.

Bo przecież oni coś milczeli — to się czuło fizycznie. Słyszałem niejako wszystkie ich z sytuacji i stosunków banalnie wynikające złośliwości...

I w tej chwili wszedł do pokoju — piekło zahuczało — miły naczelnik stacji. Uśmiechał się, jak wiosna. Na piersiach miał barwny rój kotyljonowych motylków.

Trudno było nie zauważyć, ha-ha! Więc ten i ów stwierdził:

— Tyle kokardek.

— Zdobywca serc...

Poczem naczelnik sam dodał:

— Zdobywca serc *en gros* i *en detail*.

Śmiał się.

— Wesoły chłopak... — rzekłem (trochę głośniejszy niż chciałem).

Ale aranżer tańców, który właśnie wpadł na chwilę, sprzeciwił się stanowczo:

— Wesolość pana naczelnika jest tylko pozorna — stwierdził cicho, ale z przekonaniem.

— Naturalnie...

— Przecież to jasne...

Wszyscy wiedzieli nagle, jaki był właściwie pan naczelnik.

— Mój siostrzeniec, który się wkońcu zastrzelił —

odezwał się dyrektor z kąta — także zawsze udawał, że ma usposobienie pogodne...

Tylko ja powtarzałem:

— Wesoły chłopak...

Naczelnik przestał śmiać się głośno i usiadł z miną trochę niepewną, wahając się widocznie sam co do swego istotnego temperamentu.

Aptekarz (wielki pono niegdyś Don Juan) podniósł palec do góry:

— Cisio, cisio... Dajcie spokój biedakowi. Nie mówcie przy nim o jego tajemnych smutkach... Zre-sztą, co mu tam. Przecież baby go lubią. A to grunt. Baby przepadają za mężczyzną, który ustami się śmieje, a w duszy płacze...

Krzyknąłem do naczelnika z nagłą pasją:

— Daj słowo honoru, że w duszy płaczesz? Możesz dać, hultaju, czy nie!

Naczelnik spojrział na mnie z łagodnym wyrzutem:

— Ja na takie rzeczy, panie tego... nie daję, panie tego...

...Ale bądź co bądź wszyscy zaczęli mówić żywo i równocześnie o jego bezprzykładnem dzisiejszem szczęściu. I że, zwłaszcza, jedna pani w towarzystwie...

— Zwłaszcza jedna — zaczął mecenas, potem chrząknął i przestał.

Tak samo drugi, trzeci...

Ot, istoty najwyraźniej podchmielone, nie panujące już nad wyrazami, które — niby ptaki z nie-domkniętej klatki — wylatywały z ich ust na pokój.

A najgorsze było to, że za każdym razem istota taka mimowoli szybko, ale wyraźnie, spozierała na profesora, zanim wreszcie opamiętała się i ucichła. I że zrobiło się wkońcu „powietrze“, mówiące nie-stosowne rzeczy.

Nie, to jeszcze nie było najgorsze.

Bo w tę atmosferę nadto wymowną weszła w dodatku... pani Elżbieta, z wielką swą, dotąd nienaruszoną porcją kotyljonowych odznak.

Widziałem, jak oczy jej szukały.

Czułem, kogo szukały... I, żeby zapobiec złemu, krzyknąłem:

— Nie tu! Nie w tym pokoju!

Ale Elżbieta uśmiechnęła się i spostrzegłszy naczelnika stacji, rzekła, rumieniąc się po uszy:

— Tu. Właśnie tu.

I najpierw przypięła mu trzy kokardki.

Ale z jej twarzy dziecinnie rozgorączkowanej widać było, że uważa ten dar za skromny.

Zawahała się trochę, ale... wyjęła z koperty pięć dalszych wstążeczek.

— Dosyć! — powiedziałem półgłosem.

Profesor spojrział na mnie surowo i jakby zdziwiony, a tamci roześmieli się cicho...

...I jeszcze dziesięć kokardek szybko a zręcznie przypięła naczelnikowi do fraka.

— Dziecko — krzyknąłem do profesora — miał pan rację, dziecko.

Wkońcu dała Elżbieta wszystkie, literalnie wszystkie kokardki.



Ale i to jeszcze nie było najgorsze.

...Tylko to, że zaraz potem Elżbieta przebudziła się niejako, zaczęła się ogromnie wstydzić i spoglądać takim wzrokiem na profesora, jakby czuła się winną...

...Że nagle (czerwona po uszy) zaśmiała się niby szyderczo i powiedziała do naczelnika:

— To był żart! Niech pan nie myśli, Bóg wie, co!...

...Że usiadła potem spiesźnie, ostentacyjnie blisko przy swoim mężu i rzekła do niego czule:

— Przy tobie najlepiej...

...Że potem zachmurzyła się strasznie, podparła się na łokciach i oświadczyła głosem ponurym:

— Ach, jak mnie te wszystkie bale męczą i nudzą.

— Nie chcę tych bali, nie chcę. Pozwól mi, zaraz jutro pojechać do mamy.

To było najgorsze.

## II

Ale zima była ciągle ciepła i dżdżysta.

Elżbietę wysłali do matki.

Choć Elżbieta była pewna, że sama chciała. Matka jej mieszka gdzieś na końcu świata, w okolicy pustej i smutnej. Gdyby żyła na *Avenue de l'Opéra*, miała łożę w teatrze i przyjmowała co wieczór połowę Europy — byłbym spokojniejszy. Ale w samotności... clown może wygrać sprawę.

I mgły są codziennie od rana do nocy...

Za dworcem są łąki bez końca. Mimo wszystko i teraz jednak zielone. A ścieżką, idącą wzdłuż kolejowego toru, spacerują codziennie panny Błotnickie. Czarne cienie na tle nieba wyglądają mimo wszystko, jak kobiety, panny...

Nieraz patrzę z dołu, jak płyną one w kierunku Bortnik... i zdaje mi się, że jest ich więcej, setki, tysiące.

Idą panny.

Na miłość Boską — Elżbietę wystali. Być gdzieś na końcu świata, tylko z matką starą i mieć dwadzieścia kilka lat i — myśleć, tylko myśleć! Przecież ona tam jednak żyje... więc tęskni. Aż tu czuję tęsknotę jej lat dwudziestu kilku...

Widzę ją...

Tam na górze ją widzę. W tym pochodzie panien. Widzę nietylko dwie panny Błotnickie...

Tam idą panny wszystkie. I jest w tym pochodzie mglistym, sennym, niezmordowanym... jakaś wieczna muzyka.

Nie śpię potem w nocy, bo słyszę tę muzykę. Słyszę, jak tam daleko tęskni Elżbieta.

Wstaję w nocy i piszę o pannach... piszę, jak:

„...Idą panny ze wschodu, panny wieczne, drogą daleką.

idą przez zimę szarą, przez wiosnę zieloną, przez lato bursztynowe, przez jesień czerwoną.

Mija słup za słupem, wieża za wieżą, rok za rokiem.

Czasem zawoła głos z daleka lub z bliska; z boru

gęstego, z tawerny w porcie, z klasztoru na górze,  
z domków przy drodze.

I te panny, które głos woła, stają posłuszne i wiedzą, że już koniec ich drogi.

A tamte, których nikt nie wołał, idą dalej, idą drogą daleką.

I niektóre, znużone, widząc światło, myślą, że to wołanie, i podchodzą do domów, gdzie są ich siostry z mężami i dziećmi, już wypoczęte, spokojne.

Ale siostry w domach szydzą z panien wiecznych za oknem, bo panny szły już długo i są zgarbione i zwiędłe.

Szydzą, bo panny, choć zgarbione i zwiędłe, mają na licach szalone uśmiechy wiosny, na głowie złoto krzyczące lata, na ustach czerwień jesiennych tęsknot.

Więc z lękiem uciekają panny wieczne od sióstr, co wypoczywają spokojnie.

I dalej krążą drogą daleką na zachód, boleśnie słuchając, czy ich ktoś nie woła.

A ze wschodu widać już panny nowe, panny-dzieci, panny-anioly... Idą, wciąż idą“.

Dostałem rano list.

„Mój panie, niech pan już nie gniewa się na mnie, jeśli pan się gniewa, bo to nie jest wcale tak, jak pan z pewnością myśli — tylko ja wiem, jak jest, i niech mi pan zachowa swą cenną przyjaźń, bo nie zmieniłam się przecież, a co ludzie mówią, nic mnie nie obchodzi. Pan się raz pytał, czy kocham męża — i dziś jeszcze mogę odpowiedzieć tak, jak wtedy odpowiedziałam, i wogóle mam za wiele godności własnej,

żeby kłamać, i zresztą wcale nie potrzebuję przed nikim się tłumaczyć z moich myśli (przekreślone: i uczynków) i uczuć, bo już, niestety, od pierwszego jestem pełnoletnią, ale wiem z pewnego źródła, że ludzie opowiadają o jakichś scenach, które się rozegrały niby między mną a moim mężem, a to mnie strasznie gniewa, bo przecież“...

Straciłem oddech. Po chwili dalej:

„...bo przecież ja sama tak strasznie stęskniłam się za mamą, że mąż w swej dobroci pozwolił mi pojechać do niej na kilka miesięcy, może do Wielkiejnocy, a może i dłużej, gdyby tylko deszcze przestały padać, to tu możnaby chodzić godzinami w lesie i myśleć, a jak jest wilgoć i błoto, trzeba ciągle uważać na suknię — taki on jest dobry...“

Teraz o mężu? (spytałem się z rozczarowaniem).

„...I niech mi pan wierzy, że przecież — niech mi pan wierzy — najwięcej cenię serce...“

Moje własne serce zabiło — teraz o mnie? — (bo pisze „cenię“).

„...I jak kto naprawdę jest dobry, to choćby wszyscy ludzie lekceważyli go, odwracali się od niego i nazywali go błaznem“...

O nim, o naczelniku. Aż do końca listu.

Wszystkie drogi prowadzą do niego.

Był „nieskończenie“ dobry. On przedewszystkiem.

A mąż nie? Owszem, do pewnego stopnia i mąż. Ale nie tak fenomenalnie, tak „nieskończenie“... Mąż był właściwie dlatego dobry, żeby można od niego zacząć, a potem już ciągle mówić o naczelniku.

Dobroć naczelnika była genialna, tak genialna, że trudno pojąć, dlaczego pani Elżbieta nie mówiła o niej przedtem, od samego początku — dlaczego i skąd poznała ją tam na końcu świata, w samotności, u starej matki...?

„Widzę dokładnie twarz jego...”

Ona czyta z jego twarzy... Niema z sobą fotografii, ale ma nieskończenie dużo czasu... I dlatego wszystkie zalety naczelnika muszą być nieskończone, nadnaturalne, nadludzkie. Ale ona pisze tylko o jednej... o dobroci.

O ile rozumiem panią Elżbietę, dobroć naczelnika jest romantyczna.

Maskuje się...

Patrz na figurę!

„...Usta z naiwnym uśmiechem dziecka... oczy świętego...”

Tylko oczy. Dobroć naczelnika jest bez patosu. Taką jak n. p. dobroć pudła, który nie zachowuje się bynajmniej, jak święty... tylko n. p. tańczy przy dźwiękach katarynki. Pan naczelnik stroi miny pocieszne, żeby odwrócić uwagę ludzką... od swego złotego serca. Rezygnuje z dobrych uczynków w formie ogólnie przyjętej, bo mógłby je ten czy ów zauważyć i odkryć jego serce. Ale jednak najpewniej czyni dobrze, choć strasznie pokryjomu, w formie zupełnie nowej, dotąd niebywalej, oryginalnej, nawskróś własnej. Takie jest serce pana naczelnika.

I to serce — nie ulega kwestji, choć Elżbieta o niem nie pisze, chyba między wierszami... to serce kocha ją,

Elżbietę — nad wszystko... A dowód? Ten sam co w kwestji dobrych uczynków. Tak, jak te uczynki muszą być dlatego, że... ich nie widać, tak i wielka jego męczeńska miłość jest, bo napozór... nie jest.

Napozór.

„...Mówi z kobietami głosem bardzo lekkim, wesołym, niby chłodnym, tak jak wszyscy mężczyźni, którzy czują naprawdę silnie i szczerze...

...O ile wogóle mówią z tą właśnie kobietą, którą kochają nad wszystko. O ile nie unikają jej zasadniczo, bezlitośnie, przez całe życie...

Bo...“

„...pewna jestem — pisze pani Elżbieta — że gdyby on kochał n. p. kobietę, która nie jest wolną, nie mówię, mężatkę, ale wogóle, pan mię zrozumie, to z delikatności jakiejś, z litości nad jej spokojem, nad jej mężem, którego ceniłby może, jako człowieka, dlatego, że ten mąż jest n. p. znakomitym uczonym, albo wogóle... pan mię zrozumie...“

Owszem.

„...nie zbliżałby się wcale do tej kobiety, a gdyby musiał z nią mówić kiedykolwiek, n. p. podczas kontredansa, albo kotyljona, udawałby przed nią nawet głupiego, bawił ją dykteryjkami zanotowanymi w małej książeczce, ogromnie pustymi, chcąc przez to wprost zaszkodzić sobie w jej opinji, albo prowadziłby życie ostentacyjnie strasznie rozwiązłe, zadawał się z kobietami z gminu i najgorszego gatunku, tylko dlatego, żeby zamydlić oczy światu, jej, sobie...“

Co za człowiek, co za człowiek? Jest na świecie, jest naprawdę, bo tęskni do niego pani Elżbieta.

Skończyłem jej list długi.

W duszy widziałem nowego naczelnika — nie tego dawnego clowna w czerwonej czapce („którego lekceważą wszyscy“)... Zawdzięczał swoje istnienie bez kwestji pani Elżbiecie. I dlatego uczułem do niego wielką, dziwną sympatję.

Ach, Elżbieto — masz przecież dziecko — choć strasznie dorosłe. Może nawet panny Błotnickie (myślałem) mają jakieś z pragnień i snów stworzone niewidzialne dzieci — mniej lub więcej dorosłe. Może kobieta zawsze jest matką, nie tylko z miłości, ale czasami i z tęsknoty...

„...Idą panny...“ — przypomniało mi się, jak melodja, którą grali mi w nocy...

A niedługo potem odwiedziłem pana naczelnika.

— Nie jesteś sam? — spytałem — bo przed chwilą w sieni słyszałem głośną rozmowę...

— Owszem — odpowiedział — jest tylko Dunkelgrün.

— Kto?

Naczelnik wskazał poważnie na czarnego psa potwornej brzydoty, który siedział flegmatycznie pod stołem.

— Nazwałem go tak ze złości na Icka Dunkelgrüna, który mię za często odwiedza. Winien jestem Ickowi kilka tysięcy... A on mi zatruwa zato życie...

Uśmiechnął się:

— Ale to nic nie szkodzi. Co słyszać nowego?

— Jak zwykle, nie mogłem wytrzymać, żeby nie mówić o tem, co najsilniej czułem.

— Dostałem list od kogoś... od cudnej kobiety...

Naczelnik uśmiechnął się niby głupio. Tak jak zawsze. Ale pod wpływem listu pani Elżbiety pomyślałem:

„Bóg wie, co kryje się poza tym uśmiechem...”

Może odgadł wszystko i zazdrości mi strasznie.

Patrzył mi prosto w oczy, uśmiechając się ciągle, i... nagle powstał. Zadrzałem. Stanął za mojem krzesłem, i czułem niejako nóż w plecach.

Ale on gwizdnął.

— To nie sztuka — zawołał — ja mam nie jeden, ale dwadzieścia listów od różnych pań.

Schylił się i z jakiejś skrzynki (za mojem krzesłem) począł wyjmować listy...

Przeróżne perfumy zaczęły kwitnąć w mrocznym pokoju. I przypomniał mi się bal w ratuszu.

A on liczył:

— Siedm, ośm... jedenaście...

Z tych zapachów niby zwiędłych, z szeleszczących papierów, z jego liczenia monotonnego... uczułem prawie bolesny niepokój w plecach (bo stał za mną i nie widziałem nawet jego twarzy) i naraz zerwałem się z krzesła. Postanowiłem zakończyć tę denerwującą komedję. Zerwać mu niejako maskę z twarzy. Do muru go przycisnąć. Niech mówi ze mną szczerze, po ludzku.

— A od... pani profesorowej — spytałem drżącym głosem — masz także list?



Wytrzeszczył oczy.

— Od jakiej niby? — spytał.

— Od pani Elżbiety.

Dopiero po kilku sekundach odezwał się głośno:

— Aha! Od tej, co to... wiem... ma męża sparaliżowanego... Taka chuda i czarna...

Potrząsnął głową.

— Od niej nic nie mam...

Ale za chwilę klasnął palcami i zawołał z widoczną uciechą:

— Mam kokardki od niej!

Aha, przypomniałem sobie. Natychmiast usłyszałem walc słodki z balu w ratuszu. Zabolało mię serce. Naczelnik pokazuje mi kopertę.

— Tu są — mówi. — Wszystkie od niej...

Wszystkie! Widzę ową scenę w pokoju, pełnym błękitnego dymu. Widzę twarz rozgorączkowaną Elżbiety. Jak przypina trzy motylki, potem piętnaście...

Głupie lzy stają mi w oczach. Tak ją kocham.

A naczelnik woła:

— Dunkelgrün!

I czarny, brzydki pudel przyskakuje do nas.

— Żebyś miał pojęcie, jak to wyglądało na czarnym fraku — mówi naczelnik...

Pokazuje mi na czarnych kudłach psa, jak to wyglądało.

— ...Bo tak, uważasz, w kopercie... nie robi wrażenia...

Wpina szpilki z kokardkami w gęstą sierść Dunkelgrüna i liczy:

— Piętnaście, dwadzieścia...

A ja ciągle słyszę walc z balu i widzę rozgorączkowaną twarz Elżbiety.

I nagle ogień bucha mi do głowy... bierze mię pasja wściekła na zwierzę, udekorowane motylkami Elżbiety i kopię psa, jak warjat...

Dunkelgrün wyje.

— Co pan robi? — pyta naczelnik cicho z wzruszeniem.

Czuję na sobie dwa spojrzenia, przestraszone, pytające... — psa i naczelnika. Mają obaj niejako ten sam wyraz twarzy. Zdziwienia z powodu nagłej a niespodziewanej krzywdy... Naiwne zwierzę...

— Przecież jego to boli — stwierdza clown głosem, niewymownie śmiesznym i zarazem ogromnie mię wzruszającym.

Jaki on jednak przecież jest... dobry — czuję (zupełnie w duchu Elżbiety) — jak szczerze lituje się nad psem, którego skrzywdziłem..

Teraz o mało nie płaczę z nagłej — skruchy. Dlatego, że kopnąłem niewinnego psa. Dlatego, że... naczelnik jest dobry.

— Nie gniewaj się, mój drogi — mówię do naczelnika — naprawdę, nie wiem, co mi się stało...

Naczelnik już się śmiał; machnął ręką.

— Nic nie szkodzi — rzekł uprzejmie — przyznaję sam, że to psisko szkaradne...

Znalazłem jakiś cukierek w kieszeni; starałem się udobruchać Dunkelgrüna. Ale pies spoglądał na mnie z daleka, nieufnie...

— Ma czerwone oczy — zauważyłem przy tej sposobności.

— Tak, jak Icek Dunkelgrün — rzekł naczelnik.

Na myśl o człowieku, który biednemu clownowi zatruwa życie, wzięła mnie znowu wielka litość...

„Co za nieszczęście mieć długi!“ — pomyślałem, spoglądając z prawdziwym współczuciem na twarz, która, według pani Elżbiety, miała usta dziecka, czy świętego...

Zacząłem delikatnie wypytywać o te długi naczelnika; ile ich ma i czy nie grozi mu ze strony Icka skarga sądowa lub inne niebezpieczeństwo.

Ale jego to wyraźnie nudziło.

— Nie warto mówić, — rzekł lekko.

I wyjął małą książeczkę z nowemi dykteryjkami. Na ulicy spotkałem notariusza.

— Miał pan rację wtedy na balu. W naczelniku jest jakaś tajemna melancholja.

Ucieszył się prawie:

— A co? Nie mówiłem? Ho, ho... znam ja się na ludziach... mnie nikt nie oszuka figłami i śmiechem... Bo ja patrzę w oczy... A w oczach jest prawda...

— Rzeczywiście, rzeczywiście — mówiłem z przekonaniem.

Potem dodałem:

— A jaki to człowiek dobry... niesłuchanie dobry... o tem nikt nie ma pojęcia...

Spojrzałem w górę z taką miną, jakbym wiedział sto razy więcej, niż mogłem powiedzieć... Jakbym miał dowody niezliczonych czynów szlachetnych na-

czelnika, czynów wielkich a nieznanym, bo cichym, dyskretnym...

Zresztą notariusz nie potrzebował dowodów.

— Wiem przecież — mówił — wszystko wiem...  
bo patrzę w oczy...

Nie miałem spokoju tego dnia...

Upijałem się prosto myślą o wyjątkowym, wprost jedynym na ziemi zjawisku, jakim była pani Elżbieta... Bo o niej myślałem, ją widziałem, mówiąc ludziom o cnotach i oryginalności — pana naczelnika stacji.

...Wszędzie kwitła znowu pani Elżbieta. Tak wielka była siła w jej osobie; tak bujne, pachnące było życie jej duszy! List od niej, dwie ćwiartki papieru przesłane z końca świata, sprawiały, że ją samą tu czułem, tu, a przez mnie czuło ją całe miasto...

Kocham ją od rana do nocy.

A do pani generałowej, do dyrektora, do wszystkich, których spotykam, mówię:

— Naczelnik — to perła! Właściwie nikt go nie zna, nikt nie docenia.

Wkrótce zaś potem dowiaduję się, że...

— To nieprawda! Całe miasto wie o niezliczonych jego dobrodziejstwach.

Dosłownie, całe miasto.

Pani asesorowa zwierza mi się z tajemniczym uśmiechem:

— Wiem z całkiem pewnego źródła, kto jest ten bezimienny filantrop, któremu zawdzięczamy szpitalik dla dzieci... Niech pan zgadnie!...

Czerwienię się, bo nie trudno mi zgadnąć, kogo asesorowa ma na myśli, a zapewne się myli... i może w tem po części moja jest wina... Naczelnik jest perłą, ale nie ufundował szpitalika. Nie, to za dużo...

Mówmy o czem innym. Mówmy o tem, że jest luty, a przecież tak ciepło...

— Ciepło, jak w maju — zaczynam.

Ale asesorowa nie ma spokoju; powtarza:

— Niech pan zgadnie!

A potem prawie krzyczy:

— Naczelnik!

Więc tłumaczę jej z zakłopotaniem, że naczelnik jest wprost w tarapatach pieniężnych.

Na co jednak asesorowa mówi:

— Właśnie dlatego jest w tarapatach, że wydał tyle na szpital i inne cele dobroczynne! Właśnie dlatego zaciągnął długi!

To brzmi dziwnie przekonywająco... Dziwnie...

Skoro asesorowa wie o długach, może wie i więcej. Może całe miasto wie dużo ciekawych, imponujących rzeczy, których ja nie wiem... Z pewnością.

Jestem wprost olśniony.

— Aha, widzi pan! — stwierdza asesorowa triumfującym tonem.

Widzę, do kroćset, widzę...

Czuję coraz silniej, że ten naczelnik, którego stworzyła pani Elżbieta, nietylko istnieje dla niej i dla mnie, ale jest wogóle... jest, jest dla wszystkich...

Wie o nim nietylko tzw. inteligencja, ale i lud, chłopi, żydzi...

Stara pijaczka, Małgorzata, krzyczała w czwartek na jarmarku w niebogłosy, że te nowe buty, które ma na sobie, dostała od pana naczelnika...

Nie lubię przesady, widzę, że babsko pijane, więc idę do niej i pytam na rozum:

— Kobieto, zastanów się! Naprawdę od pana naczelnika? Nie od twojej ciotki, która ma dom koło młyna?

Bije się w piersi:

— Dalibóg, od samego jaśnie pana naczelnika, własnoręcznie... Żeby mię piorun... jeśli nie sam pan naczelnik, mój dobrodziej złoty, kupił mi te buty królewskie...

Skoro mówi: żeby mię piorun?

Zresztą przychodziły dalej listy od pani Elżbiety, w których naczelnik panował niepodzielnie i błyszczał w coraz to innem, zawsze idealnem i zawsze ciekawem świetle...

Nudziła się biedaczka strasznie, tam na pustkowi, na końcu świata. Odpowiadałem regularnie na wszystkie jej listy i co do naczelnika z całym przekonaniem przyznawałem jej rację...

Tylko raz miałem pewne wątpliwości, kiedy pisała o balu w ratuszu i prosiła mię o przesłanie jej „cudnego walca“... tytułu zapomniała — ale grali go wtedy przez cały wieczór... najlepiej spytać kapelmistrza.

„Ma ten walc coś wspólnego z naczelnikiem, — pisała — nie mogę wytłumaczyć sobie, dlaczego, ale... przypominam sobie, że jest w nim jakaś nadwyżka idealna, boska... czuję, jak fruwa on w powietrzu,

niby ćma rozkochana... i nikt nie zwraca na niego uwagi, pary tylko tańczą, a on jest sam między nimi, sam, jak artysta w tłumie... Bo, mój panie, czy pan nie widzi jasno, oddawna, że naczelnik jest artystą?...“

— Nie, tego — przyznam otwarcie — dotąd nie zauważyłem... Choć ów walc wydawał mi się na balu „artystą w tłumie“... I mnie, także...

Zresztą, może być... Skoro Elżbieta ma to uczucie...

Ale naraz termometr przypomniał sobie, że jest luty.

Zrobiło się biało na świecie i nie było już tak ciepło, jak w maju.

Przeszła gorączka, która dotąd była w powietrzu...

Ludzie nie szli tak pomału na ulicy, jak w ostatnich tygodniach, ale poprostu biegli, biegli, jak sanki, psy, dzieci...

I czas zaczął biec także...

Minęły dwa tygodnie od listu ostatniego Elżbiety. Musi być jakiś związek tajemny między powietrzem a kobietą. Z nagłą zmianą w temperaturze Elżbieta przestała pisać. Co to znaczy? Czy może słaba? A może lada dzień wróci?

Najpierw pocieszałem się, że najpewniej dziś albo jutro wróci. Ale dni biegły, jak sanki, psy, ludzie... a pani Elżbieta nie wracała. Zacząłem się niepokoić.

Byłbym poszedł do profesora, ale... jakoś nie miałem odwagi, bo od wyjazdu Elżbiety nie byłem tam ani razu... Zapomniałem prawie, jak on wygląda — nie byłem pewny, czy żyje...

Elżbieta milczała...

Zacząłem czytać jej dawne listy, od pierwszego do ostatniego. Czytałem je głośno i cicho, jak aktor, jak sędzia, jak brat, jak kochanek... Ale potem bałem się tak o nią, że nie mogłem czytać tego, co pisała dawniej...

Na telegram, który wreszcie wysłałem, odpowiedziała krótko, że jest „zdrowa, ale smutna“ i dodała: „do widzenia w kwietniu“... co znaczyło chyba, że nie napisze już i nie chce odemnie listów.

A od jej ostatniego minął właśnie miesiąc. Tak stęskniłem się niemiłosiernie za tą kobietą, że ucieszyłem się prawie na widok naczelnika, który mię nagle odwiedził...

— Niech pan sobie wyobrazi — zaczął rozmowę — że ona mi nie odpowiedziała. Nie raczyła...

Uśmiechnął się (jak zwykle, tak... „niby“ — głupio).

Kto taki?

— No, ta profesorowa, co ma sparaliżowanego męża... ta, czarna i chuda...

Byłem zdumiony.

— Pan do niej pisał?

— Tak, przed miesiącem... Chodziło mi o to, że od wszystkich pań mam listy, tylko od niej nie mam... Przecież pan sam się dziwił...

Krzyknąłem prawie z pasją:

— Ja dziwiłem się?

— No, tak...! Pokazywałem panu mój zbiór listów, a pan zauważył słusznie, że brakuje tej... pani Elżbiety... Otóż spróbowałem... nie udało się...



Machnął ręką.

— Zresztą nic nie szkodzi, nie warto mówić...

Dopiero dziesiąty kwietnia był pierwszym dniem ciepłym...

Po niebie pędziły różowe konie, smoki, łabędzie. Okna dworca zaczerwieniły się, jak wieczór, łagodnym blaskiem.

A na pociąg druga czterdzieści przyszły te same osoby, co zawsze. Dwie panny starsze, Cesia i Wala Błotnickie, pan notariusz z bródką hiszpańską i w kapeluszu à la Rembrandt, pani generałowa, która miała na sobie dużo czarnych i szklących się przedmiotów i przez długi lorgnon patrzyła na kury, spacerujące po tamtej stronie toru, a wreszcie zajechał fotel na kółkach, z pasażerem, napozór starym, w istocie czterdziestoletnim panem profesorem.

— Czy pan wie — rzekł profesor — że za chwilę przyjedzie moja Elżbieta?

Zbladłem, bo nic nie wiedziałem.

I zdawało mi się, że serce wyskoczy mi z piersi, kiedy nagle jęły dzwonić w powietrzu drobne perelki, a pan notariusz powiedział niejako do wszystkich:

— Już sygnalizują z Bortnik...

I wpadł jednocześnie na peron krokiem wesołym i młodym jasny blondyn z twarzą clowna, pan naczelnik w czerwonej czapce. Wydawał rozkazy, salutując często i chętnie, jak młody oficer. Czulo się drugą czterdzieści.

I słyhać już z daleka maszynę, która sapie strasznie i dziwnie, jak „coś w bajce, czego jeszcze niema“...

Zresztą Cesia Błotnicka mówi całkiem wyraźnie do Wali:

— Nigdy nie można przewidzieć...

Czekają wszyscy; nawet dworzec stanął niby na palcach...

I nagle — stała przede mną pani Elżbieta. Mimo kilku miesięcy zimy, kilku miesięcy szarej tęsknoty — nagle. Przypadkiem był zresztą (oprócz męża) w pobliżu i pan naczelnik, który czerwienił się, bez powodu, jak panienka i bez końca salutował i kłaniał się pani Elżbiecie.

Zwróciłem jej uwagę:

— Naczelnik się kłania...

Ale ona zawołała:

— O, tam balon leci!

Rzeczywiście... Konduktorzy jęli zamykać z trzaskiem drzwiczki wagonów. A nad dworcem leciał balon... Trąbka, świst bolesny — i pociąg zwolna zaczął się ruszać.

...Elżbieta szybko, nieznacznie kiwnęła głową (bo naczelnik kłaniał się po raz piętnasty) i nagle wybuchnęła śmiechem.

— Napisał do mnie taki głupi list! — powiedziała głośno i do wszystkich...

— Kto? — spytałem prawie przerażony.

Jak dziecko, pokazała palcem na naczelnika.

Witali się z nią znajomi i zarażeni jej świeżą, dziecinną wesołością, mimowoli sami się śmiali.

Naczelnik patrzył z tamtego końca peronu i uśmiechał się także.

— Oczy ma jednak smutne — twierdził konsekwentnie, choć trochę cicho, notariusz.

Ale Elżbieta krzyknęła:

— Smutne? mnie się zdaje, że głupie...

Poczem znowu był śmiech ogólny.

Naczelnik stał nieruchomy, na tamtym końcu peronu, patrzył, patrzył i zdawało mi się, że cała jego postać blednie, szarzeje, rozwiewa się w wiosennem powietrzu...

— Jego poprostu nie ma — rzekła pani Elżbieta. I odtąd — już go nie było.

## FINALE

### I.

Znowu jedziemy z kobietą — on i ona pierwszą, a ja drugą klasą — gdzieś na złamanie karku; jak zawsze. I nie jak zawsze. Że ona jest „inną“ jak zeszłego roku, w tem nie byłoby nic dziwnego. Ale tym razem ma dopiero osiemnaście lat — Boże, zlituj się. — Co myśli sobie mój pan? Co z tego będzie?

Ot, panienka z najczcigodniejszej familji. Ale patrzy swymi świderkami człowiekowi prosto w nos i znać odrazu, że nie boi się niczego. Pan zarumienił się dziś rano na dworcu, kiedy na przywitanie podała mu rękę; jakby sam miał osiemnaście lat. A mógłby mieć i sto. Bo kiedy przed trzydziestu laty wstąpiłem do niego do służby, wyglądał już tak samo, jak dzisiaj. Ani staro, ani młodo. Zresztą, kto wie, czy się nie myślę i służę u niego krócej, a on nie ma więcej, niż czterdzieści pięć, bo skąd miałby jeszcze taką moc w sobie, że ledwie kiwnie palcem, to młodziutka koza skoczy za nim w ogień. — Ale może być także — w imię Ojca i Syna... — że on jest poprostu djabłem.

Nigdy z nim właściwie długo i uczciwie nie gadałem, więc mógłby być i djabłem. Zapewne przyzwy-

czailiśmy się dlatego do siebie, że prawie nic z sobą nie gadamy. Niema nawet potrzeby, bo ja i tak wszystko wiem, a on wie, że ja wiem. Ściany, łóżko, kanapy — także wszystko wiedzą, choć nikt z niemi nie rozmawia... albo pies — mój Boże! — mamy psa, przed którym nie mam tajemnic, choć nigdy mu się nie zwierzałem, a teraz aż serce mię boli, że go niema z nami. — Z moim panem znam się, jak z psem...

I wiem wszystko, co się dzieje w jego duszy. Gdyby dziś w nocy myśl jego nagle stanęła, jak zepsuty zegarek, mógłbym od jutra rana sam dalej za niego myśleć. Wiem zawsze wszystkie głębsze powody jego czynów. — Wiem o nim tysiąc razy więcej, niż on sam.

Naprzykład co do tej panny osiemnastoletniej, którą wieziemy gdzieś, na złamanie karku.

## II.

Pociąg pędzi, w tył uciekają i w przepaść słupy telegraficzne... a ja przypominam sobie te czasy, kiedy jeszcze byłem chłopcem w stajni cyrku Sidollego.

Powiedział mi raz siłacz, który na afiszu zwał się Don Pablo Bozanareo, ale mówił tylko po czesku, choć zresztą wcale był wszechstronny, bo nietylko chodził lekko, jak dziewczynka, po linie, lecz i podnosił fortepian razem z pianistą... powiedział mi raz po niedzielnym przedstawieniu popołudniowem:

— Wiesz, mały, że wujcio (zawsze mówił o so-

bie „wujcio“) napewne wkrótce rozbije sobie główkę, albo połamie kosteczki.

— A to dlaczego? — zapytałem bardzo zdziwiony, bo Don Pablo strasznie miał mądre i doświadczone ciało, a ręce i nogi tak zaufania godne, jak pręty żelazne, a kiedy stał na linie, zdawało się, że na niej się urodził i wychował, na niej pił, aż dosłużył się czerwonego nosa, i na niej połysiał.

Wziął mnie pod rękę — a pot jeszcze kapał mu z czoła — i jakby miał pilny interes, szeptał do mnie w kącie:

— Dlatego, że mnie się czasem na linie chce spać. Albo przynajmniej sięść sobie na chwilę i podumać, dłubiąc w nosie. Nie śmiej się, smyku, bo to nie śmieszne... Mnie jest czasem na linie tęskno za matką, i zdaje mi się, że lina, to kolana matczyne, i można położyć na nią głowę i nabeczyć się do woli. Rozumiesz?

Nie rozumiałem, bo miałem dopiero czternaście lat. Przeszły mnie jednak ciarki na myśl, że kiedyś mógłby wujcio pod samym dachem cyrku położyć się na linie i spokojnie, jak w domu u matki, płakać. Spojrzałem mu ze strachem w oczy, które jakoś nagle się postarzały.

Ale nie byłem przytem, jak wujcio rozbił sobie główkę, bo wkrótce pan mój przyjął mnie do służby. Już przedtem nosiłem mu listy i bukiety do panny Amandy, która jeździła co wieczora po wielkiej przerwie na białym koniu, a, jak utrzymywał wujcio, czwarty krzyżyk dawno miała już poza sobą.

Było to przed trzydziestu laty, a dziś pan mój kocha się w osiemnastoletniej.

— Może stara Amanda była pierwszą. Choć trudno mi jest wyobrazić sobie, żeby przed Amanda nie było nic.

— Mój pan z pewnością od stworzenia świata zawsze miał przyjaciółkę, i zawsze inną, i zawsze wyglądał tak, jak dzisiaj, — Amanda zaś trwała tylko chwilę, a po niej było tyle przeróżnych innych kobiet — jasnych i czarnych, smukłych, jak tulipany, i bujnych, jak lipy w kwiecie, pachnących, jak maliny, i tak, jak migdały, i blade były, smutne, i ciągle rozśmieszona, jak dzwonki, i jedwabiami szumiące i tak ubogie, że tylnymi schodami wpuszczałem je do domu, i ciche, łagodne, i głośne, swawolne.

A za te wszystkie stworzenia boskie, sarny, łabędzie, gołębicę i papużki, kotki i pantery, strasznie wdzięczny jestem memu panu. Bo w domu jego tyle nawidziałem się cudów, jak gdybym był w Indjach, w Afryce, w Kalifornji i wszędzie. Jak zasnę, to jeszcze w oczach tańczą mi kolory a w uszach grają mi flety i wiolonczele.

— Mój pan jest niby lekarzem. Ale słusznie raz ktoś powiedział, że to nie jest zawód jego właściwy.

— Nie; właściwy zawód mego pana, to kobiety. Zawód tak ciężki, krwawy, niebezpieczny, jak mego przyjaciela Don Pabla, który chodził po linie i podnosił fortepiany.

...W tył i w przepaść lecą słupy telegraficzne. —

### III.

Jesteśmy na miejscu. I zdaje się, że tu zostaniemy, a w każdym razie, nie wrócimy już nigdy do domu.

Panna nie może wrócić, bo zapewne wyrzekła się jej rodzina, albo ona zerwała z rodziną. Bo to nie jest, jak dotychczas, miła rozrywka, ale... Dość spojrzeć na mego pana, który nic nie widzi, nie pragnie, nie czuje, prócz — niej.

— Gdzie jesteś? — pyta zawsze, ilekroć panna odejdzie choćby na chwilę do drugiego pokoju.

Mamy tylko trzy pokoje. Ot, pudełko, nędza, a nie mieszkanie: Ja mieszkam niby osobno, a jednak słyszę wszystko, każde ich słowo, westchnienie — całe ich to życie słodkie, biedne a kompromitujące — czy chcę, czy nie chcę.

— Nie wiem, czy na pana mego przyszło coś złego czy dobrego, ale to pewne, że pyta się ciągle, jak chory albo stary człowiek:

— Gdzie jesteś?

Ona go tą swoją młodością odurzyła, jak majowe powietrze, — i przybiła go swymi świderkami do miejsca. I biedny chrząszcz nie rusza się. Jesteśmy tu już kilka tygodni, i pan ma tu, jak wszędzie, dużo znajomych — a siedzi kołkiem w domu.

Jakby nie było większej rozrywki w świecie od tej panny. A ona — mówiąc między nami — ma wszystkiego dwie suknie. Jak dziś wdzieje czerwoną, to jutro napewno będzie w czarnej. I to samo ze wszystkim... Kobieta ciągle powinna się zmieniać,



pod każdym względem. — Dotychczas wszystkie nasze kobiety były zmienne i kapryśne — a jednak wkońcu przecież nam się znudziły. — A ona zawsze jest taka sama. Zawsze tak samo patrzy. — Jej czarne oczy umiem już, doprawdy, na pamięć. Ustawicznie są niby strasznie zdumione tem szczęściem, że taki pan, jak mój pan, właśnie w niej a nie w innej się zakochał. I coraz większe są te oczy, jakby miłość była morzem bez granic, którego takie biedactwo wprost nie może objąć wzrokiem.

Nie ulega kwestji, że urządziła się na wieczne czasy. Pan chyba nie widzi i nie czuje, że ona liczy na dozgonne i nierozzerwalne z nim pożycie. Powinien jej dać do zrozumienia, że to niemożliwe.

Jakby go przestrzec? Jakby wpłynąć na niego, żeby się zbudził i nie wpadł w... „morze bez granic“?

#### IV.

Przeszliśmy rok straszny.

Mój pan jest niewolnikiem i może sam to czuje. Przeszliśmy rok poprostu małżeński. Pan wygląda tak, jakby przecież medycyna była właściwym jego zawodem. Wstaje wczesnie, potem jedzie na wizyty, między 4-tą a 5-tą ordynuje, a resztę życia pochłania „panna“, która ma obecnie — pomimo, że upłynął dopiero rok — dwadzieścia pięć lat. Bo strasznie jest dojrzała, pewna siebie, odważna.

W zimie wypytywała go nieraz o... tamte. Ale nie z zazdrości i strachu, choć tamte były od niej piękniej-

sze, tylko jakby dla własnej satysfakcji, jakby dla nacieszenia się tem, że jednak wkońcu wygrała, że pokonała i tę i ową.

— A któż był po rudej, Ernestynie?

Pan bąkał coś, na chybił trafił, jakby wstydził się własnego życia.

— Potem już nikt... Potem już ty, dziecko. Z pewnością.

Ale panna zawołała:

— Nieprawda? A zapomniałeś o małej baronowej?

Pan uderzył się w czoło:

— Rzeczywiście, masz rację... mała baronowa! — Ale teraz może mi zagrasz Szopena —

Natychmiast siadła i zaczęła grać. Kiedy jednak pan zbliżył się do fortepianu, żeby przewrócić kartkę, nagle przerwała i spytała cichutko z chytrym uśmiechem:

— A... po baronowej?

Drgnął, jakby mu ktoś wylał na głowę kubek wody, i zdawało się, że wpadnie w pasję; ale skrzywił się tylko i powiedział prędko:

— Potem już ty! Przysięgam ci, że ty!

Wtedy panna rzekła spokojnie:

— Potem Wera Bianchi.

I rzecz niepojęta; kiedy ja sam, słysząc nazwisko włoszki, z którą przed rokiem spędziliśmy pachnące i słoneczne czasy w Taorminie, o mało nie krzyknąłem z tęsknoty, pan znowu tylko się zmieszał i zaczął usprawiedliwiać się, jak student:

— Ach... Bianchi. — To nic, to mały epizod — głupstwo. Nawet już nie wiem, jak wyglądała.

Nieraz myślałem już, że śledztwo przecież skończy się katastrofą, ale zawsze się myliłem. Przeciwnie; najczęściej końcem była scena miłosna.

Bo Pan pytał:

— Skądże wiesz o tamtych? Skąd wiesz, jakie miały nazwiska, a nawet jakie włosy, oczy, grzechy, cnoty?

A ona wyznawała:

— Miałam zaledwie czternaście lat, a już znałam wszystkie szczegóły z twego życia.

Wtedy on się dziwił:

— Skąd? Jakim cudem?

Panna zaś mówiła, bynajmniej się nie rumieniąc:

— Takim cudem, że cię kochałam.

I głos jego stawał się dziwnie niski, ciemny...

— Już wtedy? kiedy miałaś czternaście lat?

Kiwała głową:

— Czternaście...

Poczem już nie było słów, tylko muzyka zakazana, której zresztą nie byłem już ciekaw.

Takie bywały często rozmowy wieczorne w ziemi. I tylko jeden szczegół zrobił raz na mnie — sam nie wiem dlaczego, — szczególniejsze wrażenie.

Pan się przyznał, że i on sam kochał ją „już wtedy“ — a ona spytała, dlaczego, kochając ją, stronił jednak od domu jej rodziców.

Wtedy pan odpowiedział:

— Bo czułem, że ty będziesz ostatnią.

(„Ładna perspektywa“ pomyślałem, stojąc przy drzwiach i podsłuchując, „więc już nigdy nie będzie odmiany!“).

Ale panna spytała z wielkiem zdumieniem:

— Cóż w tem złego, że jestem ostatnią?

A pan zawołał (z przykrym dla mnie) zapalem:

— O, nic, przeciwnie! Ale wówczas się bałem. Przecież dopiero dziś wiem, co znaczy szczęście!

(„Tak nisko upadł!“ pomyślałem z niesmakiem).

— ...Choć dawno — dodał pan — dawno nie-świadomie za niem tęskniłem.

Panna spytała zalotnie:

— Za mną?

Odrzekł dziwnie jakoś smutnie:

— Za ostatnią...

A ja ze zgrozą przypomniałem sobie tęsknotę wujcia na linie — —

## V.

Tak było w miesiącach brzydkich, zimowych. — ...Ale teraz wszędzie coś kwitnie; w ogrodzie bzy, w mieszkaniu naszym jakieś nieokreślane bunty i pragnienia, a na drugim piętrze nad nami — osoba piękna, o której nikt nie mówi, tylko... tajemne, nerwowe spojrzenia mego pana i moje.

Pan coraz silniej odczuwa swą niewolę. I wiem, że ogarnął go strach przeraźliwy... Przed замуrowaniem na zawsze. — Przed nagłą starością. — Nasza „panna“ nic o tem chyba nie wie, bo uśmiecha się tak pogodnie i zwycięsko, jak zawsze. A jednak pan

z tego strachu przed starością zrobił się biały, jak dziewczę anemiczne. I z tego strachu przed dwoma tygodniami po raz pierwszy powiedział pannie dziwne złe słowa...

Kiedy znowu wypytywała go o „tamte“ — kiedy z nielitościwą swą natarczywością miłosną dowiadywała się, kto był po Marji, a kto po Agnieszce, mój pan niespodzianie poczerwieniał z gniewu i spytał dawnym jakimś i młodym, bardzo swoim i wyniosłym tonem:

— A kto będzie po tobie?

Wtedy pokazała się cała moc tajemnicza panny. Bo nawet nie drgnęła — ale spokojnie przeszła go świderkami i rzekła z uśmiechem:

— Po mnie? Przecież jestem ostatnia —

I z wdziękiem niezrównanym, delikatnie, jak matka młoda, pocałowała go w głowę.

Natychmiast zmalął i zamilkł.

Ale strach jego rośnie, jak trawy w naszym ogrodzie. A że dla nas dwóch, dla pana i dla mnie, wszelkie porozumiewanie się słowem jest zbyteczne, więc wiem, choć mi tego nie mówił, że stał się już... buntownikiem ze strachu. Wiem, że dniem i nocą myśli tylko o tem, żeby pokazać, iż nie da się ostatecznie замуrować. Pokazać — nie z chęci jakiejś zemsty nad panną, którą kocha; — ale sam sobie pokazać, że jeszcze nie jest chrząszczem na szpilce, że jeszcze jest młody i może popełnić tysiąc niegodziwości.

I dziwna jest znowu w nim czujność, jak za daw-

nych, najgorętszych czasów; czujność męska, myśliwska, czujność nałogowego czciociela kobiet.

Obaj dowiedzieliśmy się jednocześnie o „tej z drugiego piętra“. W tej samej chwili poczuliśmy niejako zapach jej istnienia. W tej samej chwili usłyszeliśmy znak jakiś, szelest dla nas tylko mistycznie ważny... usłyszeliśmy cichutkie „jestem... czekam...“ przez gruby mur, dywany, sufit i... krótko spojrzeliśmy sobie w oczy: pan i ja. Tak, jak konie mądre i czule, które niegdyś w jednym były pułku. I już znaleźmy jej typ. Zanim jeszcze przeszła raz po schodach, koło drzwi otwartych naszego mieszkania — dwudziestego maja o trzeciej popołudniu — tak blisko, że prawie musnęły nas jej suknie —

Poczem pan powiedział głosem nerwowym:

— Nie hałasuj-że, Józefie, bo pani śpi na kanapie.

A ja ukloniłem się i odrzekłem:

— Bardzo ładne mają róże — —

— Gdzie?

— Naprzeciw, u ogrodnika.

Pan chrząknął i mruknął:

— Mówiłem ci już, żebyś nie chodził w tym poplamionym surducie. Kup sobie, nareszcie, do stu djabłów, nowy.

Ukloniłem się znowu i powiedziałem:

— Są także pięknie irysy...

Pan zaczerwienił się z gniewu: rzekł krótko:

— Nie.

— Więc... róże.

Pan zaczerwienił się z gniewu:

— Ileż razy mam jeszcze gadać!

Panna zbudziła się na kanapie. Słyszałem, jak pan szybko do niej poszedł i ni stąd ni zowąd skarżył się jej, że mnie trzeba wszystko powtarzać sto razy.

Ale ja dawno już nie byłem tak szczęśliwy. Kupiłem cudne róże u ogrodnika; bilet pana... przypadkiem znalazł się sam u mnie, kiedy było trzeba. Wieczorem zaniósłem kwiaty na drugie piętro do... „trzciny cukrowej“ (tak tę nową kobietę przezwalem, bo smuklutka była i w oczach strasznie słodka). A kiedy w kilka minut potem byłem już znowu w swoim pokoiku, weszła nagle nasza panna i dała mi pół butelki wina i owoce.

— Żeby ci nie było smutno, Józefie, — powiedziała.

Poczem właśnie bardzo było mi smutno.

W nocy naraz (z wyrzutów sumienia) boleśnie pokochałem naszą pannę.

...Ale kiedy w trzy dni potem znalazł się u mnie — przypadkiem — list pana do „trzciny cukrowej“, zaniósłem go naturalnie zaraz na drugie piętro.

Bo los kazał. —

## VI.

Los kazał, i — naraz jestem sam. Straciłem wszystko.

Pakuje się.

Z biednego naszego „pudełka“ niema śladu. Są jeszcze w mieszkaniu dwa łóżka, biurko pana, szafy panny i graciki, ale — wszystko straciło duszę.

Przy stole, gdzie zawsze jadali pan i panna, siedzi urzędnik w mundurze i spisuje ze mną protokół.

Jestem bez czucia, i choć osobistość mówi do mnie: „mój Józefie“, nie irytuję się wcale.

— Co mówisz, mój Józefie? Więc to była dopiero pierwsza schadzka twego pana z ową... damą... jakże jej — ?

— Trzcina cukrowa.

— Cóż to za głupstwa! Zwarjowałeś z rozpaczy? Dama nazywa się Felicja Bąk? nieprawdaż?

— Prawdopodobnie.

— A kiedy twój pan wszedł do hotelu „Pod koroną“ na ową właśnie pierwszą... ach, niedoszlą --- schadzkę, dawna przyjaciółka jego, panna M., czatująca w sieniach, zabiła go wystrzałem z rewolweru. To widziałeś, mój Józefie, nieprawdaż, bo schowany byłeś za paką z węglami?

— Prawdopodobnie.

— ...A dlaczego się tam schowałeś? Bo, jak sam mówisz, przeczuwałeś, że będzie nieszczęście, i zdawało ci się, że zdołasz ocalić życie pana twego.

— Zdawało mi się.

— ...Ale, niestety, ruch panny M. był tak błyskawiczny, że troskliwość twoja nie przydała się na nic. I tak samo błyskawicznie dawna przyjaciółka twego pana wystrzałem z tego samego rewolweru sobie odebrała życie. Czyż tak?

— Tak, ale...

— Co ale, mój Józefie?

— Ale panna M. nie była dawną przyjaciółką



mego pana. Kochali się do ostatka. Bardzo przepraszam! Proszę nie zmniejszać jej znaczenia w życiu mego najdroższego pana i dobrodzieja. Ona było ostatnią.

Przypomniałem sobie w tej chwili czarną, biedną sukienkę, która zaszeleściła w moim pokoiku, usłyszałem głos paniński:

„Żeby ci nie było smutno, Józefie“.

...I zapłakałem.

## OSTATNIA

...Czuł, że zbliża się Koniec.

Nie troszczył się o to, czy sam zdobędzie się na decyzję: tak głęboko przeświadczony był o tem, że dzisiaj „coś” rozstrzygnie za niego. Był wyczerpany pod względem pragnień i nadziei, tak, jak stary człowiek wyczerpany jest fizycznie, i wiedział, że dlatego koniec będzie lekki. Ale nerwy miał przecież. Stąd niepokój. Stąd niesmak z powodu dżdżystego wieczoru, wstyd przed samym sobą, że idzie na śmierć w kaloszach i z parasolem... A także wstręt na myśl o niedzielnie ubranych szewcach, którzy po owym strzale natychmiast się nim zajmą i skwapliwie zaalarmują policję.

Bo niedziela była. Niedziela bez najmniejszego powabu, od rana ołowiana. Na ulicach świeciły już latarnie... i mimo mnóstwa ludzkich postaci było tak jakoś cicho dokoła, że własna myśl wydawała mu się jedynym głosem... i nawet pies nie szczeknął, koń nie zarżał.

Mgła żółta. A poza mgłą, jakby ogólne czekanie na ów strzał... Czekanie ciał martwych i żywych.

Wsiadł do tramwaju, nie chcąc namyślać się nad celem wędrówki. Apatycznym głosem, cierpliwie

i długo sprzeczał się z konduktorem o kilka centów... i nagle z obrzydzeniem rzucił mu całą resztę. Ćmił jakiś czas bez przyjemności papierosa, a po kilku stacjach, gdzieś w małej uliczce, wyskoczył z wozu i pewnym krokiem podążył do okna małego sklepiku, jakby tam miał interes, dla którego wyjechał na przedmieście.

...W oknie sklepiku były trzy klatki. Dwie były puste, ale w trzeciej znajdowały się białe myszy. Jedna huśtała się na kółku, druga jadła kolację. Po prawej stronie wyciągała się trzecia, jakby ziewając. a w tyle spały obok siebie czwarta i piąta. Zapukał palcem w szybę... i w tej chwili spojrzęło na niego dziesięć ócz sympatycznych...

...Miał wrażenie, bardzo przyjemne. Coś w rodzaju ciepłego wspomnienia bez uświadomionej treści. Uśmiechnął się do nich, jak do dzieci... A że towarzystwo spoglądało na niego ciągle i nie zmniejszonym oczekiwaniem, więc zapukał jeszcze raz do okna... Potem zarumienił się lekko, bo czuł, że białe myszy spodziewają się, po nim nadzwyczajnych rzeczy... a jemu nie wpadło nic zabawnego na myśl prócz pukania.

...Odwrócił się; ulica była pusta. Pomyślał, że może nikt mu nie będzie przeszkadzał... Mógł stać przed oknem na razie, choćby do zamknięcia wystawy.

— Teraz mnie nie widzą, — zauważył z zadowoleniem...

...Na kółku huśtały się dwie myszy... w kącie romansowała para... ale jedna mysz, najmniejsza...

— Ta jedna przecież się patrzy, — spostrzegł zambarasowany, ale nie bez pewnej dumy.

...Namyślał się przez chwilę, czy pokazać jej zegarek, czy zapukać po raz trzeci... A gdyby tak przed nimi się zastrzelić?... możeby się zabawiły cokolwiek... Wsadził szybko rękę do kieszeni... ale w tej chwili w klatce zrobiła się panika... Przestały się huśtać, kochać... i spoglądały na niego z przerażeniem... wszystkie.

... Ha! ha! — zaśmiał się krótko i sucho — co za czułe, nerwowe stworzenia... Co za węż psychiczny.

Jakiś czas bawił się ich bolesnym lękiem, wymachując błyszczącym rewolwerem przed ich oczyma... Zdawało mu się, że słyszy ich pisk przez grubą szybę...

Patrzył na nie uważnie... i zaczął nagle mrużyć:

— ...*Des femmes...* nie ulega kwestji. Czuję najwyraźniej że nie ma między nimi ani jednego samca... Pięć kobiet.

...Oczy mu pociemniały.

— Możnaby sobie wyobrazić, że ta największa, która skryła się w kącie... Naturalnie — Luiza! Nie patrz się tak słodko... Poświęciłem ci dwa lata.. dziewiętnasty i dwudziesty rok życia... Pierwsza przyszłaś i byłaś długo... bo przyszłaś pierwsza. Dziękuję ci za pierwszy ból serca i za początki suchot psychicznych... A wam, innym, dziękuję za resztę cierpień... i za resztę życia, którą raczyłyście przyjąć odemnie. Byłyście drogie, ale nie uważam się za oszukanego... Teraz nie mam nic — i wyobraźcie sobie! — teraz, kiedy nic nie mam, chce mnie wziąć... ta, najmniejsza

z was, najmłodsza, która najserdeczniej na mnie się patrzy... Krótko mówiąc: zaręczyłem się lekkomyślnie z pewną panienką. *Voilà*. Wczoraj powiedzieli mi „tak“, nie wiedząc o niewyplącalności mej duszy. Nie mam już ani złudzeń, ani talentu, ani pragnień... nie mam nic, co mogłaby zjeść ta panienka, która chce zostać „moją“... Co pozostaje w takim przypadku honorowemu mężczyźnie? Tylko ten przedmiocik błyszczący, który... Nie bójcie się! Będę szanował wasze nerwy, pójdę dalej, jeszcze dalej za miasto... i dopiero gdzieś na polu, w lesie...

Drogie moje, z wdzięczności dla was nie zastrzeżę się tu, przed oknem... lecz gdzieindziej. *Addio!*... Naprawdę wam dziękuję. Bo jeżeli kiedykolwiek budziłem się ze snu z przyjemnością, to tylko na myśl, że wy, białe moje, jesteście na świecie, wy, kobiety...

I chciał już odejść od okna... i jeszcze się zatrzymał, żeby skłonić się głęboko przed najmłodszą myszką, która ciągle na niego patrzyła:

„A tobie dziękuję najwięcej... Innym rozdałem wszystkie swoje iluzje... a tobie, ostatniej, sam iluzję zawdzięczam... Dziękuję ci za nią. Już nikt mi jej nie zabierze... ani ty, ani nikt inny, bo za chwilę przyjdzie Koniec...“

Nareszcie odwrócił się od okna wystawy. Zaczął iść krokiem powolnym, krokiem starego człowieka, dalej za miasto... i myślał o ostatniej.

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyjąć jej fotografii i nie powiedzieć do niej tonem konwersacyjnym:

— Przepraszam panią najmocniej za to, co zaszło... jeżeli oświadczyłem się pani w czwartek na balu, to jedynie dlatego, że upiłem się jej pięknnością i zapachem jej osiemnastu lat... Mianowicie: jestem i byłem zawsze cokolwiek za wrażliwy na t. zw. „wdzięki kobiece“... he, he... Bardzo przepraszam. Mogę nawet powiedzieć, że to zbytnia wrażliwość jest właśnie powodem, pośrednim powodem... kroku, o którym droga pani dowie się jutro z „Gazety Wieczornej“... Proszę polecić mię łaskawej pamięci mamy dobrodziejki i przyjąć jeszcze raz... hm...

...Nagle ziewnął.

Schował fotografię do kieszeni i zaczął iść prędeej.

— ...Magistrat mógłby troszczyć się więcej o czyszczenie ulic... No, no... tylko nie tracić humoru. Gdyby nie kalosze... Powinien byłem wziąć z sobą trochę monety, żeby mieć na dorożkę... Zresztą... bądź co bądź...

Ziewnął znowu.

— Bądź co bądź... ta maleńka, ta ostatnia ratuje sytuację... Upiększa mój Koniec. Nie śniło mi się przed tygodniem, że będę miał narzeczoną... Ha, he.. Że moja ostatnia będzie białym kwiateczkiem, dziewczką...

Nagle przestał ziewać. Zaczął się zastanawiać, do jakiej klasy społecznej należy kobieta, idąca czterdzieści kroków przed nim...

— Chód ma piękny... — mrucał — gracia członków szlchetnych... Pióro na kapeluszu za tryumfalne, jak na aurę... ale suknia wcale... W każdym razie

nie zamieszkuje smutnej dzielnicy, przez którą idę...  
I stopy foremne.

Nieświadomie zaczął iść prędej...

— Przekonam się tylko, czy ma skórę przejrzystą, jak przypuszczam... Zresztą... ha, ha... w tej chwili kobiety... Ale przekonać się można, jaką ma cerę, bo sądząc według karku i włosów...

Zerwał się wiatr... Deszcz stał się, dokuczliwszy, kłujący...

Otworzył parasol.

— Dokąd? dokąd? — gniewał się na idącą przed nim kobietę.

...Bo musiał biec prawie, żeby nie stracić jej z oczu. I znikły domy, otworzyła się wietrzna, bezbarwna łąka... rozległy, beznadziejny plac musztry... a z daleka czerniły się drzewa.

...Patrzył z pod parasola na kobietę.

Co za rytm w tych nogach, — myślał prawie z rozrzewnieniem, — co za fale piękności w tym chodzie kobiecym!... Cała słodycz bytu jest w ruchu tych bioder, kolan...

Szedł... i patrzył. Świat ściemniał się, niebo zgasło...

...A on szedł, szedł... i patrzył w jedyne życie na martwej płaszczyźnie...

Szedł z wzrokiem, boleśnie pogrążonym w ukochanej muzyce kobiecego ciała.

Kobieta stanęła.

— Zabłądziła — pomyślał z nieświadomioną uciechą — wróci... albo spyta mnie o drogę... W każdym razie zobaczę jej twarz, jej usta, oczy...

I zbliżył się z biciem serca.  
...Zobaczył jej oczy... twarz...  
Zdrętwiał z bólu...

Starość, nieudolnie pomalowana na czerwono, zaśmiała się do niego bezzębnymi ustami.

— Tam w lasku... — szepnęła zalotnie.  
...Poczuł zapach wódki.

I chciwie przycisnął do swych warg gorących lufę rewolweru...

Leżąc na ziemi, słyszał jeszcze pisk cieniutki...  
— Białe myszy — szeptał w agonji.

Krew z ust mu płynęła... Ale uśmiechał się jeszcze...  
Zdawało mu się, że stoi przed wystawą małego skle-  
piku i puka do okna...

Uśmiechnął się, jak do dzieci...



# Ż O N A K U P C A

## BAJKA

Była raz dziewczyna, która wszystkich konkurentów, jacy się do niej zbliżyli, tem odstraszała, że zdawała się nikogo nie widzieć. Było to prawdziwe nieszczęście, gdyż była ona, jak najpiękniejszy kwiat, który już zdala wszystkich do siebie wołał i wabił. Miała słodki głos, wprost z serca idący, tak, że jej przebaczał każdy, kogo jej oczy nie widziały. A oczy jej błyszczały ciemno, wpatrzone w jakieś nieznanne miejsce na ziemi, albo na niebie i niejednen młodzieniec starał się daremnie owo cudowne miejsce wynaleść.

W tem samym mieście jednak żył pewien człowiek o zimnych zmysłach i zimnym rozumie, który, dzięki swoim zaletom, do wielkiego znaczenia i wielkiego majątku w młodych doszedł latach. Człowiek, o którym mówiono, że nigdy nie miewał snów i który tak samo dobrze potrafił spać w nocy, jak czuwać w dzień słoneczny. Kiedy mu ową dziewczynę o osobliwym wzroku pokazano, śmiał się tylko i utrzymywał, że takie zagadkowe kwiaty zawsze na tego spoglądają, kto je patrzeć nauczy. Środkiem na to jest miłość a on sam jest tym, który ją miłości nauczy.

Człowiek ów był kupcem i poszedł do rodziców

panny i kupił ją. Oprócz niej posiadał jeszcze karnarka w klatce i hjacenty na oknie. Zaprowadził ją do domu, gdzie było zupełnie cicho i gdzie słońce przez grube portjery tylko lękliwie się uśmiechało i ogrzewać nawet nie śmiało. Wycisnął pocałunek na czerwonych ustach dziewczyny i rzekł cicho:

— Daj mi obejrzeć swoje oczy, chcę zobaczyć czy już jesteś moją żoną?

Tymczasem było już na pół ciemno i daremnie starał się napotkać jej wzrok.

Miała najpiękniejsze suknie i było jej bardzo dobrze, było jej tysiąc razy lepiej, niżeli jej przyjacielkom i siostram. Inni kupcy jednak zapytywali jej męża:

— Powiedz nam, czy nauczyłeś ją widzieć?

Na to nigdy nie odpowiadał i rozmawiał z nimi, jak dawniej o towarach i okrętach. Ale kiedy nastawa wiosna, a słońce, nie posiadając się z radości, złotemi, długimi szpilkami przebijało grube portjery kupieckiego domu, wtedy wziął bogaty człowiek bez snów żonę swoją za rękę i zaprowadził ją nad morze. Jego serce biło gwałtownie, jakgdyby czekał na śmierć albo na życie. Chciał jej pokazać wszystkie swoje bogactwa.

— To są moje okręty, — powiedział i czekał.

— Twoje okręty — powtórzyła pomału i otworzyła szeroko oczy.

Teraz widzi — pomyślał — i poszedł za jej wzrokiem.

Ale jej wzroku nie można było uchwycić, leciał

jak mewa, trzepocząc szaremi skrzydełkami, wysoko ponad najwyższe maszty okrętów, dotknął delikatnie brzegu białego żagla, przebił blado różową chmurkę ponad wielką wodą i zgasł nagle, blady, jak słońce przed deszczem.

— Czy widzisz moje okręty? — pytał uparcie i z trwogą.

Jego twarz pობladła i zrobiło mu się naraz zimno, przyszło mu na myśl... że była ona — niewidoma. Przypatrywał się jej uważnie, jakgdyby nie był jej miał przez całą zimę przy sobie i jakgdyby jego najpiękniejsza komnata nie pachniała jej miękkimi, czarnymi włosami. Była mała, jak dziecko i tak biała w jasnych promieniach słońca, jak piana morską, która skały u ich stóp całowała... Jej oczy jednak patrzyły — ale widzieć nie mogły.

— Chodź — powiedział, i zaprowadził ją napowrót do domu, poczem wybiegł pełen troski i lodowatej rozpacz.

W porcie i w mieście spotykał innych kupców. I wszyscy, którzy go widzieli, kręcili głowami, stawali i opowiadali sobie, jak mizernie i nieszczęśliwie wygląda. Nikt do niego nie zagadał i nie zapytał go, czy żonę swoją już widzieć nauczył.

A kiedy się ściemniło poszedł do starego miasta, gdzie w małych domkach mieszkali rybacy i biedni ludzie, i spytał o starą kobietę, która o wszystkich wiedziała prawdę, leczyła chorych i przepowiadała przyszłość.

Powiedział do niej:

— Dam ci pieniędzy, ile zechcesz... jeżeli żonę moją widzieć nauczysz.

Spojrzała na niego, zaśmiała się i rzekła przenikliwym głosem:

— Daj najpierw pieniądze.

A kiedy już pieniądze wzięła i schowała, zaśmiała się znowu.

— Dam ci dobrą radę. Nie ucz twojej pięknej żony patrzeć.

Wtedy kupiec rozłościł się bardzo, groził jej, że ją obije i zażądał pieniędzy napowrót. Ale ona się wcale nie złękła, tylko śmiała się znowu i podała mu małe lustro. A kiedy się w niem zobaczył, przerażił go własna brzydota. Bo oddawna o niej zapomniał. A stara wtedy rzekła:

— Przypominasz sobie te czasy, kiedy byłeś dzieckiem? Inne dzieci uciekały przed tobą albo obrzucały cię kamieniami. A nawet własna matka nie kochała się ani trochę. Tak odpychająco brzydkim byłeś.

To sobie przypominał.

— A czujesz jeszcze szczęśliwą zimę, którą niedawno przeżyłeś? Podczas tej zimy noce przechodziły, jak błyszczące gwiazdy na niebie.

Tak, to czuł jeszcze.

— I podczas tych cudownych nocy nie pragnąłeś niczego oglądać. Ani twoich okrętów, ani niebieskiego morza, ani złotego słońca...

I to sobie przypominał.

— Wtedy przeżywałeś to, o czem dotychczas tylko śniłeś...

Tego sobie nie przypominał, bo nigdy dotychczas nie śnił. Nie wiedział, co to jest sen, i może się nigdy nie dowie.

— Więc idź do niej, której oczy sny oglądają i pij to szczęście, którego dotychczas nie znałeś. I nie zapominaj za was obydwój — widzieć. Bo słodki, ale niebezpieczny bywa sen.

Poszedł. A kiedy się zbliżał do drzwi swego domu, biło jego serce tak silnie, jak rano, kiedy swoją młodą żonę nad morze prowadził.

Siedziała w swojej komnacie i haftowała.

— Haftowała na tak wielkim kawałku materji, że pokrywała, jak śnieg całą posadzkę. A na tej materji były cudowne, świecące, kolorowe przedmioty, których dotychczas nigdzie nie widział.

Więc zapytał:

— Czy to są sny?

A ona odpowiedziała cicho:

— To jest to, co ja widzę.

Wtedy uczuł gorące pragnienie widzieć te same rzeczy, które ona widziała, szukał i pytał. Były tam także i okręty. Bo o okręty pytał najpierw. Były piękniejsze, dumniejsze i wspanialsze, niż te, które znał, ale były to jego okręty. Niebo było i mewy. Bo pytał także o niebo, o słońce i o mewy. Ale kiedy przypomniał sobie słowa starej kobiety, wtedy chwyciła go straszna trwoga i o najważniejsze zapytać nie śmiał.

Bo najważniejszym było to, czy o nim samym kiedy śniła, tak jak o okrętach, o mewach i o niebie.

Ona jednak zaczęła napół śmiać się a napół płakać, zakryła zahaftowane cuda swoim ciałem i rzekła:

— Ty jesteś taki piękny. Ty jesteś piękniejszy, niż wszystko. Ty jesteś z wszystkich moich snów najpiękniejszy...

A na drugi dzień znikło z jego oczów nieszczęście, jakgdyby zaświeciło w nich słońce. Ludzie, którzy go spotykali kręcili głową, a jeden z nich przystanął i zapytał:

— Czy twoje okręty powróciły szczęśliwie?

A drugi:

— Czy nauczyłeś swoją żonę widzieć?

Ale on patrzył ponad nimi w dal, uśmiechnął się, jak we śnie, i rzekł:

— Miałem dziś w nocy pierwszy sen.

Potem spotykali go coraz rzadziej i rzadziej. Siedział ze swoją żoną i uczył się od niej w najjaśniejszy dzień śnić i marzyć. A kiedy pewnej nocy zobaczyła zaczarowany zamek nad morzem, wtedy sprzedał swoje najpiękniejsze okręty i zbudował nad morzem zamek. A kiedy mu raz w jesieni zatonęły dwa okręty, słuchał tej wiadomości, jakgdyby strata dotyczyła kogo innego.

I zapominał o swojej pracy i o swoich towarach. Zapominał realnych rzeczy i żyjących ludzi. Niekiedy stał godzinami w porcie i patrzył. Jego wzroku nie można było uchwycić. Leciał, jak mewa, trzepocząc szaremi skrzydełkami, wysoko ponad najwyższe maszty okrętów, dotknął delikatnie brzegu białego

żagła, przebił blado różową chmurkę i zgubił się daleko w chmurach ponad wielką wodą...

Raz krzyczano mu do uszu, że wszystko stracił, bogactwo, okręty i towary.

Uśmiechnął się na to tylko, jakgdyby był bogatszy, niż przedtem. Do innych należały teraz jego pieniądze i inni jechali teraz jego okrętami. A kiedy szedł ulicą patrzyli za nim, śmiali się i wołali:

— Jaki brzydki człowiek, jaki brzydki...

Ale on o tem wszystkim nic nie wiedział i był szczęśliwy. Bo go jego piękna żona szczęścia nauczyła. Trzymać oczy otwarte i ślepym być i cuda nad cudami oglądać.

Pewnego ponurego, smutnego wieczoru wszedł znowu do komnaty swojej żony i zastał ją, jak ptak drżącą i płaczącą.

— Jestem głodna, — jęczała.

Ale on roześmiał się z tego dobrego konceptu, że jest głodna, ucałował jej usta i jej białe powieki, usiadł u jej stóp i czekał na owe piękne rzeczy, które mu zacznie opowiadać. Ale zamiast opowiadać płakała coraz gwałtowniej i żaliła się, żaliła:

— Jestem głodna, ach taka głodna...

Wtedy sam posmutniał, zaczął gładzić jej włosy i przypomniał jej nieśmiało o księżniczce Lili, która się pyłkiem słonecznym i rosą poranną żywiła.

Wtedy roześmiała się nie dobrze, tak że całkiem zimno zrobiło się w izdebce, gniewnie tupnęła nogą i spytała:

— Czy chcesz, żebym z głodu umarła? Czy

chcesz, żebym nędznie zamarzła i zgasła? Moje suknie są podarte, moje suknie mają dziury.

I pokazała mu swą sukienkę i była podarta, pokazała mu trzewiki i miały dziury.

— Dokąd mnie zaprowadziłeś? — wzdychała i rozglądała się zrozpaczona, jakgdyby mogła rzeczywiście widzieć. — Przedtem było mi tak ciepło i dobrze... Dokąd mnie zaprowadziłeś?

W ten sposób pytała. Właśnie, jak panna z porządnego domu, która się raz miłością upiła i dała się zaciągnąć w mgłę. Ale kiedy się zbudziła, tarła sobie, przerażona, oczy, skrzywiła płaczkliwie usta i pytała:

— Dokąd mnie zaprowadziłeś, niedobry, mnie biedną? A on spostrzegł zdziwiony, że jej oczy naraż — patrzyły. Wielkie, badające, trzeźwe oczy, pełne trwogi i żalu czuł zwrócone na siebie z zimnym wyrzutem. A jej wargi szeptały:

— Jaki ty jesteś brzydki, jaki brzydki...

Wtedy było mu tak, jakby się sam zbudził. I uczył sam głód i uczył sam zimno. Tak, nawet nie zatrzymywał swojej pięknej żony, kiedy od niego odeszła...

A jednak odeszła od niego — — na zawsze.

---



Wspaniałe, kwitnące róże o tysiącnych barwach i tajemniczym rysunku — znał je wszystkie, nachylał się nad niemi co ranka, jakgdyby całował ich oddech i ćwiczył się w rozeznawaniu ich piękności. Albo jakgdyby je znał, jak ojciec dusze swoich dzieci. A miały dla niego wszystkie swoje osobliwe twarze i oczy, tak samo, jak on ich nazwy tak pewnie wymawiał, jakgdyby były dla niego czemś więcej, niż dźwiękiem.

A jego młoda żona, Agata, towarzyszyła mu zawsze w tych rannych przechadzkach, czytała w jego pomarszczonej twarzy, myślała i czekała.

W ostatnich dniach był taki cichy i spokojny. Dawniej był dla niej ten spokój, jak błady zachód słońca w ciszy wieczornej. I we wszystkim, co mówił, była pociecha. Stał się wtedy dla niej ucieczką przed jej ukrytymi obawami i nieokreślonymi życzeniami. Przy nim czuła się bezpieczną, jak dzieckiem będąc, kiedy się nocą w łóżku do ściany przytuliła i szczęśliwie o najrozmaitszych nieprawdopodobieństwach śniła. Czy dlatego było jej teraz inaczej, że czuła się winną?

Dotychczas śniła tylko miękko i dobrze. A kiedyś poszła tak śniąc do lasu, a jego bratanek z nią. Szli, śmiali się i rozmawiali o snach. A jodły pachniały

i cyklameny napełniały powietrze swoim słodkim oddechem a wielkie bronzowo-niebieskie motyle latały w koło nad bukietem olbrzymich paproci. I było tak cicho i nikogo, nikogo, jak okiem sięgnąć. Czują pragnienie i powiedziała mu i szukali źródła. Położyli się na miękkim mchu i pochylali się coraz niżej i niżej, a strumyk płynął zupełnie w dole i chwyciło się zawsze tylko po kilka kropli ustami i miało się coraz większą żądzę pić i pić coraz bardziej. Śmiali się i byli podnieceni, podawali sobie gorące ręce, żeby się móc jeszcze więcej nachylić, a pragnienie drażniło ich, przyciskało ich coraz bliżej do siebie i zabarwiało ich policzki. Było to bardzo męczące, a zarazem słodsze, niż gdyby się pragnienie zaraz ugasiło. Wtedy całkowicie się zapomniała i stała się napowrót dzieckiem. Zdawało jej się, że pije cały las i całą wiosnę, i niebieskie, jasne niebo. A pocałunkom ich towarzyszył szum drzew, zapach cyklamen i... nikogo, nikogo, jak okiem sięgnąć...

Naraz zbudzili się. On był tym, który ją zbudził boleśnie. Ona o niczem nie wiedziała. Byłaby tego nie odczuła inaczej, jak wspaniałość lasu i ciszę nad strumykiem. Ale on zaczął ją pocieszać — i wówczas przeleżała się. Czyż potrzebowała pociechy? A potem powiedział jej, że niema w tem jej winy, tylko jej okrutnych rodziców, którzy ją sprzedali starcowi, zrabowali jej młodość i żywą ją do grobu złożyli... On, wypowiedział naraz to słowo: Wina.

Teraz dopiero uczyła, co się stało. Grzech. Młody chłopak był jej nauczycielem, niezgrabny młody chło-

pak. Co to było? Nie mogła sobie nawet szczegółów przypomnieć. A teraz — stało się — a pozostało: złe, rozpacz, grzech.

Wróciła ze swoim złem sumieniem do domu i ukryła się aż do wieczora. A kiedy potem musiała się spotkać z mężem — nie podała mu ręki do pocałunku i uśmiechała się tylko płaczkliwie i dziecinnie i unikała jego wzroku... Ale on mówił do niej, jak zwykle, a głos jego, zapalona, zielona lampa na stole, ciemny portret na ścianie — wszystko to uspokoiło ją naraz tak, że odetchnęła swobodniej. Tu było wszystko, tak jak dawniej, a ten niedobry chłopak przestraszył ją tylko niepotrzebnie. Tu było okno, jak dawniej zamknięte, a w pokoju zapach dawnego życia i starych rzeczy — tu było wszystko, jak dawniej. A że się nic nie zmieniło czytała w twarzy swego męża. On był dla niej dobry, jak zawsze, ona była jego Agatą — nie gniewał się na nią i ona nic złego nie zrobiła. Bo zresztą miałby inny głos i nie uśmiechałby się i nie pokazywał jej starych fotografii i nie opowiadał o dawnych czasach. A ona uczuła się zmęczona, ach, tak bardzo zmęczona, jak po długim szlochaniu. Oparła się na poduszkach swego fotela a jej oczy patrzyły na starca, jasne i błyszczące.

Ale w nocy zbudziła się naraz, bo pies zaszczekał w podwórzu i księżyc jej w oczy zaświecił. Uczuła dotkliwy ból, zdawało jej się, że ma nie jedno, ale tysiąc ciał, że porusza się w niej coś gwałtownie, co dotychczas było z jej sercem zrosnięte. Wtedy zapragnęła, wśród gorących łez powrotu jednej, jedynej

chwilki, którą przeżyła, jak w gorączce. Owej chwili, w której pragnienie gasiła... Przycisnęła swoje wyschłe usta do wilgotnej od łez poduszki i ginąc z pragnienia — płakała... A w pokoju pachniały, duszno i słodko, rozkwitłe cyklameny.

Potem przyszedł ranek cichy i słoneczny i była ze swym mężem na codziennej przechadzce w ogrodzie. Szli od jednej róży do drugiej, a mąż jej pomału naprzód, tak że jego pochylone plecy ciągle przed sobą widziała i dokładnie zauważyć mogła, z jaką miłością każdą różę badał, jakgdyby krzepił się ich pięknnością i znał je, jak ojciec dusze swoich dzieci. I wyliczał ich nazwy tak pewnie, jakgdyby były dla niego czemś więcej, niż dźwiękiem. Drżała za każdym razem, kiedy się do niej zwracał. Ale on uśmiechał się tylko do niej z pociechą, i spokojem. Wtedy napadł ją straszny lęk, jakby musiał tembardziej później się na nią gniewać. Zdawało jej się, jakgdyby miała coś ukrytego pod fartuszkim i że trzeba było tylko rąbka uchylić... Przechadzka między temi krzakami róż wydała jej się wieki trwającą i niewypowiedzianie okrutną. A byłoby się prawie stało, że byłaby uciekła, i starego człowieka — pośród jego kwiatów samego zostawiła. Wystawiała sobie, jak byłby zdziwiony i nieporadny i jakby ją do siebie przywoływał.

Teraz zaczęły się dla niej długie, uciążliwe godziny, w których tylko jedną, jedyną myśl miała. Siedziała przy starcu zalękniona i dawała mu każde słowo tylko z wahaniem, jakgdyby drgał na niem od-

blask jej tajemnej myśli. Tak mogła go słuchać i mogła mu odpowiadać, nie zapominając ani na chwilę swej myśli, która w niej rosła i rosła, jak kolczasta roślina.

Musiła się wypowiedzieć. Musiała się rzucić na kolana i wszystko powiedzieć; komukolwiek. Gdyby jej matka tu była, gdyby siostrę tu miała, albo gdyby przyjaciółce zaufać mogła!... Wtedy by jej każdy powiedział, że ją ten chłopiec tylko przestraszył, że się bez powodu trapiła. I że można zapachem kwiatów oddychać i z świeżego źródła leśnego pić i śmiać się ze szczęścia i, śmiejąc się, pragnienie gasić... Bo bronzowo-niebieskie motyle tak wesoło trzepoczą się w powietrzu, a każda róża w słońcu zakwita. A jej dobry mąż z białą brodą, kocha mimo to róże i dogląda ich codziennie i pielęgnuje, jak własne dzieci.

I zaraz musi się wypowiedzieć, bo dłużej już nie wytrzyma. Jej mąż był taki cichy w tych ostatnich dniach i przypatrywał jej się zawsze tak długo. Nie ze smutną obawą, nie z niedowierzającym pytaniem. Jego wzrok był zawsze ten sam a także jego głosu dźwięk nie zmieniał się nigdy. Zdawało jej się, że stawał się coraz starszym i starszym.

Raz w tygodniu przychodziła kwiaciarka z miasta. Była bujnie rozrośnięta i zdrowa. Przyjeżdżała świątecznie wystrojona na wysokim wozie a z olbrzymiego kosza wyglądał jej sześćioletni synek. Starzec czekał w takim dniu już od samego ranka przy oknie. Chodziło o sprzedaż róż. Kobieta całowała go z uszanowaniem w rękę, ale podczas, kiedy potok słów pły-

nał nieprzerwanie z jej ust, a jej mały wielkiem oczami na Agatę patrzył, nie mogła i ona swego wzroku od młodej kobiety odwrócić. A ta niema rozmowa była dla Agaty nadzwyczaj miłą, szczególnie w czasie jej tajemnego smutku. Coś w rodzaju sympatji czytała w twarzy wieśniaczki, sympatji, która się do niej ciemnymi oczami śmiała i która wyciągała do niej rękę ciemną i spracowaną z chęcią dopomożenia jej.

— Czy pan chory? — spytała pewnego dnia kwiaciarka.

Gdyż starzec siedział tego ranka w pokoju i nie czekał, jak zwykle, przy oknie. Obojętnie, o nic się nie troszcząc, dawał wszystko załatwiać przez swego ogrodnika. Agata stała w ogrodzie pełnym słońca; serce jej się ścisnęło, blada przypatrywała się, jak wspaniałe kwiaty pod nożycami padały i pocziwe spojrzenie wieśniaczki bolało ją, jak stroskane pytanie matki. Raz przeszła ją gorąca myśl — wszystko jej powiedzieć! Wziąć jej chropowatą rękę i złożyć w nią swój ciężar. Ona była tak silna a jej zdrowie śmiało się, jak czarna ziemia. Istota z innego, wesołego świata, która życie z sobą wносиła a w dodatku — matka... Kiedy mówiła o swoim dziecku:

— Biedny robak, — zdawało się Agacie, jakby mówiła to o niej.

Dzieckiem będąc dawała się tak łatwo pouczać przez prostych ludzi. Im to robiło przyjemność i rozumiało ich się lepiej, niż innych, wykształconych ludzi i nauczycieli. Ich objaśnienie brzmiało zawsze

bardziej zrozumiale i pochodziło zwykle z własnego doświadczenia. A gdyby się tak raz znowu po wielu, wielu latach zapytała?... I wcale by się nie wstydziła. Wytłumaczcie, mi moja dobra kobieto — prosiliby — jest mi tak ciężko na sercu... wytłumaczcie mi, tak jakbyście mówili do swego dziecka...

I ta żądza wypowiedziania się o władnęła nią z taką siłą, że ze wzruszenia drżała i wargi jej się trzęsły. Bała się. Coby się stało, gdyby nią ta kobieta potem pogardzać zaczęła, gdyby jej ciemne źrenice naraz złem światłem zabłysły?! Może ona się myli i uważa ją za niewinną, pożałowania godną istotę — i tylko dlatego ma teraz zawsze dla niej tę rozjaśnioną minę i ten silny uścisk dłoni. Ale jeżeli się o wszystkim dowie, jeżeli posłyszycie o jej winie... co wtedy? Nie dobra kobieto, ja ci nic powiedzieć nie mogę...

I z wielkiego żalu zaczęła płakać. Nisko spuściła głowę, przycisnęła ręce do łkającej piersi a wielkie, ciężkie łzy spadały nieprzerwanie do kosza z różami.

— Paniusiu, złota, śliczna paniusiu, — szeptała zalękniona wieśniaczka, — a Agata czuła, jak jej silne ramię obejmowało ją i, coraz gwałtowniej płacząc, spuściła jeszcze niżej głowę, żeby tej kobiecie w oczy nie spojrzeć, i bolesnego grzechu nie zdradzić. Podniosła się naraz szybko i uśmiechnęła się bladymi ustami. To nic — potrząsnęła głową... wcale nic. A kwiaciarka gładziła nieśmiało jej rękaw, i spoglądała na nią przytem z wzruszającym wyrazem twarzy i choć łzami była przełęczniona — nie pytała

o powód. To było takie dziwne — nie pytała. Widać było, że chciała mówić, ale powściągnęła się trwożliwie i jako wyraz jej uczuć została jej tylko ta naiwna pieśczoła. Gładziła ustawicznie, sztywną, ostrożną ręką, suknię płaczącej, jakgdyby chciała tem jej ból złagodzić.

— Tak się ściemniło — szepnęła Agata, jeszcze ciągle we łzach, uśmiechając się, westchnęła głęboko i ucałowała nagle, porwana wdzięcznością, rękę, która ją gładziła.

Mały chłopiec przybiegł z kapeluszem, pełnym brunatnych kasztanów, i napierał się do domu. Wieśniaczka strofowała go bez powodu, drżącym głosem, potem zaczęła gorliwie czegoś szukać po kieszeniach i posadziła małego na wózek. Przytem zupełnie się na Agatę nie patrzyła i biegła tylko, bardzo zajęta, naokoło wozu.

Przed Agatą spuściła się naraz gęsta zasłona na wieśniaczkę, wózek, kwiaty, ogród; wszystko stało się naraz takie blade i takie obce, gdzieś z bardzo daleka słyszała bicie swego własnego serca... Koła wozu zaskrzypiały... Wieśniaczka pochyliła się ze swego siedzenia, jakgdyby jej chciała coś podać. Agata wzięła mechanicznie jakiś pomięty papierek, nie patrząc nań... Kwiaciarka trzasnęła z bata i wóz pełen kwiatów, oddalał się pomału, skacząc po kamykach.

Zrobiło się całkiem cicho i Agata słyszała tylko skrzypienie żwiru pod nogami. Ogarnął ją dziwny niepokój i powiedziała głośno parę razy do siebie:

— „Paniusiu, złota, śliczna paniusiu...”



Sień w domu była już oświetlona i tu zobaczyła dopiero papierek, który jej dała kwiaciarka. Był to zniszczony obrazek, pożółkły i podarty na brzegach. Na dole była wydrukowana modlitwa a cały pachniał zwiędłymi różami.

— Czy to pomaga? — spytała się jak dziecko i włożyła obrazek w wycięcie stanika. W pokoju było tak ciemno, że dopiero po kilku sekundach spostrzegła swego męża. Siedział niedaleko od okna w skórzanym fotelu, w tak ciężkim śnie pogrążony, że za ledwie widoczne było, że oddychał. Usiadła naprzeciw niego. Widziała dokładnie jego ostry profil, zwiędłe usta i żółtawe siwe włosy. I usłyszała wyraźny szept:

— Agato...

Drgnęła. Nie spał.

— Jestem — odpowiedziała cicho.

A on leżał, jak przedtem w fotelu, nie poruszał głową i oddychał tak ciężko, jak we śnie...

— Czy już jej niema?

— Nie, już odjechała.

I opowiedziała mu, jakie róże zabrała z sobą i za jaką cenę. Wiedziała wszystko dokładnie, jakgdyby przedtem, w ogrodzie, tylko na to zwracała uwagę. Że słyszał ją, widziała z słabych, potakujących ruchów głową. Zauważyła, że nigdy jeszcze tak bezwładnie nie leżał i takiego zgrzybiałego nie miał wyglądu. Wpadło jej na myśl wyrażenie: Stary, jak świat... Złapała się na tem, że bezmyślnie powtarzała te słowa... Stary, jak świat, stary jak świat... A jego wzrok

jej nie widzi, a jego głos unosi się tylko w pokoju, jak westchnienie. On widzi ją tylko z daleka, nie czuje jej myśli, nie czuje całej nędzy jej serca, jak ta prosta chłopka ją czuła. Przed nim mogłaby płakać a on nie widziałby jej łez, mogłaby cierpieć a nikt by jej nie pocieszał. Jemu mogłaby wszystko powiedzieć... Tak jemu — Jemu mogłaby się wyświadczyć. Kamień nie widzi, nie może karać ani pogardzać. Można się także i na kamienny grób rzucić i wyświadczyć... Ach, gdyby mu tak powiedzieć — on jest taki dobry — on by ją swoim spokojem uspokoił... I jest tak ciemno... Ach żeby mu tak powiedzieć...

Ów ranek w lesie wyrasta przed jej oczyma, leniwy, letni, spragniony... I mówi, jakgdyby była sama i mówiła tylko dla siebie: Kochany mężu, posłuchaj mnie, tak było, a nie inaczej. Grzeszyć nie chciałam, a jeżeli mimo to zgrzeszyłam, to cierpiałam potem tak strasznie i proszę cię o jakiś środek na uspokojenie mej nędzy... Wszystko opowiedziała, jak to kiedyś przeżyła i nie inaczej, niż jak to przeżyła... I im dłużej mówiła, tem więcej wydawała jej się jej wina, niby mały brązowo-niebieski motyl, który wesoło błyszczy i w słońcu się trzepocze. I tem więcej zaczęła wierzyć, że ją ten młody chłopiec tylko chciał przestraszyć.

A jej mąż także zdawał się to tak odczuwać. Bo wcale się nie gniewał. Żadne złe słowo nie wyszło z jego ust. Słuchał tak uważnie, że jego ciężkiego oddechu wcale już nie było słyhać. Ucałowała jego rękę i spokojnie zezwolił jej na to. Potem spojrzęła

mu trwożliwie w oczy, czy w nich jego gniewu nie wyczyta. Przysunęła swoją twarz do jego twarzy, coraz bliżej i bliżej... Było tak ciemno; nie mogła nic rozeznąć. — Naraz krzyknęła przenikliwie, przejęta zgrozą. — Jego wzrok był już szklany i martwy.

— — — — — — — — —

Trzy kwadranse od miasta. Dwupiętrowy na różowo pomalowany dom, który z powodzeniem udaje willę. Dwa popularne środki komunikacyjne, których pan inspektor z zasady nigdy nie używa, bo jest zdania, że bez miasta można także żyć.

Pan inspektor jest na emeryturze, ale posiada znacznie od siebie młodszą żonę, która w głębi swej duszy chętnie używałaby środków komunikacyjnych.

Pan inspektor gimnastykuje się co ranka od 7 do 8 pod gołym niebem, z czego jego najlepszy przyjaciel, Mielnicki (który jest jeszcze w czynnej służbie) tajemnie i bezpodstawnie się śmieje.

Pani inspektorowa ma dzieci, ale nie ma dobrego wychowania. Z panią Mielnicką rzecz ma się przeciwnie. Obydwie kobiety zazdroszczą sobie wzajemnie i znoszą się na zewnątrz doskonale.

Oprócz tego wprowadziło się do willi przed kilkoma tygodniami „owo młode małżeństwo“. Mówi się wiele o nich, ale nadzwyczaj mało z nimi... tymczasem.

Młody człowiek ma lat trzydzieści, delikatne, przez niepowodzenia w dotychczasowym życiu nadzarpane nerwy i plan na przyszłość. „Młoda pani“ jest zupełnie nie zajmująca (kochającego swego męża — wyłącznie).

Młody człowiek ma tę zaletę, że miesiącami mówi tylko najpotrzebniejsze rzeczy (n. p. „dobry wieczór“ albo „dziękuję“), a ten błąd, że czasem dostaje napadu, podczas którego przez pięć minut więcej wypowie, niż przez całe życie przemilczy.

I tak n. p. zeszłego poniedziałku w najpiękniejszą pogodę o trzeciej popołudniu.

Stan rzeczy: Przypadkowo wracają jednocześnie do domu: pan inspektor (z higienicznej przechadzki) i młody człowiek (po swoim biurze) i spotykają się na rogu Leśnej ulicy, tak że resztę drogi muszą *nolens volens* odbyć razem.

Młody człowiek (dostaje naraz napadu mówienia):

— O, doskonale... Dziękuję uniżenie. Jak w raju... Tęsknota za miastem?... Śmieszne poprostu... niech Bóg broni... Miasto o! fe... tylko jeżeli się koniecznie musi... ale zresztą — Miasto oznacza tyle mniejwięcej, co towarzystwo... Nienawidzę tego... Towarzystwo oznacza stratę czasu... Ludziom ofiarowałem połowę mojego krótkiego życia... I pytam się siebie: Dlaczego? Ja jestem uczonym. Oprócz tego — urzędnikiem naturalnie... Któż dzisiaj nie jest urzędnikiem?... Ale lepszą połowę moją „ja“ zajmuję się filozofją... Niech pan daruje moją otwartość... Chciałem tylko jeszcze powiedzieć, że piszę obecnie dzieło pod tytułem: „De amicitia“ w dwóch tomach... Pan pyta o nakładcę? Ha, ha... stary dowcip. *Passons!* Kto ma dzisiaj nakładcę? Ale główna rzecz: unikać ludzi. Żyć w sobie i z sobą. Tak, a oprócz tego ciche domowe szczęście itd. Mam żonę, która mnie kocha, dosyć

o tem! Ani słowa więcej... Promyk słońca wprawia mnie czasem w najbajeczniejszy humor... Co za pogoda... Zresztą niech pan bynajmniej nie myśli, że ja piszę apoteozę przyjaźni. Ów patetyczny, łaciński tytuł jest, rozumie się, pomyślany w znaczeniu ironicznym. To jest dowcip, uważa pan?... Ja piszę o „amicitia“ z punktu widzenia straty czasu... rozumie pan? Nawiasem mówiąc nie mam wogóle żadnych iluzji, co do życia, jestem wolny jak ptak. Nie mam ani zasad, ani klasowych uprzedzeń. Tak samo jak mój ojciec, który się ożenił ze swoją kucharką... Dosyć. Wybacz pan moją zanadto wielką otwartość. Ja się z pewnością nie wstydzę, że moja matka była dzieckiem ludu, ale — dosyć o tem. Co za boski dzień dzisiaj. Kiedy w mieście widzi się tyle słońca?...

Byli już koło domu. Inspektor podał młodemu człowiekowi rękę na pożegnanie i pomyślał w duszy z zadowoleniem: — A to dureń dopiero — i cieszył się, że będzie miał swojej żonie „masę“ do opowiadania.

...A młody człowiek zrobił się naraz po napadzie beznadziejnie smutny...

\*

Ale i boski dzień zrobił się smutny.

Ze wszystkich stron poschodziły się małe szare chmurki, połączyły się, pozawierały rozmaite „amicitia“, aż w końcu wszystko zbiło się w jedną ołowianą chmurę, w jakieś gęste, nudne coś, bez początku i bez końca, co beznadziejnie wisiało między „wsią“ a słońcem.

Zaczęło kropić. Taki spokojny, flegmatyczny deszczyk, który pomału i uparcie spełnia swój meteorologiczny obowiązek i o nic więcej się nie troszczy.

A pan inspektor począł chorować na stan barometru i tym podobne rzeczy. Pilnował natury na każdym kroku, jak zawsze, i naprawiał, oprócz tego elektryczne dzwonki w swoim mieszkaniu. Ale głównie poświęcał swój czas zepsutym storom na werandzie.

Deszcz kroił sympatycznie.

Pan inspektor stał na zielonym stole na werandzie i manipulował koło sznurów, które były poplątane, jak ludzkie losy.

A pani inspektorowa i pan Mielnicki śmiali się i rozmawiali cicho z sobą.

Pani inspektorowa spostrzegła po raz pierwszy, że oczy pana Mielnickiego są czarne. Przy tem myślała o bólu zębów swojej kucharki i o podartych majteczkach swego najmłodszego. Czarne oczy pana Mielnickiego były jej obojętne. Ale zauważyła je, bo ślepy instynkt jej mówił, że inspektor się irytuje.

Słyszała bardzo dobrze pytania swego męża... ale nie odpowiadała na nie umyślnie.

...Uśmiechała się leniwie, bezmyślnie, tak jak uśmiechają się szczęśliwie kobiety w pewnym wieku, pewnej tuszy, pewnego braku pigmentu i z pewną liczbą zasad i dzieci.

Deszcz kroił...

Pan Mielnicki pochylił się poufale nad kufrem pani inspektorowej, mrugał podstępnie i robił słodkie

miny szeptał znacząco i wszelkimi sposobami udawał flirt.

Ale w rzeczywistości nie mówił o miłości, tylko o „młodem małżeństwie“ mieszkającym na parterze.

— Moja żona — mówił — zaprzyjaźniła się z tą młodą kobietką i już bardzo wiele się od niej dowiedziała... Teraz n. p. siedzą obydwie właśnie pod nami... i rozmawiają, jakgdyby razem wzrosły. Z tego, co słyszałem, wnoszę, że ten młody człowiek jest zupełny warjat... nie taki, żeby go *par exemple* można zamknąć... ale to jest pewne, w każdym razie, że on pisze dzieło filozoficzne... i że się przed nami i innymi ludźmi szalenie wstydzi...

— Chcesz, czy nie chcesz? — mówił zagadkowo i z wściekłością pan inspektor do sznurka od stopy, mówił tonem woźnicy, który strofuje swoje konie.

Przy czem obracał się niespokojnie, bo szeptał jego żony i jego przyjaciela — drażnił go.

Deszcz padał idyllicznie...

A Mielnicki szeplecił coraz ciszej i stawał się w swojej mimice coraz niebezpieczniejszym, bo ślepy instykt mówił mu, że inspektor się irytuje.

— A ona? — pytała pani inspektorowa z niewymownie afektowanym spojrzeniem.

— Ona — odpowiedział Mielnicki — *mon Dieu*, jak to kobiety... wmawia w siebie, że tego samego pragnie, co jej mąż... ale *au fond*, rozumie szanowna pani, *au fond* chciałaby się chętnie do nas zbliżyć, nie marzy o niczem innym, jak o towarzyskich stosunkach i przyjaźni.



— Mój mąż...

Zielony stół pod inspektorem zatrząsł się.

— ...mój mąż — powtórzyła umyślnie jeszcze głośniejszym głosem inspektorowa — chciałby tych młodych ludzi do nas kiedyś na kolację zaprosić... Ale, że nie złożyli nam dotąd wizyty...

— Hm... naturalnie — szeptał Mielnicki z czułym uśmiechem — dopóki nie złożą wizyty...

Pani inspektorowa myślała:

...Ach, jak to przyjemnie, w taki dzień deszczowy zabawiać się z Mielnickim, że niby on... hm, hm... ze mną... a Zdziś ze złości tańczy po stole...

Zdziś tańczy po stole, manipulując sznurkiem od story...

A Mielnicki myśli:

...Ach, jak to przyjemnie w taki dzień deszczowy...

\*

Po tym wstępie... przyszyły ciepłe dni i fiołki.

Słońce śmiało się dobrotliwie, niejako raj na ziemi przyrzekając. Wiatr pachniał Rivierą, miłością, wspomnieniami przeszłorocznego lata.

Rudowłosy o rumianych policzkach inspektor szedł z odkrytą głową po nieśmiało zieleniejącej łące, wymachiwał laseczką i myślał:

— Co mi z tego?

Od dwóch miesięcy był beznadziejnie chory... Jego najlepszy przyjaciel...

„Raj na ziemi“ irytował go, jak jakaś wyszukana złośliwość Mielnickiego.

Myślał:

...Pachnący wietrzyk... Niejako nagroda dla rozsądnych ludzi, za to, że w zimie wzgardzili miastem... Ale... Mielnicki zawraca mojej żonie w głowie...

...Przez piętnaście lat mówiłem sobie codziennie, że pójdę raz na emeryturę i będę wtedy mieszkał za miastem na ulicy Leśnej... A teraz osiągnąłem to, o czym przez tyle lat marzyłem... Żyję higienicznie, śpię i trawię z dnia na dzień coraz lepiej... I Pan Bóg oświecił mnie i przekonał o dobrodziejstwie codziennej gimnastyki szwedzkiej, wegetariańskiej kuchni... Ale Mielnicki zawraca mojej żonie w głowie...

Naraz wpadło mu do głowy:

...Jedyna pociecha... Ostatni numer „Globusa“. Opis podróży Friedtjofa Nansena... Nieczytana połowa artykułu oczekuje mnie poobiedzie. — Ale... ale... Mielnicki...

Wiatr pachniał zdrowiem, dalekimi podróżami, ciszą na wsi.

Ale inspektor myślał:

Ten niecnota Mielnicki...

Słońce uśmiechało się, jak narzeczona.

...A na werandzie parterowego mieszkania różowo pomalowanej willi, mówiła pani Mielnicka do młodego człowieka:

— Pański wstręt do ludzi pochodzi z nerwów. I pański pesymizm także z nerwów, a dzieło pana „De amicitia“ to nic innego, tylko nerwy...

Młody człowiek uśmiechnął się uprzejmie i mruknął: — Hm, hm... — A jego żona dodała radośnie:

— Szanowna pani ma słuszość! Mój mąż jest naprawdę bardzo nerwowo...

Pani Mielnicka pokiwała głową:

— Znamy to, znamy... Kto nie jest dziś nerwowo? Ja, mój mąż, pan inspektor... my wszyscy mamy, to znaczy: mieliśmy raz nerwy... Wszyscy. Naturalnie z wyjątkiem pani inspektorowej.

Zaśmiała się.

— ...pani inspektorowej. Wiadomo, że osoby, które mają więcej ciała niż duszy, nigdy nie cierpią na nerwy.

Po tym nawiasie:

— Ale od czasu, jak mieszkamy tu, na świeżem powietrzu, żyjemy spokojni i zadowoleni... I jak trafnie zauważył pan inspektor — najważniejszym czynnikiem moralno-hygienicznym tej zmiany jest — nasza przyjaźń.

— Właśnie to chciałem powiedzieć — zauważyła wesoło młoda kobieta.

Wiatr przynosił zapach oddychających ogrodów i niezliczonych pokus, świeżo wypranej sukni pani Mielnickiej i piętnastu stopni ponad zerem...

Młody człowiek myślał:

— Miła kobietka...

A kobietka rzekła:

— Pan żył dotychczas w mieście i ta przyjaźń, którą pan zna i nienawidzi, była, że tak powiem, przyjaźnią miejską... A więc żadną harmonijną... tylko hałasem wielu krzykliwych dyssonansów... Ale co pan powie o naszym, małym, ślicznym kwartecie?

— Już go ma, — pomyślała młoda pani w duszy robiąc koziółki.

Słońce obiecywało raj na ziemi... i młoda kobieta z sarniemi oczami, spytała cicho, wyczekując:

— A czy nie moglibyśmy zostać jeszcze piękniejszym sextetem?

Wiatr pachniał...

— O ile odemnie zależy... wyjąkał młody człowiek. I nie namyślając się, przycisnął do ust białą rękę, którą mu podano. I nie namyślając się, byłoby jego serce także zgodziło się i na — duet.

\*

Mielnicki przeklinał w duszy to codzienne „dojeżdżanie“.

„Niebo szlochało z gniewu, a poza żółtą zasłoną z chmur wyły dzikie zwierzęta.

Mielnicki mruczał:

— Rano słońce i ptaszki śpiewają... Normalny człowiek jedzie do miasta naturalnie bez parasola i ani mu się śni, że wracać będzie w towarzystwie grzmotów...

Normalny człowiek, w jasnym ubraniu, stał na platformie tramwaju, spoglądał na ciemne niebo i bał się jak dziecko, które zabłądziło w lesie.

...Hu! hu — hu! — wyły w górze dzikie zwierzęta.

W drodze od stacji do willi zesłał Pan Bóg na jasne ubranie dużo czarnych kropli.

Mielnicki przeklinał to „dojeżdżanie“, — kosztowało czterdzieści guldenów — myślał (o ubraniu).

W ogrodzie czekała na niego pani Mielnicka.

— Wyobraź sobie... — zaczęła, ale jej mąż odsunął ją na bok niechętnie.

— Tu rozpoczynasz konwersację?! Ja jestem przemoczony do nitki!

Niebo było aż żółte ze złości.

— Wyobraź sobie — rozpoczęła pani Mielnicka na nowo, kiedy już byli na górze, — inspektorowa była w tej chwili u mnie i powiedziała mi...

Nie mogła mówić dalej ze śmiechu.

— Co? Co powiedziała? — pytał mąż niecierpliwie. — Cóż to jest za sposób? Mów, albo się śmieję...

Żona uspokoiła się.

— ...i powiedziała, że on... rozumiesz?... że inspektor jest zazdrosny... Wystaw sobie... On myśli, że ty i ona...

Pękała od śmiechu.

Ale Mielnicki zerwał się, oburzony.

— To nie prawda! — krzyczał.

Żona położyła mu rękę na usta.

— Nie krzycz tak... Bo cały dom się zleci... Naturalnie, że to nieprawda... Nie posądzam cię o taki zły gust...

Ale on dalej się wściekał.

— To nie ma sensu, to jest idjotyzm, warjactwo... To sobie sama ta głupia gęś wmówiła... albo ty sobie to wszystko wymyśliłaś żeby mnie złościć... Niech was wszyscy djabli wezmą!

— Ależ, kotusiu, nie irytuj się — upominała go żona.

Hu, hu — wyły dzikie zwierzęta.

Mielnicki się wściekał.

— Ja nie potrzebuję żadnych komedji i historii... Jeżeli inspektor jest naprawdę taki idjota, powinien się wstydzić, fe, stary osioł — w dodatku na emeryturze — to się jutro wyprowadzę... Czy dlatego mieszkam na wsi? Nie chcę żadnych obrażonych twarzy widzieć. Świeżego powietrza chcę...

...Deszcz lał namiętnie.

...A na podwórzu stał pan inspektor.

Pomimo strugami płynącej wody, pomimo wycia dzikich zwierząt w chmurach i burzy w jego własnej duszy... manipulował coś koło zepsutej rynny.

Nie ma nic ponad fizyczną pracę — myślał i bił młotkiem. W tej sytuacji znalazł go młody człowiek (który ma ten błąd, że czasem dostaje napadu, podczas którego więcej przez pięć minut wypowie, niż przez całe życie przemilczy).

Inspektor: — No i cóż tam... filozofja?

Młody człowiek (dostaje napadu):

— Filozofja?... Dziękuję, dobrze... chciałem powiedzieć: dziękuję, źle. Zresztą, co mi zależy na filozofji?... Ofiarowałem jej połowę mego krótkiego życia... Kto mi odda stracone lata?... Niech pan daruje moją otwartość... *Passons!* Tylko to jedno chcę panu powiedzieć, że tendencję mojego dwutomowego dzieła „*De amicitia*“ zupełnie zmieniam... Pan się naturalnie pyta: dlaczego?... Co się stało?... Pan mówi: Albo się ma przekonania, albo się ich nie ma... Przepraszam pana... Co to są przekonania?... Pan nie docenia ży-

cia... Zmieniłem się... a ze mną zmienia się i moje dzieło... Od kiedy żyję tu, na świeżem powietrzu, i mieszkam na Leśnej ulicy i — niestety tylko z daleka — obserwuję idealną przyjaźń czworga idealnych ludzi... Daruje pan moją może za wielką otwartość... Ale taka burza wprawia mnie zawsze w upojenie... Pan ze swoją żoną i państwo Mielniccy tworzycie tak rzadko piękny kwartet przyjaźni... a ta przyjaźń... ta pozazdroszczenia godna...

Młody człowiek mówił bez ustanku. Inspektor bił młotkiem zażarcie.

...A z ciemnego nieba płynęły oceany wody. A poza żółtą zasłoną z chmur wyły dzikie zwierzęta.

---

Szedł pomału do góry. Schody były jasno oświetlone, a na górze stało dwóch służących w biało czerwonej liberji. W przedpokoju wisiały zwierzchnie odzienia, szale, parasole i kapelusze damskie; mały chłopiec o jasno blond włosach i zaspanych oczach odebrał od niego zarzutkę i laskę. Na progu zawałał się chwilę; z salonu dochodził odgłos szeptań i śmiechów.

Mimo to, kiedy wszedł, nie było nikogo w pokoju, odetchnął narazie uspokojony; wszyscy byli w sąsiednim salonie. Stanął przed dużym weneckim lustrem i poprawił sobie włosy, wąsy i krawat.

Że też nie zauważył przedtem owej ciemnej postaci w kącie między kominkiem a oknem!

Odwrócił się szybko, ażeby się tej osobie ukłonić. Gdyż była to napewno jakaś znajoma dama... W tej samej chwili dama wstała i oddalił się szybko przez drzwi środkowe, wcale na niego nie zwracając uwagi. Była obrażona, że się jej przy wejściu nie ukłonił. Musiał to naprawić, jak można najprędzej. Była to z pewnością Idalja, siostra gospodarza domu.

Chwycił gwałtownie za swój *chapeau-claque* i wszedł do salonu obok. Zaraz przy drzwiach zastąpił mu drogę jego przyjaciel, Edgar, który podawał ramię jakiejś biało ubranej dziewczycy.



— Nie masz oczu? — ofuknął go, mierząc go rozniewanym wzrokiem.

Edgar uśmiechnął się i poszedł; jego towarzyszka jednak popatrzyła trwoźliwie na zirytowanego gościa, tak że ten pomyślał, iż to ona jest ową damą, którą przedtem niechcący obraził...

— Do diabła! — mruknął i krew mu uderzyła do głowy. Potem przypomniał sobie, że tamta pani wydała mu się przedtem ciemno ubraną.

Ktoś zaczął grać.

— Tylko fortepian! — pomyślał ironicznie, a kiedy znowu jakaś para przechodziła koło niego, zapytał, śmiejąc się głośno:

— Skrzypce i trąby odmówiły widocznie?!

Wtedy wystąpił mały pan w monoklu na środek i zakomenderował:

— *Chaine anglaise...*

Miejsce przed nim było teraz wolne, bo po obrotach dwóch stronach formowały się kolumny. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, że stał sam jeden w środku, bez zajęcia.

— Czy pan nie ma tancerki? — zapytał go mały pan.

— Zaraz — odpowiedział i ukłonił się — proszę chwileczkę zaczekać, poszukam swojej tancerki.

I zmieszany zaczął chodzić po sali i szukać. Naraz spostrzegł panią domu, z którą dotychczas jeszcze nie mówił; musiał to teraz uczynić, bo to było najważniejsze. Poszedł do niej i ukłonił się jej głęboko.

— Szanowna pani daruje — powiedział, drżąc

lekko — mam coś bardzo nieprzyjemnego na sumieniu... Spotkałem przed pięcioma minutami pannę Idalję w pierwszym pokoju i...

— O kim pan mówi? — spytała pani domu z tak poważną twarzą, że wszyscy opodal stojący zaczęli nadśluchiwać.

— O nikim — uśmiechnął się — myślałem tylko, że to była panna Idalja, siostra pani męża... Byłbym się jej na pewno zaraz uklonił gdyby...

Goście milczeli przez chwilę, zakłopotani; ale pani domu pokręciła głową i zaczęła zaraz rozmawiać z generałową, która właśnie weszła. Słyszał, jak ktoś obok niego wyszeptał:

— Co też ty mówisz, Adasiu... Idalja zeszłej zimy umarła! — powiedział Edgar, który stał obok niego ze swoją tancerką.

Adam uderzył się ręką w czoło i rzekł smutnym głosem:

— Teraz, to już doprawdy nie wiem, co mam dłużej robić w tym domu.

Znowu zabrzmiała muzyka; tańczący nie chcieli czekać i rozpoczęli bez niego kadryla. W tem widzi wprost naprzeciw siebie jakąś panią, siedzącą samotnie.

Patrzy się na niego uporczywie, jakgdyby go chciała przywołać do siebie. I zdaje mu się, że widzi dokładnie, jak daje mu wachlarzem znaki. Odwraca głowę, żeby nie musiał tego zauważyć. Potem widzi jednak znowu jej zapraszające wejrzenie i obawia się jeszcze raz ją obrazić... gdyż... tak, to jest ta sama

osoba, którą przedtem miał za Idalję. Przechodzi między tańczącymi, odpycha pana z monoklem na bok i zbliża się do owej damy...

Jego matka!

Podnosi się i kładzie mu rękę na czole.

— Czy cię głowa boli, Adasiu? — pyta stroskana. Teraz Adam czuje, jak jest wzburzony i odpowiada szybko:

— Daj spokój, matko... tak, tak, mam ból głowy... wszystko mi dokucza.. Najchętniej odszedł bym, jak tobie tego życzysz, ale czy nie wiesz, że obraziłem kogoś i że teraz muszę czekać aż tę osobę odnajdę?

I opowiedział jej, w jaki sposób obraził czarno ubraną damę. Ale nagle odwrócił się, bo owa nieznana dama siedziała obok niego.

— Ach, nareszcie panią znajduję! — zawołał wesoło — szukam pani, jak warjat.

— Ja tu ciągle jestem...

— Pani mówi tak cicho.

— Powiedziałam, że jestem tu ciągle. Co pan robi? Czemu pan biega i wszystkim przeszkadza? Nie wiem, dlaczego się pan o mnie tak troszczy, bo ja przecież pana zupełnie nie znam i tylko przypadkiem siedziałam w pierwszym pokoju, kiedy pan wchodził.

— Musiałem z panią mówić, bo panią przecież tak ciężko obraziłem...

— O jakiej obrazie pan mówi, na litość boską? Pan mnie tylko chce ośmieszyć, ale Pan się myli.

— Niech pani wybaczy... nazywam się Adam... niech pani wybaczy! Miałem panią za pannę Idalję.

I dopiero teraz spostrzegam, jak pani jest czarująco piękna. Dziwi mnie, że pani żaden danser nie porwał. Ja byłbym o panią walczył i z żadną inną nie byłbym tańczył kadryla; tak dziwnie piękna mi się pani wydaje.

— Ja pana nie wołałam.

— Nie, pani mnie nie wabiła do siebie i nie wołała. Ja jeszcze nawet pani oczu nie widziałem, a jednak mnie pani piękność oczarowała i do siebie wołała. Wszędzie za panią biegałem i szukałem pani tak, jakbym musiał prosić panią o przebaczenie. A teraz wiem sam, że pani nie obraziłem... Ale niech mnie pani nie uważa za lekkomyślnego. Mówię z naciskiem, że nikogo, nikogo nie zapomniałem.

— Ach, niech pani spojrzy — mówił notariusz do matki Adama — siedzi sam i zachowuje się tak dziwnie. To kręci głową, to gestykułuje i uśmiecha się słodko, jakgdyby z kimś rozmawiał. Muszę pani przyznać otwarcie: my wszyscy znamy powód jego obecnego stanu i żalujemy panią najserdeczniej.

— Wczoraj się jeszcze trapiłam, że mój syn miał kochankę. Dziś oddałabym mu ją sama, ponieważ ją stracił. On się męczy do szaleństwa.

A czarna dama szeptała:

— A jednak nie jestem wcale piękna... jestem najbrzydsza ze wszystkich... Brzydsza, niż śmierć. Jak daleko chcesz za mną iść? Co mam myśleć o tobie? Nie patrz się tak na mnie ustawicznie. Niczego na mnie nie zobaczysz!

— O tak, tak — śmiał się Adam swawolnie,

a jego oczy błyszczały. — Ja cię znam; teraz wiesz sama, że cię znam. Upadnę przed tobą, obejmę twoje kolana i zatrzymam cię na wieki...

Ale czarna dama cicho wstała i zniknęła w tłumie. Patrzył za nią jakiś czas zrozpaczony. Córka gospodarza przyszła do niego z kotyljonowemi orderami.

— Panie Adamie...

Próbowała czerwoną jedwabną kokardkę przyczepić do jego fraka. On uśmiechał się, ale nagle zapytał jej zachrypłym głosem:

— Czy pani nie jest...?

Ale ona go nie zrozumiała i rzekła:

— Dlaczego pan nie tańczy? Ten order darowałam panu tylko z łaski. Czy pan jest taki dumny?

Ale on odwrócił się od niej naraz. W drzwiach do sąsiedniego pokoju obejrzał się za nią jeszcze raz. Nie — wyszeptał — to nie jest ona... chciała mnie tylko oszukać.

Naraz stał znowu tam, gdzie na początku balu spostrzegł czarną damę. W pokoju nie było nikogo. Ale kiedy spojrział do lustra, zobaczył ją znowu w tym samym, co przedtem, kącie pokoju. Zaśmiał się krótko i uczył nagle szalony ból w skroniach. Dał jej ręką znak; potrzebował pomocy, zdawało mu się, że się dusi. Ale ona nie poruszyła się. Jego ciało było jakby sparaliżowane, nie mógł już ani zawołać, ani się z miejsca ruszyć. Chciał tylko powietrza, trochę powietrza, żeby się nie udusić...

Ach, jakie szczęście! — Czarna dama podnosi się i otwiera okno.

— Chodź teraz! — mówi.

On idzie.

— Siadaj tutaj — rozkazuje dama, pokazując na parapet okna.

On siada... siada tak daleko, że jego nogi wiszą w powietrzu. A teraz... teraz czuje jej rękę na plecach —

Trąciła go — i spadł na bruk.

\*

W godzinę później mówiła pani doktorowa do pani radczyni:

W tym domu musi być zawsze jakiś skandal. Ostatnim razem była pieczeń przypalona, a dziś rzuca się jakiś warjat z okna z powodu nieszczęśliwej miłości.

---

Ż Y C I E S E N  
KARTKI Z DZIENNIKA

12 czerwca.

Gdzie ja to słyszałem? Odczuwałem to już nieraz i tak naprzykład teraz, przed sekundą. Leżę w trawie, a że muchy brzęczą, wiatr w zbożu szumi, a ja czuję ziemię tak silnie, jak oddech człowieka — budzę się. Nie mogę inaczej powiedzieć tylko: budzę się. Może także dlatego, że jestem taki sam; i tylko dlatego mam tę świadomość, że znajduję się rzeczywiście w miejscu, zwanem Kuszynem, że nie śnię, że w dole nie jest malowana panorama; konwencjonalny obraz miasta z „malowniczym“ tłem ośnieżonych gór, z białą wieżą kościołka, z drobnymi domkami i dymiącymi kominami, tylko *prawdziwe* miasto. Powtarzam to sobie kilka razy a potem — wierzę. To byłaby zatem rzecz załatwiona. Życie nie jest dla mnie teraz przez krótki czas snem. Gdzie ja to słyszałem? — „Życie-sen“? Teraz mnie komar ukąsił w nos...

Z pewnością, że brakuje jeszcze zewnętrznego związku... związku między mną a obrazem tego miasta. Czego ja szukam w Kuszynie? Na to jest odpowiedź: Jestem tu, bo tu właśnie dostałem chleb i mieszkanie, a że dostanę to tutaj, a nie gdzieindziej, dowiedziałem się od przyjaciela... Ale to, mnie nie zadawała.

Kto wie, kiedy zacząłem śnić? I jak się zorjentuję naraz w rzeczywistości? Co ja mam do czynienia z ową białą wieżyczką w dole, albo co mają z nią wspólnego, moja zmarła matka, moja książka o Odyssei, albo mój wiersz „Do niej“? To jedno trzeba przyznać — że czemś jestem, że coś znaczę. Niech mnie diabli porwą, jeżeli dużo jest takich wspaniałych egzemplarzy, jak ja. Leżę sobie spokojnie i *nonchalant* w trawie, pozwalam się komarom kąsać w nos, słońcu palić w kark i nie obawiam się wcale, że w południe trzeba będzie coś zjeść i naturalnie za obiad zapłacić. A popołudniu ma się, tak jak każdy porządny człowiek, swoje zwyczajne zajęcie. Tak samo, jak ów gruby pan z wieloma brelokami na brzuchu, którego dzisiaj na Placu Targowym spotkałem i z którym — mówiąc nawiasem — nawet rozmawiałem... — te komary wysysają z rozkoszą moją krew... — a wieczór położę się znowu do ślicznego, miękkiego, ach nadzwyczaj miękkiego łóżka, posiliwszy się przedtem jakąś drobnostką i będę spał osiem do dziewięciu godzin, podobnie jak inni porządni ludzie, tak jak Mama Stiegele, gospodyni w oberży „Pod gwiazdą“ w Assmashausen nad Renem, która spała przy otwartym oknie i tak chrapała w nocy, że ja nie mogłem w stodole z zazdrości ani oka zmrużyć.

Jest mi naprawdę żal, że mama Stiegele nie może widzieć, jak mi się teraz wspaniale powodzi. Gdyby mogła obserwować z jakim apetytem ssą mnie komary, jakgdyby moja krew była najlepszym winem



z Assmashausen, po trzy marki flaszka. Tak, tak, przedtem moja krew nie była tak smaczna, nie zawierała tyle materji odżywczych i komary nie chciały wcale korzystać ze sposobności. Miały słusność. Człowiek żył wtedy, jak włóczęga... Trzeba było robić długie i za to jeść roastbeef'y i pić szampana. Ale za sposób, w jaki się żyło, nie można było wymagać od ludzi respektu. Człowiek podupadł także i psychicznie — i to znacznie. Zamiast się zajmować wyższemi rzeczami, trzeba było, jak zwyczajny filister, cały dzień namyślać się nad tem, jakby swoje zewnętrzne potrzeby najlepiej i najtaniej zaspokoić. W nocy rachowało się: jutro zjesz śniadanie o dwunastej, wobec tego nie będziesz potrzebował obiadu. Albo: chustka do nosa zastąpi ci parasol a bronzowy *parapluie* od cioci Basi możesz zastawić za trzydzieści do czterdziestu fenigów... Podła egzystencja!...

A teraz! Nie zapomnę nigdy mojego pierwszego dnia w Kuszynie. Przyjechałem tu przed kilkoma dniami właśnie w niedzielę Zielonych Świąt i mogłem naraz wszystko widzieć i wszystkiego używać. Tutaj jest świat bardzo katolicki. Dzień świąteczny śmieje się tu tysiącem promyków słonecznych i cieszy się świątynią zapełnioną, mieszczanami w czarnych surdutach i mieszczankami o czerwonych bezmyślnych twarzach. Jak nieśmiało przyciskałem się do muru, jak starannie ukrywałem mój węzełek podróżny, moje okurzone buty a nawet moją bladą twarz, z której każdy mógł wyczytać, że od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem!

A po nabożeństwie widziałem wszystkich ludzi przechodzących koło mnie. Panny z dobrych domów miały w sobie coś z wspaniałości róż ogrodowych, które w słońcu tak silnie pachną, że głowę się traci. I wszystkie wydały mi się tajemnicze, gdy tak szły i uśmiechały się. Większość ich miała poważanych ojców! I dlatego były takie dumne, nieprzystępne i nosiły tak wysoko swe główki. Wyglądały, jakby szły z procesją, lub jak jaskółki w locie. Miejscami tworzyły się bukietki białych, różowych i niebieskich sukien. Często szła duża rodzina; naprzód jasno ubrane córeczki w kwiatowych kapeluszach prosto, oczy spuszczone, albo wesoło wokoło spoglądające — a z tyłu rodzice, czarni, uroczyści. Kiedy niekiedy słyszałem jakieś półsłowa, zobaczyłem półuśmiechu, ale całość płynęła spokojnie, pomału, jak ciąg łabędzi. Kiedy się dwie znajome rodziny spotykały, to za ledwie można było dostrzedz ukłon kobiet, tak nieznacznie poruszały głową i prawie więcej w tył, jak naprzód; na siebie się zupełnie nie patrzyły, tak jak gdyby się przedtem umówiły, że się widzieć nie będą. Ale kiedy przystanęli i ręce sobie podawali i młodzieńcy znaleźli się przy pannach, a starzy ze starymi — zrobił się taki szum, jak przy podnoszeniu się całego stada ptaków. Zewsząd głosy i wesołe nawoływania, tak że aż serce mi się ścisnęło z zazdrości, bo się ci wybrani tylko między sobą znali i tylko z sobą byli tacy weseli.

To był pierwszy dzień; prawie męczący, jakgdybym stał za kratą i obserwował zmieniające się żywe

obrazy. Musiałem nad sobą zapanować i przywołać wszystkie moje zdrowe zmysły, żeby jak jaki prosty chłop nie pęknąć z uszanowania przed temi małomiej-  
skimi znakomitościami. Musiałem uważać, żeby so-  
bie nie wmówić, że taka niebieska dziewczyna pięk-  
niejsza jest, niż niebieskie niebo, a taki pan w czar-  
nym surducie jest bardziej arystokratyczny od księ-  
cia, a podobnie lekki ukłon ważniejszy od mojej  
książki o Odyssei, albo od Odyssei samej. Ale już  
tego samego wieczoru byłem w ich towarzystwie. By-  
łem, jak pijany, i teraz dopiero się budzę. Budzę się,  
żeby, leżąc tu na brzuchu w trawie, podziękować ko-  
chanym obywatelom Kuszyna za to, że dali mi chleb  
i pomieszkanie. Jestem pierwszy raz w życiu syty,  
a moja sytość jest na lata naprzód, kontraktowo  
i ustnie, zapewniona; stoi, jak opoka.

To może mieć jeszcze nadzwyczajne skutki, że  
jestem syty, że się takie godne miasto i takie towa-  
rzystwo ludzkie znalazło, które mnie wzięło pod  
swoje skrzydła. Zaczynam inaczej myśleć i czuć  
a zacznę może inaczej mówić i pisać.

Nie znam jeszcze tych wszystkich mieszczan Ku-  
szyna, którzy mi jeść dali, ale kocham ich już dziś  
w upojeniu wdzięczności i będę im wiecznie dzięko-  
wał, będę im służył, będę ich uwielbiał. Będę dla nich  
pisał najpiękniejsze poezje, jakie mi na myśl przyjdą,  
i obowiązuję się, — również z wielkiej wdzięcz-  
ności, — złych wierszy, które mi wpadają na myśl —  
nie pisać. A gdybym został wielkim — chcę tylko  
z czystej wdzięczności dla tego miasta, które mi jeść

dało, wielkim zostać. Moja wielkość ma tylko na to służyć, żeby mi tu pomnik wystawili i pomnikiem tym rynek ozdobili...

\*

14 czerwca.

Nie zapomina o mnie ani na chwilę. Wiele on ma do roboty, do myślenia, do gadania z ludźmi, do żartowania ze swym psem, Cezarem, do rozkazywania w banku i prezydowania w ratuszu i — niech mu Pan Bóg nagrodzi! — nie zapomina o mnie nigdy. Jestto wprost cud; uważam zawsze bacznie, kiedy opuszczamy kawiarnę, restaurację, lub jaki gościnny dom, czy nie zapomni raz się za mną obejrzeć — ale nie — nie zapomina! Wczoraj byliśmy wszyscy zaproszeni do niego, a że przy kolacji siedział między dwiema ładnymi kobietami i w swój sposób z nimi rozmawiał i żartował, bałem się już i myślałem, że przecież o mnie zapomni i że będę sam musiał wracać i błądzić w nieznaney okolicy. Ale naraz — patrzcie — po czekoladowym kremie wstał od stołu i poprosił mnie, żebym wszystkim zebrany odczytał mój wiersz „O czerwonej róży“. I odczytałem wiersz „O czerwonej róży“. A wszystkie na pół otwarte usta dziewczęce śmiały się do mnie, jak rozkwitłe róże. A ja czytałem krótki wiersz o kilkunastu słowach, tylko dla uwielbienia ich i myślałem, że wszystkie są wraz ze mną upojone i wszystkie tak samo czują, jak ja. — Nigdy nie śmiałem nawet marzyć, że mnie zaraz przyjmą do swego grona i że zaraz ze mną, jak z równym sobie mówić i śmiać się będą.

A ja siedziałem koło Ewy, córki burmistrza. Wyobrażam sobie, że musi to być największe szczęście móc ją pocałować. Jej ciało rozkwita, jak róża, i wdzięczny jej jestem w duszy za każde słowo i odpowiadam jej, jak mały chłopiec, który najpierw każdą zgłoskę bojaźliwie wyjąkuje a potem w oczach ojca czyta i waha się zanim koniec słowa wypowie. Ale w końcu było mi bardzo lekko na sercu. Tylko jednej uporczywej myśli nie mogłem się pozbyć. Panna Ewa i wszyscy tu obecni żyją od dawna w spokoju i dobrobycie — ty sam dopiero od kilku dni! To muszą poznać po tobie, bratku... Kiedy mówisz, kiedy się śmiejesz, kiedy kieliszek do ust podnosisz i kiedy im rękę podajesz. Czego ja już w życiu nie widziałem! Wiele rozkoszy i wspaniałości, światła, wystrojonych kobiet, brylantów, złota i przysmaków, południowych kwiatów i owoców i wielkich ruchliwych miast, bulwarów i mórz. Ale tylko — widziałem! Czy był kto z was moi państwo w Londynie, w New-Yorku, w Paryżu — w owych wielkich centrach życia i używania, pracy i występku? Nie? Widzicie, wiele mógłbym wam opowiedzieć; wszędzie tam — przymierałem głodem. I w tym stanie patrzyłem na tyle wspaniałości i tyle w duszy przeżywałem... czytajcie tylko moje wiersze! A teraz przychodzę do was, którzy żyjecie w małym miasteczku, z białym kościółkiem, nazwiskiem Kuszyn, któreby można kilkakrotnie pomieścić w jednej części Paryża lub Berlina. Ale doznaję tutaj czegoś, czego jeszcze nigdzie nie doznałem — nie jestem głodny! Zrobiliście ze mnie normalnego

człowieka. Wasza prosta mowa bez wybiegów, wasz szczery śmiech, zadowolone twarze waszych żon — nie znają obawy jutra. A wy mnie chcecie zrobić takim, jak wy? Nie, nie, to niemożliwe... musiałbym się na nowo narodzić. Kiedy jestem między wami, muszę ciągle myśleć o miękkich poduszkach. Siedzę miękko, widzę i słyszę tylko łagodne i słodkie rzeczy, a w nocy śpię pod pierzyną.

Stary człowiek, doktor Hański, umarł onegdaj na katar kiszek. Tak, wy znacie także i smutek. Niekiedy gościecie u siebie tę samą śmierć, jaką widziałem w tyłu szpitalach, siną, straszną i cuchnącą. Raz umarł ktoś o trzy łóżka odemnie na tyfus głodowy. O nim muszę zawsze myśleć, jak o własnej karykaturze. Siostra Marja siedziała w nogach jego łóżka, blada, jak cień wyglądająca, dziewczica, która się ustawicznie czerwieniła, bo ją ów chory student zawsze w swoich chorobliwych fantazjach nazywał matką. Musiało jej dziwnie brzmieć w uszach to słowo, które dla niej przez całe życie pozostało zagadką i które teraz od umierającego chłopca słyszała. A jego prawdziwa matka już na pewno nie żyła. Matka, która mu w zimie kładła ciepły szal na szyję, żeby nie kaszlał, i która szyla długo po północy, żeby on mógł naza-jutrz dostać swoją ulubioną potrawę...

Nie, nie, doktor Hański umarł inną śmiercią i dlatego wszyscy wyglądali tak spokojnie i pogodnie, jak przedtem, chociaż ktoś powiedział: „Doktor Hański umarł“... A panna Ewa jadła różowego łososa widelcem i maczała delikatne mięso w gęstym żółtym so-

się, zanim je do ust poniosła. To pewne, że była tak niewinna, że ją pierwszy lepszy drab mógł uwieść.

Wypiłem trochę za dużo słodkiego wina. Po kolacji opowiadał mi adwokat Brodzki o jakiejś sprzedaży domów, którą... Jak to było? Ktoś chciał dwa domy sprzedać, jeden stary, drugi nowy... Nie, to ów adwokat sam sprzedawał te domy. I ktoś mu dawał 50.000... sam już nie wiem ile... Jednego słowa nie zrozumiałem z tej całej historii, ale uśmiechałem się zaciękawiony, później z pewnym zdziwieniem, powtórzyłem kilka słów adwokata albo zakończyłem stylistycznie jakieś przez niego zaczęte zdanie... Maskowałem się tak, że na zewnątrz zupełnie dobrze bawiliśmy się z sobą. Później włączali się jeszcze inni do tej rozmowy; omawialiśmy jakąś ważną sprawę gminy, której znowu nic nie rozumiałem. Najczęściej godziłem się na wszystko, dorzucałem tylko czasem jakieś zupełnie mikroskopijne, nic nie znaczące szczegóły — i wydaje mi się, że grałem swoją rolę dobrze. Wyglądało to, jakgdybym o wszystkim był tak dobrze poinformowany, jak ci godni, czarno ubrani mężowie.

Ale potem musiałem na szczęście przejść do pań... Mój Boże, wiem dobrze kogo się nazywa filistrem i co można z punktu widzenia głodnego geniusza powiedzieć przeciwko moim przyjaciółom w czarnych surdutach, ich dobrze odżywionym żonom i córkom, ich sprawom gminnym, sprzedaży domów i przeciw tym wszystkim niewidocznym miękkim poduszkom... Ja sam byłem przecież głodnym geniuszem. Byłem — ale teraz widzę inaczej...

Czy jest coś doskonalszego nad rozkosz, którą odczuwam, widząc ciebie, cudnie rozkwitnięta Ewo, ty cudzie nad cudami, ty tajemnico życia z twojem szaro błyszczącym, nieświadomem spojrzeniem, z twemi czerwonymi wargami... Dlaczego muszę się ciągle patrzeć na ciebie? Czy nie czujesz, dziewczyno? Dlatego, że w tobie i w cieplarni, w której ty żyjesz — żyje mój poemat!

Nie, nie, to nie dlatego, że daliście mi jeść, nie dlatego, że waszego słodkiego wina za wiele wypilem...

\*

15 września.

Jesień nie była w programie, obywatele Kuszyna! Wybaczcie, że mnie żółte liście przestraszają. Spojrzałem wczoraj do lustra. Żyję teraz tak, jak wy, i nie mam czasu namyślać się, a jednak... nie wyglądam gorzej od was. Ranek był wczoraj taki smutny, w mojej duszy padały żółte liście... Ranek był szary i ponury, ale dzień skończył się płomienistym zachodem słońca, jakby jakąś trjufującą fanfara tysiąca trąb.

Kiedy słońce krwawo zachodzi, odbywają się jakby bacchanalje na niebie; tak skończył się dla mnie ów dzień. Przeżyłem wczoraj najwyższe upojenie odkąd pływam w ziemskim dobrobycie. — Z ręką na sercu, obywatele Kuszyna, — nie wiedzieliście wczoraj, jakie święto święcono u was, kiedy zmrok zapadł, a wy zamykaliście wasze sklepy i skarby w waszych szafach. Nie, obywatele, o tem nie wiedzieliście, — bo bylibyście postawili światła błyszczące w waszych



oknach i ozdobili wasze dachy powiewającymi chorągwi-  
gwiami i kazali dzwonom w białej wieżyczce kościółka  
dzwonić.

Ona rzekła:

— Nie myśl, luby że pogardzam tobą dlatego, że  
przybyłeś do nas biedny i głodny...

Wstydzilem się strasznie.

— Ach, więc ty wiedziałaś, że byłem dawniej  
biedny i głodny?

Wstydzilem się strasznie, chociaż mogłem sobie  
zaraz pomyśleć, że wszyscy to wiedzieli, że mnie  
moje oczy, ruchy, dźwięk mojej mowy, zdradziły —  
musiały zdradzić. Czerwoność na niebie okryła mnie,  
wstydzilem się, ale miałem uczucie, jakby oswobo-  
dzenia z bólu... Jeżeli mnie kochała, to musiała wszyst-  
ko wiedzieć.

A że ona była dla mnie przeznaczona, czułem już  
przecież dawno, może jeszcze zanim białą wieżyczkę  
Kuszyna zobaczyłem, kiedy dopiero tam iść miałem,  
gdzie mi posadę przyrzeczono. Ona była uosobieniem  
nowego życia, które mnie do siebie wołało, moja czer-  
wona róża, która się dla mnie nocą otwierała, bawiąc  
i przyrzekając, kiedy zgłodniały, przez życie i ludzi  
nauczony pokory, marznąc, zasypiałem. Że jej tak  
długo nie dostałem, było to przekleństwem mojego ży-  
cia. Ach, jak nienawidzę was wy, stracone lata, w któ-  
rych życie zrobiło ze mnie głodnego poetę, jak nie-  
nawidzę mojego głodu, mojego poniżenia, moich mę-  
czarni i zwątpień, moich oszukanych nadziei i ma-  
rzeń... Ewo, ja muszę ci wyznać — ja nienawidziłem

także *ciebie*. Znasz bajkę z „tysiaca a i jednej nocy“ o tym rybaku, który... Ach, znasz ją... jak zły duch, buntownik, zamknięty do puszki przez Allaha i zatopiony w morzu... jak duch ten sobie przysięgał: jeżeli mnie kto oswobodzi, to dam mu najpiękniejsze z moich skarbów. Ale przez pełnych sto lat nie znalazł się nikt ktoby go oswobodził... Wtedy rozgoryczony, zrobił nowy okrutny ślub: nieszczęsnego, który mnie teraz uratuje — zabiję... Znasz tę bajkę... I teraz wiesz już, Ewo, dlaczego cię przy końcu nienawidziłem.

Tak mówiłem do niej, a słońce złociło wierzchołki sosen... Sosny i jodły szumiały, a miód ich krwi pachniał w wieczornem powietrzu i upajał mnie, jak słodkie wino obywateli Kuszyna.

Leżałem u nóg dziewczyny, a ona całowała mnie i mówiła, zraszając moją twarz gorącemi łzami:

— Kocham cię... widzisz... dziewczęta czekają tak samo, jak ów duch czekał, o którym opowiadałeś... Ale pierwszych lat mego czekania nawet nie czułam. Jeszcze ci dam mój rybaku najpiękniejsze z moich skarbów.. I tęsknię za tem, żebyś mnie oswobodził w miłości... I tęsknię za tem, żebyś mnie zaprowadził do światła... Powiedz, czy chcesz, mój luby?

Cudnie i bogato dała mi najpiękniejsze, co posiadała. Łaknąłem tego całe życie... Ale jak to było, jak? Było tak, jak skarby we śnie... Człowiek się budzi — gdzie są skarby?...

I — córka burmistrza zdjęła pierścionek, który dotychczas na swym małym palcu nosiła. Z brylantami... Córki burmistrzów z Kuszyna noszą wszędzie

brylanty, w uszach, na białych szyjach i na każdym palcu — — —

A teraz biegnę do mamy...

\*

20 września.

Chodzę sam po mieście. Nikogo na szerokim rynku, tylko my dwaj: ja i burmistrz z brązu, który przed kilkoma wiekami zasłużył się koło odbudowy miasta po inwazji tatarskiej.

Wytlumacz mi, panie burmistrzu... jesteśmy sami, nie mówimy do siebie ani słowa, nie wpada nam na myśl szeptać tajemnie, chichotać albo się w jakiś inny sposób niezwykle zachowywać, choćby tylko z uszanowania dla majestatu nocy. Nieinaczej szanowny panie, z uszanowania dla nocy... Ale wytłumacz mi kto tak dziwnie poza mną syczy, szepcze, albo szeleszcze sukniami... Kamienie? To wykluczone — a zresztą może to są kamienie, które tak trzeszczą poza mną, jakby wydawały z siebie iskry... Słyszę przy każdym kroku, który robię, jakby świerkanie świerszczy...

— Teraz staję i mimo to głosy te nie milkną... Cokolwiekbądź to jest — to robi wrażenie. Ale nie trzeba z zanadto wielkiem natężeniem słuchać... Dlaczego? Widzi pan, szanowny panie, ten szmer w nocy, ta mowa milczenia budzi mnie naraz. Ludzie nie powinni pod żadnym warunkiem budzić się... Musiał pan to sam doświadczyć w swej długoletniej praktyce na ziemi. Bo po zbudzeniu przychodzi zaraz uczucie tak zwanej rzeczywistości, którego ja teraz doznaję. Jestto paskudne, przekłete uczucie... Tak zimne, jak

pierwsze tchnienie poranka, jak ten bronz, z którego jesteś zrobiony, jak z przeproszeniem... Śmierć, panie burmistrzu...

Niech diabli wezmą tak zwaną rzeczywistość; to przyszło na mnie teraz tak niespodzianie, jak choroba, i czuję, że będzie coraz gorzej i straszniej. Kiedy doświadczyłem już raz takiego samego uczucia zbudzenia się ze snu?... Było to... w lecie, w kilka dni po mojem przybyciu do Kuszyna?... Kuszyn?... Co to jest, co oznacza dla mnie ten wyraz? Po co chodzę teraz po tem obcym mieście? W lecie miałem to samo uczucie. Bo już tak długo tu jestem — Bóg raczy wiedzieć — dlaczego? Leżałem wtedy w trawie na brzuchu, słońce paliło mnie w kark i komary kąsały mnie w nos. I obudziłem się...

A kiedy się obudziłem, znajdowałem się na wysokim wzgórzu a podemną leżało miasteczko Kuszyn, w którym się natychmiast zakochałem, jak osioł: miasto z „malowniczym“ tłem ośnieżonych gór, z białą wieżą kościołka, z drobnymi domkami i dymiącymi kominami... A potem zacząłem śnić, a zdradliwe miasteczko ściągnęło mnie we śnie do siebie... Zszedłem na dół, miasto stawało się coraz bardziej kolorowe i hałaśliwe, a wokoło pachniało rozkwitłym bzem, jakgdyby były Zielone Świąta i dzwoniły wielkie dzwony tak głośno, że dźwięk ich wypełniał wszystkie ulice po brzegi, bramy kościołów stały otworem a z ich wnętrza wychodzili znamienicy, okazali mieszczanie w długich, czarnych surdutach, którzy mnie zaraz, jak przyjaciela, witali i serdecznie ściskali za rękę, jak-

gdyby już od dawna mnie oczekiwali. Widzieli zaraz, że byłem zgłodniały i spragniony, ale nie powiedzieli nic, ażeby mnie, broń Boże, nie obrazić, tylko dali mi zaraz jeść i pić. A ja musiałem im przysiąc na Boga i na mój dar poetycki, który od Boga dostałem, że na wieki u nich zostanę, za co codziennie jeść i pić dać będą. Ażeby tę przysięgę odemnie łatwiej wymóc, posadzili mnie na miękkich poduszkach, odurzili moje zmysły słodkiem winem tak, że nie miałem już ani chęci, ani siły im się opierać — — — I związałem się... Czy zrobiłem to naprawdę? Ach gdybym mógł was zobaczyć teraz, w tej chwili... żebyście mi mogli sami poświadczyć, że jestem wasz na wieki!... Hej! Czy śpicie wszyscy, czy nie chcecie się podnieść z waszych łóżek, wyleźć z pod waszych miękkich pierzyn, mieszczanie z Kuszyna, i przyjść mi na pomoc i wytłumaczyć mi, w jaki sposób dostałem się do was i do tego, obcego miasta?!

Księżyc wschodzi. Popatrzy się w wasze śpiące oczy i zbudzi was. Robi się jasno... Burmistrz na placu wygląda, jak żywy człowiek, wszystko jest żywe, wszystko jest prawdziwe... A co ja tu noszę na palcu?

Pierścionek — Litery wryte... Ewa...

Kto ty jesteś? Nie znam cię. Nie, nie łudź mnie, ty nią nie jesteś... Fałszywe pragnienie stworzyło cię z mglistych marzeń... Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, szłaś w gromadzie innych znamienitych panieli, podobałyście mi się wszystkie, we wszystkich się wtedy zakochałem. W waszej dostojności róż ogrodowych, w waszym wdzięku, i w waszych sukniach...

Wszystkie wydałyście mi się tajemnicze, kiedy tak przechodziłyście koło mnie i uśmiechały się. Oczarowałyście mnie i moje serce, jak widok cudownego łańcucha jaskółek, lub jak stado, cicho i spokojnie, płynących łabędzi. Uczulem pragnienie, które piękność budzi... Może wtedy naprawdę ciebie wybrałem, ty nieznaną... może rzeczywiście ciebie, Ewo, z pomiędzy tylu obcych...

Nie wierz mi, zaklinam cię, ty jesteś dla mnie obca, ja ciebie nie znam... Nie znam ciebie, tak samo, jak nie znam tych małych domków, które błyszczą w świetle księżyca i tego całego małego śpiącego miasteczka... Ten pierścionek miałby mnie wiązać? Na... zawsze? na wieczność? Mnie, dzikiego ptaka, przywiązywać do czegoś, czego ani moja dusza nie zna... ani moje serce...?

Wolności chcę, wolności!... Hej, obywatele, wy śpicie?

— — — — —

Specjalista od dobrych powiedzeń, adwokat... zdaje mi się... Kolnicki czy Kolecki (mniejsza o to), który spacerował popołudniu całą godzinę ze sławnym literatem Ernestem (pseudonim) w parku miejskim, spotkał, po rozstaniu się z towarzyszem, panią Lonę.

— Dobry wieczór. Pani dokąd? Bo ja spieszę się do domu. Pani wie, na Mazowiecką. Idziemy razem? Nie? Poszedłbym kilka kroków z panią, lecz straciłem i tak przez Ernesta dwie godziny czasu, a moje akta czekają.

Imię Ernest zrobiło oczekiwane wrażenie.

— Przez kogo? — spytała pani Lona głosem niepewnym.

— Przez Ernesta. Nie chciał mnie puścić. Musiałem z nim spacerować, diabli wiedzą po co. Nie przeczę, że łączą mnie z nim bardzo bliskie stosunki. A jednak... wie pani, jakie on robi teraz na mnie wrażenie?

— Ciekawam.

— Jak czerwone jabłko.

— Hm...

— Nazewnątrz czerwone... Rozumie pani?

— Hm...

— Nazewnątrz... Podkreślam.

Podkreślił. A potem musiał się naturalnie zaraz pożegnać, bo zdawało mu się, że zrobił *bon mot*. Pani Lona poszła dalej w kierunku „małego pawilonu“, gdzie miała się zejść z Ernestem.

Po drodze myślała mechanicznie:

„...Czerwone jabłko... Hm... Podkreślam: czerwone... Nie... podkreślam nazewnątrz...“

Stanęła... I otworzyła nieinteligentnie usta.

„Aha! Nazewnątrz...“

Zrozumiała.

„Mecenas mądry.“

Ernesta jeszcze nie było przy „małym pawilonie“. Pani Lona usiadła na ławce i zaczęła myśleć:

„A tak... Nazewnątrz czerwone... To znaczy, że wewnątrz... wewnątrz... hm...“

Ernest przyszedł trochę zadyszany.

— Już jesteś? — spytał, ocierając sobie czoło jakąś kolorową chustką.

A kiedy sobie wypoczął, zaczął jej o czymś mówić, co słyszała już dużo razy nawet od niego... O tem, jak ją bez granic kocha.

Ale pani Lona była w usposobieniu, w którym się mówi: nie. I powiedziała raz, a potem jeszcze trzy razy: nie. Nawet dosyć nieprzyjemnie i stanowczo, bo była — nie wiedzieć dlaczego — w coraz gorszym humorze.

Ernest zaczął jej tłumaczyć, że wobec tego życie nie ma dla niego najmniejszego uroku.

Wyjął nawet kolorową chustkę po raz drugi i manewrował nią w okolicy lewego oka.



— A więc tak, — szeptał beznadziejnym głosem — dobrze... więc tak...

Słońce piekło panią Lonę w kark. Patrzyła z prawdziwą, niewytłumaczoną odrazą na różowe i zdrowe policzki Ernesta.

Myślała przytem ustawicznie:

„Czerwone jabłko...“

A Ernest szeptał znowu po krótkim wypoczynku:

— Pani nie wie, co się teraz zemną dzieje. Pani nie wie, co może nastąpić. Bez pani życie nie ma dla mnie wartości. Rano budzę się z myślą o pani, wieczorem zasypiam...

„Podkreślam: nazewnątrz“ — myślała Lona.

Ernest mówił ciągle „pani“. Czasem zapominał, że mówi już do siebie „ty“ (od czwartego kwietnia), a jeżeli się nagle spostrzegł, tracił w tej chwili humor.

— Proszę pani, ja już nie jestem w tym wieku, żeby można się mną bawić... Nie jestem studentem... Niech pani nie zapomina, że... że...

Nie mógł ze wzruszenia mówić. Słońce przeniosło się tymczasem z karku jej na kark jego.

— ...Bo pani myśli... pani się zdaje...

Spostrzegł się nagle, że mówi „pani“. Przerwał rozmowę prawie szorstko.

— Co tu dalej mówić?...

Wstał z prawie niegrzeczną raptownością i zapiał ostatni guzik tużurka, dając niejako do poznania, że już droga do niego zamknięta.

Pani Lona zaczęła mówić bardzo zajmująco o mę-

zu, obowiązkach, ludzkich językach i tym podobnych rzeczach...

...A kiedy słońce zaszło, było już po wszystkim...

Pani Lona jechała tramwajem w kierunku miasta. A sławny literat, Ernest, siedział przy małym stoliku „Pod krową“ i jadł kwaśne mleko.

Uczuł zaraz po rozmowie z panią Loną niewytłumaczony głód. A że w domu wieczerza była dopiero o dziewiątej, więc kazał sobie dać talerz mleka.

Ledwie zaczął jeść, kiedy podszedł do niego zniebaczka aktor Grajewski, z którym żył w bardzo poufanych, prawie przyjacielskich stosunkach.

Uderzył go Grajewski gazetą w głowę i spytał:

— Cóż tak siedzisz i jesz jakieś mleko?

Ernest drgnął, trochę zły.

— Siedzę i wypoczywam. Jestem spracowany.

— Wyglądasz, jak bankier, do stu diabłów! Siedzi sobie i je mleko. Masz brzuch i dwie brody. A propos, tu w gazecie jest coś o tobie. Zerznął cię jakiś idjota. Nie rozumiem, jak można jeść mleko...

Ernest rzucił się z pewnym głodem na gazetę i zaczął szukać tego „czegoś o sobie...“ Aż ręce mu się trzęsły...

Aktor patrzył na jego gruby kark.

— Słowo daję. Zbierasz tantjemy i zaszczyty. Jesteś w takim rozkwicie talentu, że aż przykro patrzeć.

Uśmiechnął się słodko i spytał, parodjując, kobiecy głosem:

— Cóż tam nowego w „teczce“?

Nagle spochmurniał i zaczął wywijać laską:

— Słowo daję... A tymczasem człowiek ginie mar-  
nie. Müller nie chce dać nawet zaliczki. Przedwczoraj  
grałem w „Zemście“, wczoraj w „Dzwonie zatopio-  
nym“, a dzisiaj muszę nawet tańczyć i śpiewać w tej  
głupiej wiedeńskiej farsie.

Ernest szukał nerwowo „czegoś o sobie“. Myślał  
przy tem, że Grajewski jest banalny. Obrzydliwie  
banalny.

— Wiesz, co zrobiłem niedawno Müllerowi? Wy-  
tyka mi na próbie, że za cicho mówię. Ja na to nic.  
Ani słowa. Ale w drugim akcie...

Ernest czytał. Twarz mu się mieniła. Nagle  
mruknął:

— To podłe... Nikczemność.

Aktor spojrział na niego przelotnie, z roztargnie-  
niem.

— Co?... A, znalazłeś? Pluń na to!... Otóż... uwa-  
żasz... co chciałem mówić... przychodzi ta moja scena  
balkonowa z muzyką za sceną...

Ernest powtórzył z mniejszym gniewem, prawie  
leniwie, ale jakby ze wstrzymywanym płaczem:

— Podłe... podłe...

Grajewski zrobił okrągły, królewski ruch ręką:

— Tego się nie czyta. Dla nas takie rzeczy nie  
istnieją.

I zaczął mówić dalej o scenie balkonowej z mu-  
zyką za sceną.

Ale Ernest niespodziewanie się wściekł. Cisnął ga-

zetę na ziemię i spojrzął na aktora nienawistnym wzrokiem:

— Gadasz i gadasz...

Aktor wyciągnął swoją długą szyję:

— Co?

Poprawił sobie obrażonym ruchem kołnierzyk czy krawat:

— Jak to gadam? Niby co gadam? Mogę nie gadać.

Odsunął od siebie papierośnicę i zapalki:

— Kelner, płacić!

Ernest mówił niezwykle wysokim, drżącym głosem:

— „Pluń na to!... Pluń na to!“ Kabotyńskie gadanie... Dlatego, że tu piszą o mnie. Gdyby pisali o tobie, to...

Grajewski bębnił po stole i patrzył na Ernesta, jak na warjata.

— Tobie to nic nie szkodzi. Wierzę. Ty możesz na to pluć. Ale ja nie mogę.

Grajewski bębnił.

— ...Człowiek pracuje, szamoce się, pisze krwią swojego serca... jest raz w niebie, raz w piekle... a potem taki jakiś błazen, smarkacz... gryzi piórek... „Pluń na to!...“ Rzeczywiście, że najlepiej plunąć na wszystko, rzucić pióro... Co to znaczy: „Niema perspektywy“? Czy ten idjota wie sam, co to perspektywa? A jeżeli nie rozumie końca, to niech się kogoś zapyta, a potem dopiero niech pisze.

Grajewski bębnił.

— Przecież w trzeciej scenie ostatniego aktu mówię wyraźnie o co chodzi. Dziecko zrozumie. Elżbieta zdejmuje koronę z głowy i mówi...

— „Dwie wódki, bułka z szynką i pięć papierosów...”

Kelner wydawał aktorowi resztę. Omylił się przytem o pół guldena, bo słuchał, co mówi Elżbieta w ostatnim akcie. Ale Grajewski już nie słuchał. Wstał i zaczął naciągać rękawiczki.

— Bardzo cię żałuję — mruknął przez zęby.

Ernestowi jeszcze się trzęsły ręce:

— To ja ciebie żałuję. Jeżeli nie rozumiesz, co czuje artysta, jak mu tłum... podły, nędzny tłum...

Aktor podniósł do góry palec.

— Tylko, błagam cię, nie powieś się! Nie mógłbym spokojnie odejść... Bo ty jesteś w stanie naprawdę się powiesić. Dlatego, że jakimś X. Y. we Lwowie nie podoba się twoja sztuka!

Ernest patrzył ponuro na ziemię:

— Kto wie, co człowiek robi, jak mu się sprzykrzy to wszystko?... To wszystko...

Aktor zaśmiał się tak głośno, i dźwięcznie, że zbudziło się trzech kelnerów, a jakiś pies zdaleka zaczął szczekać...

— Słowo daję... bardzo cię żałuję.

Podał mu rękę, którą Ernest zaledwie uściśnął, a potem poszedł młodym, „elastycznym“ krokiem.

Było zupełnie cicho. Kelnerzy znowu spali, a pies przestał szczekać. W powietrzu pachniał jakiś słodki smutek.

Ernest był smutny. Nie gniewał się już; tylko był smutny. Tęsknił za lampą, ale jakaś dziwna ociężałość przykuwała go do miejsca. Myślał sobie, że tam gdzieś są ulice i oświetlone sklepy... A tutaj pachnie tak niepokojąco jaśmin i między drzewami płynie mgła i cisza. Miał takie uczucie, jakie miewają dzieci, które wieczorem zgubiły się w lesie... I można krzyczeć, można płakać, a nikt nie usłyszy...

Zaczął się namyślać, dlaczego jest smutny. To się tak nazbierało przez cały dzień. To nerwy. Nazbierało się przez cały dzień i teraz gdzieś leży wewnątrz. Nieroztopiony płacz... Taka wielka bryła nieroztopionych łez w duszy... I cięży, cięży...

...Nie, do stu diabłów! To, co było w dzień, jest obojętne. Powiedział mu adwokat Kolnicki czy Kolecki (mniejsza o to), że prawdopodobnie przegra proces o spadek. Ale co na tem zależy? Przed adwokatem narzekał, ale teraz mu wszystko jedno. Ma przecież i tak dosyć pieniędzy. Lona dała mu kosza... Ale co mu na tem zależy? Przecież jej nie kocha. Kogo właściwie kocha? Żonę? Dzieci? Kogo kocha? Mniejsza o to. Powiedzmy: sztukę... Wszystko jedno. Dosyć, że zbliża się wieczerza... Ciekawym, co będzie na kolację?...

...Do stu diabłów, smutno... Jaśmin pachnie. I człowiek tak się jakoś boi. Nie wiedzieć dlaczego. Cała bryła nieroztopionego płaczu... Cięży, cięży...

...Ot, leży gazeta na krześle. Jest tak ciemno, że nie widzi się liter. Zgasła gazeta. Nie ma. Niktby nie myślał, że w tym ciemnym papierze jest „coś o nim...”.

Przed chwilą to czytał i gniewał się i narzekał. Ale teraz wszystko mu jedno. Co na tem zależy?

...Ale smutno... Pachnie jaśmin i między drzewami płynie mgła i cisza...

...A gdyby tak jeszcze talerz mleka? Straszny głód. Nie wiedzieć, skąd ten dobry apetyt...

Zawołał kelnera. Przyszedł zaspany i niechętny... Ernest chciał zamówić mleka, ale nagle zawstydził się i nie zamówił. Zresztą wpadło mu na myśl, że niezadługo będzie kolacja. I nawet poprawił mu się humor. Wstał i postanowił pójść do domu.

Cieszę się na myśl o jedzeniu — pomyślał nagle po drodze; teraz myślę ustawicznie o takich rzeczach, jak n. p. jedzenie.

Uczuł dla siebie nagłą pogardę. Prawie jednocześnie uświadomił sobie, że właściwie od pół roku nic nie tworzy. Od pół roku żyje tak, jak inne zafrasowane zwierzęta. Nazewnątrz niby rośnie. Bo jest o nim coraz głośniejsze. Owoce tego, co było. Teraz tylko zbiera, zbiera... Tak, jak mówił Grajewski: „tantjemy i zaszczyty“. Ale wewnątrz teraz cisza. Co jest wewnątrz? Bryła nieroztopionego płaczu. Albo może ściślej; talerz mleka kwaśnego... Ha, ha... talerz mleka kwaśnego...

Szyderstwo podziałało prawie dobrze. Prawie podniecająco.

Ot, tak, tak, — czuł nieświadomie — biczować się, męczyć się. To dobra droga. Nie dać sobie chwili spokoju. Psychiczny trening... Stracić brzuszki... Stracić zadowolenie... Kłuc się i bić... Masować duszę?...

Było mu coraz lepiej... Czuł przed sobą niewyraźnie jakieś „nowe życie“. Jakieś różowe, miłe „od jutra“. W dodatku zobaczył przesuającą się daleko za drzewami zieloną latarkę.

To tramwaj do miasta.

Zaczął biec szybko. Tak szybko i wesoło, jak mały chłopiec.

Chodziło o to, żeby złapać tramwaj, nim dojdzie do stacji... Zaczął nawet kiwać kapeluszem i laską... „Wyścigi“ — myślał swawolnie.

Jeżeli nie dobiegnie na czas, to będzie musiał iść pieszo. A do miasta daleko. Do następnego tramwaju cały kwadrans. A tymczasem kolacja, kolacja...

...A to bestja! Mruga zielonemi oczkami i pędzi, pędzi...

...A gdyby mu tak przeciąć drogę? Hę? Przeciąć mu drogę. Dobiec prędzej niż tramwaj tam, do skrzyżtu. A jak woźnica zobaczy, że ktoś stoi na szynach, to będzie musiał stanąć.

Ernest biegł jak sarna. Astmatyczne jego serce bilo młotem.

Tramwaj chwilowo gdzieś zniknął. Pewnie za drzewami.

Ernest zrobił jeszcze kilka susów i stał na szynach. W tej chwili oblało go jaskrawe światło...

Ernest wrzasnął i... runął. Woźnica zobaczył, ale za późno.

Mniej więcej wtedy, jak wszyscy pasażerowie w tramwaju...

Za godzinę wiedziało całe miasto.



Żyje... nie żyje... Niektórzy mówili, że nie. Niektórzy, że „jeszcze“. Ale wszyscy wiedzieli, że sławny Ernest popełnił samobójstwo.

Mecenas wiedział nawet dlaczego. On jeden znał istotną przyczynę. Ale nie mówił o tem głośno...

Tylko pocichu.

— Bo proszę kochanego pana, czy można o tem mówić? Mojem zdaniem — nie. Byłem z Ernestem w bliższych, mogę powiedzieć nawet, przyjacielskich stosunkach. Nie chcę szkodzić jego pośmiertnej sławie. A jednak gdyby ludzie wiedzieli prawdę... Uchodził zawsze za marzyciela, idealistę. A zabił się dla... co tu obwijać w bawełnę? Zabił się dla pieniędzy. Dlatego, że przegrał proces spadkowy, w którym chodziło o kilka marnych tysięcy... Wiem jaknajpewniej, bo sam prowadziłem sprawę. O szóstej wieczorem spotkałem go w parku i powiedziałem mu, jak rzecz stoi. A w dwie godziny później... Czy to ma sens? Czy to jest koniec godny „naszego, wielkiego“ poety?... poety?... Ale nie trzeba o tem mówić... żeby się, broń Boże, nie dostało do gazet...

Pani Lona miała suche oczy. Trzeba grać dalej wstrętą komedję życiową...

...Ale przed swą najlepszą przyjaciółką rozplakała się rzetelnie i powiedziała jej całą, istotną prawdę.

Bo istotną przyczyną samobójstwa Ernesta była — ona. Co? Nie może być? Jak to?

— Tak, ona. Ernest rzucił się tylko dlatego pod koła tramwaju, że ona... została uczciwą kobietą.

Straszne, straszne...

— Moja droga, nie mów o tem nawet swej matce... Błagam cię... Chcę sama z tą tajemnicą żyć i kiedyś umrzeć. To jest tajemnica moja i sławnego, wielkiego Ernesta...

Przyjaciółka „swej matce“ nie powiedziała ani słowa.

...Grajewski dowiedział się podczas przedstawienia. Skończyła się właśnie owa wielka scena balkonowa (z muzyką za sceną), i aktor wyszedł na ulicę, żeby wypalić papierosa. W drzwiach spotkał się z krytykiem z „Pochodni“ i od niego dowiedział się o nieszczęściu.

Zbladł i zachwiał się literalnie na nogach. Bo z Ernestem łączyły go blizkie (nawet, rzec można, przyjacielskie) stosunki.

Odruchowo chwycił dziennikarza za rękę.

— Wiem, kto go zabił. Ja jeden wiem.

— Sam się zabił — mruknął dziennikarz: — policyjnie stwierdzono, że rzucił się sam pod koła.

Ale aktor nie puszczał jego ręki, tylko trząsł nią coraz gwałtowniej.

— Wy! — krzyczał przytem — wyście go zabili!.. Wy. Prasa!

— Jakto my? Co to znaczy „my“?

— Zabił go pański kolega z „Zorzy“, który napisał tak nikczemną recenzję o jego ostatniej sztuce.

Dziennikarz skrzywił się sceptycznie.

— Dlatego jeszcze nikt się nie zabił. Pan przecenia bezwarunkowo nasz wpływ... i sądzisz może z wa-

szego aktorskiego stanowiska. Tylko wasza bezgraniczna próżność, czy ambicja...

Ale aktor zaczął mu opowiadać, jak spotkał Ernesta w parku miejskim, coś w godzinę przed wypadkiem, i dziennikarz byłby się dowiedział, co było istotną przyczyną samobójstwa sławnego literata, gdyby nie zabrzmiał nagle dzwonek elektryczny, wzywający aktorów na scenę.

Grajewski biegł przez schody, biorąc po trzy stopnie naraz, i powtarzał gorączkowo:

— Ja wiem... Ja jeden wiem...

W teatrze nie mówiono o niczem innym, tylko o Ernestie. Sam intendent, który dowiedział się dopiero po drugim akcie o katastrofie, wyszedł nagle ze swej łoży i pojechał do mieszkania umierającego. Kiedy wszedł do pokoju Ernesta, zastał tam mnóstwo ludzi. Uderzyło go przedewszystkiem to, że pani Ernestowa uśmiechała się z jakimś dziwnem obląkaniem w oczach i na wszystko i wszystkiemu odpowiadała, że już dochodzi godzina dziesiąta. Miała drobną twarzyczkę dziecka i takie biedne, trzepoczące się ruchy, jak ptak.

Ktoś szepnął, że Ernest już nie żyje. Ale on był zupełnie przytomny i słyszał nawet to, co ktoś szepnął. Słyszał także to, co inni szeptali. Dowiedział się, „jak to było“.

„A więc tak — pomyślał — więc popełniłem samobójstwo. I dlatego leżę tu na łóżku. I dlatego tu tyłu obcych ludzi. I nawet jakiś pan w uniformie, którego nie znam. Ach, tak...

„...Popełniłem samobójstwo i pewnie zaraz umrę. Tak...“

Myśl, że zaraz umrze, była mu zupełnie obojętna. Ale pragnąłby dowiedzieć się między innymi, kto jest ten obcy pan w uniformie.

W tej chwili przyszła do niego żona. Nachyliła się nisko. Uśmiechnęła się i szepnęła mu do ucha:

— Dochodzi już dziesiąta.

Potem zaczęła nagle płakać i całować go bardzo gorącymi ustami po rękę.

— Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego? — pytała namiętnie, prawie z gniewem.

Zaczął ruszać wargami.

Schyliła się jeszcze niżej, i jej czarne oczy wydawały mu się ogromnie wielkie.

— Prawda, że... nie mogłeś pracować i dlatego?... Prawda?

Tak, dlatego. Teraz sobie przypomniał. I kiwnął głową...

Uśmiechnęła się.

— Widzisz... Nikt nie wie... tylko ja. Tylko ja ciebie znam... Zresztą nikt.

Ruszał wargami i myślał: „Zabiłem się dlatego, że nie mogłem pracować“

...Ale w chwilę potem zdawało mu się nagle, że ma dziesięć lat i biegnie bardzo szybko po trawie... A zewsząd pachnie jaśmin...

Ukłuła go nagle myśl bardzo wyraźna i jasna. Przeszyła jego mózg tak ostro, jak szpilka.

...Ja wcale nie chciałem się zabić... tylko przypadkiem wóz... tylko wóz...“

I otworzył usta, aby krzyknąć, że wóz go przejechał...

Ale już nie mógł. Bo jakaś straszna ręka zatkała mu usta...

Na zawsze.

## ZŁA NOC

Nareszcie zdecydowałem się wejść do małego jednopiętrowego domu, na którym już zdala widać było szyld: „Doktor wszech nauk lekarskich O. Weghils“. Poszło mi to łatwiej, niż myślałem. W sieni rozchodził się zapach suszonych grzybów, co nie było dla mnie niespodzianką. Zgadzało się to zupełnie z moim wyobrażeniem tego miejsca. Tylko za bramą nie ukrywała się stara baba i nikt mnie nie zatrzymywał, żeby mnie spytać, czego tu chcę.

Zaraz z początku trzeba było pokonać stare, drewniane, ledwie się trzymające i niepewne schody, o których przedtem nie miałem pojęcia. Schody te chwiały się i uginały przy każdym kroku i miały dużo olbrzymich dziur, przez które można było spaść w różne przepaście. Pokazało się, że dom ten zostawał w dziwnym przeciwieństwie do swego wyglądu z zewnątrz i posiadał więcej niż dziesięć pięter. Bardzo nieprzyjemna sprawa była ze schodami, które czasem, jak im się spodobało, prowadziły na dół zamiast do góry, tak, że trzeba było dosyć czasu, zanim się dostało na najwyższe piętro. Na górze szło za to wszystko gładko; nie potrzebowałem nawet dzwonić, bo może moje przyście było już z dołu sygnalizowane i doktor, albo jego służący już mnie oczekiwali. Drzwi do mieszkania były otwarte. W przedpokoju nie widać

było także żadnej starej baby, ani żadnej innej osoby. Ale było bardzo ciemno i przez sekundę chciałem już dać pokój wszystkiemu, odwrócić się i pobiec do domu z powrotem. W końcu jednak natrafiłem na klamkę do drzwi, prowadzących do pokoju doktora.

— Co robiłeś tak długo w przedpokoju? — zapytał mnie, kiedy wszedłem.

Zawstydzilem się trochę i odpowiedziałem:

— Nie mogłem zaraz drzwi znaleźć.

Popatrzył na mnie niedowierzająco.

— Siadaj — powiedział po chwili.

Potem zaczęła się konsultacja.

— Przychodzisz zapewne z powodu złych snów?...

— Tak, panie doktorze.

Uśmiechnął się, jakby już dawno o tem wiedział.

— Czy ojciec twój wie, że tutaj jesteś?

— Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

— Twoje rodzeństwo, Piotruś i Klara nie mają o tem także pojęcia?

— Nie.

Doktór chrząknął znacząco.

— Jak było ostatniej nocy?

— Kręciłem się „tam“ po ulicach.

— W tem mieście, o którym twój ojciec zawsze opowiada?

— Tak.

— Tam, gdzie był sam przed dziesięciu laty?

— Tak. Przez cały tydzień. Nasza porcelana pochodzi ztamtąd i parasol, który tylko ojciec sam otwierać umie.

— Wiem, wiem — przerwał mi niecierpliwie doktor.

— To miasto jest takie duże, że i pociągi pośpieszne tam stawać muszą...

— To jasne.

— ...a niektóre nie idą dalej, tylko zostają tam już na całe życie.

— Opowiedz mi lepiej, jak dziś zablądziłeś?

Zrobiło mi się zimno ze strachu, że on wszystko wiedział.

— Tak — przyznałem się drżąc — zablądziłem, bo znam to miasto tylko z opowiadań ojca. Mówił nam, że są tam wąskie i szerokie ulice. Ja chciałem naturalnie chodzić tylko po szerokich, dlatego, bo są takie jasne i ładne, ale zblądziłem i dostałem się w ciemne i wąskie...

— Tam spotkałeś się prawdopodobnie z proletariatem?...

Nawet to słowo znał, które tak często od ojca słyszałem.

— Tak — przyznałem się cicho, z trudnością zagryzając ból i czuję go jeszcze ciągle. Cała lewa połowa twarzy boli mnie jeszcze od tego. Wszyscy głodowaliśmy i marzli strasznie. Byliśmy, razem z naszymi żonami i dziećmi w powijakach, zamknięci w piwnicy — sto albo i tysiąc osób. Kładliśmy się to na jedną, to na drugą stronę, żeby nasze męki zmniejszyć. Braliśmy kolońską wodę do ust tak, że nam spaliła dziąsła i język. Śpiewaliśmy żalosne pieśni i wyrywa-



liśmy sobie włosy z głowy. Ale nikt nie miał nad nami litości.

Doktór pokiwał smutno głową.

— I z nikąd nie było ratunku?

Namyślałam się z natężeniem, żeby nic nie zapomnieć i zupełną prawdę powiedzieć.

— O ile sobie przypominam, to nad ranem przyszło nam trochę wojska na pomoc. — Dragoni, zdaje mi się, i dosyć artylerji z armatami. Ci sami, którzy tu w mieście na manewrach byli. Ale to nic nie pomogło. Powiedziałem do moich towarzyszy, że gwałtem nie da się nic zrobić. Ma się tylko coraz większy ból z tego strzelania i stukotu koni. I wkońcu wzięliśmy tylko zimnej wody do ust...

Doktór zaśmiał się pogardliwie.

— To wszystko były tylko półśrodki. Czy nie było z wami żadnego rozsądnego człowieka w piwnicy?

Myślałem przez chwilę.

— Owszem — powiedziałem potem — w końcu przyszedł jakiś policjant czy urzędnik pocztowy w mundurze i wziął się energicznie do rzeczy. Rozkazał nam milczeć i długi czas spokojnie leżeć. Większość posłuchała go...

Doktór spojrział na mnie ironicznie.

— I ty naturalnie także, — zauważył.

— Cóż miałem robić? — zawołałem zirytowany. — Czego się nie czyni w takich strasznych czasach? Ja przecież już, prawdę powiedziawszy, sprzedałem moją ostatnią koszulę. Niemowlęta płakały, że

się serce krajało, wszystko wołało o chleb... już nawet włosy i paznogie zaczęły mnie boleć. Gdyby mi kazali byli połykać rozżarzone węgle i to byłbym...

Doktór przerwał mi ostro.

— Naturalnie — powiedział. — Byłbyś wszystko uczynił, tylko nie to, co było konieczne. Ale jeżeli nie miałeś dobrowolnie odwagi, to cię do tego zmuszę!

Wyjął z szuflady, w której miał schowane instrumenty, mały przedmiot, powstał i przystąpił szybko do mnie.

Zbladłem. Miałem przecucie czegoś strasznego.

— Co pan ma w ręce? — krzyknąłem przerażony.

Ale on rozkazał:

— Otwórz usta!

Ja wyskoczyłem w tej chwili z zadziwiającą zręcznością na piec.

— Nigdy — rzekłem z wysokości trzech metrów — bo zgaduję pańskie straszne zamiary. Pan wie, że ja mam zepsuty ząb?

Doktór śmiał się djabelsko.

— Tak, łaskawco, wiem to od — od trzech... nie od ośmiu dni...

— I chce mi go pan wyrwać. Jestem przekonany, że to co pan trzyma w ręce, jest...

— Obcęgi, mój kochany, tak, tak obcęgi.

Trząśłem się cały, ale postanowiłem się jeszcze nie poddać. Siedziałem wysoko pod sufitem a on był na dole.

— Zejdiesz na dół, czy nie?

— Nie — powiedziałem ponuro i stanowczo.

— Więc nie chcesz zeskoczyć w tej chwili?

— Nie, nie, nie!...

— Ha, — w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak piec przewrócić.

Ale wtedy się naraz zrobił ranek i moja matka przyniosła mi śniadanie do łóżka.

— Ja dziś znowu nie mogę pójść do szkoły... — jęknąłem słabym głosem.

— Nie jest ci lepiej? — spytała przestraszona.

— Nie. — Bolało mnie okropnie w nocy — w gardle, wie mama, w gardle.

Powiedziałem „w gardle“, żeby w końcu naprawdę nie musiał iść do dentysty.

Matka przyniosła łyżeczkę, wsadziła mi ją do ust i powiedziała:

— Powiedz *a!* Głośno *aa!*

Robiłem co mogłem. A Matka zauważyła kilkakrotnie zdziwiona:

— Ja nic nie widzę... nic a nic.

A ja powtarzałem coraz lepiej:

— *A! a! a!*

---

Co to jest przypadek? — Skórka z pomarańczy leżąca na środku chodnika. Ale w dalszym ciągu nie było tak, że przechodzień nastąpił na ową skórkę, upadł, złamał nogę i umarł.

Nie, przechodzień był głodny i zauważył skórkę już zdaleka. Schylił się szybko, tak jakby znalazł kawałek chleba i zaczął ją zaraz jeść.

Panna Stasia, idąca za nim, przystanęła i przypatrywała się temu zdaleka.

Wydało jej się to tak nieprawdopodobne. Była poprostu wstrząśnięta, ale nie myślała nic określonego. Patrzyła tylko bardzo uważnie, czy ów człowiek tę skórkę naprawdę je. Wymawiała w duszy rozmaite słowa, najpierw: „gryzie“, potem „gryzanie“ potem „myszy“ potem „szczury“. — Wpadł jej na myśl także ich mały piesek, którego mieli, kiedy jeszcze żyła jej matka.

Człowiek jadł naprawdę. Na ulicy było już ciemno i prawie pusto. W powietrzu pachniało przyjemnie letnim wieczorem. Tam gdzie stał ów człowiek, paliła się latarnia, bardzo skromnie, trochę zielonawo.

Panna Stasia (nauczycielka fortepianu) czekała jeszcze ciągle. Teraz mi już nic innego nie pozostaje, myślała. Dlaczego on jednak je to paskudztwo? Wpa-

dło jej na myśl, że dawanie lekcji na dalekiem przedmieściu, nie jest jednak tak zupełnie bezpieczne. Ale pocieszała się tem, że ostatnią lekcję miała już poza sobą, a jutro zaczynają się wakacje.

Nagle zjął ją wielki strach i powiedziała prawie głośno:

— Na Boga, tu stoi jakiś człowiek i zjada odpadki!

Potem pobiegła parę kroków naprzód, tak jakby chciała tego człowieka ratować. Wtedy on rzucił resztkę skórki i poszedł dalej; po chwili przystanął znowu i zwrócił twarz ku niej.

Zdawało jej się, że był ubrany zupełnie porządnie, nawet elegancko. Czy mi się tylko zdaje, że on ma cylinder? — pytała się w duchu.

Jednocześnie otworzyła pugilares i wyjęła dwie korony. Ale naraz straciła odwagę i nie dała pieniędzy owemu mężczyźnie, tylko położyła je na chodniku, na to samo miejsce, gdzie przedtem leżała skórka z pomarańczy.

Kiedy się wyprostowała, spotkała się z utkwionym w siebie wzrokiem mężczyzny. Nie tyle na sobie czuła ów wzrok, ile na swoich biodrach. I wiedziała odrazu, że patrzył na nią tak już przedtem, kiedy jeszcze była pochylona.

Zaczęła biec. W jakiejś bramie przemyślała wszystko, co się stało. Gdyby naprawdę był taki głodny, byłby spostrzegł pieniądze a nie... mnie.

Ostrożnie wyjrzała z bramy. Ulica była całkiem pusta. Wtedy wróciła znowu tych parę kroków i...

znalazła swoje pieniądze, leżące na tem samym miejscu, gdzie je położyła.

Nie wziął ich.

Zaczerwieniła się.

Czyż naprawdę skończyła już dawno trzydzieści lat? — myślała, — to nie był biedny człowiek, to był pan. W wielkiem mieście idą porządni panowie w cylindrze do dziewczyn. Możliwe, że taki „pan“ bez wstrętu podnosi skórki z rowów i z „rozkoszą“ je gryzie.

Słowo „rozkosz“ widziała przed sobą, jak drukowane. Wyjęła z torebki lusterko i upudrowała sobie twarz.

Poczem zaczęła znowu iść dalej odświeżona i niejako pocieszona. Powietrze było gęste z gorąca. Zobaczyła dwoje błyszczących oczu i wiedziała zaraz, że były to jej własne oczy, widziane przed chwilą w lusterku. Tak, jutro zaczynają się wakacje, cieszyła się naprawdę może po raz pierwszy.

Teraz znajdowała się już na głównej ulicy przedmieścia i szła pomału do najbliższego przystanku kolei elektrycznej. Z przyzwyczajenia zaczęła w myślach liczyć pieniądze, jak czyniła to często w ostatnich tygodniach. — Ostatnie dostała właśnie dzisiaj i wszystko już było w porządku; nawet tych dwóch koron nie wydała. — Teraz cieszyła się już naprawdę na swą małą podróż.

Na przystanku była ławka, na której siedział znowu — on — tak, bezwątpienia, to był ten sam człowiek, ale teraz się jakoś nie bała. Robotnicy wra-

cali z fabryk, małe dziewczynki z torebkami przebiegały, psy gryzły się i czekały, ciężarowe wozy dźwięczały łańcuchami, — a ów człowiek był wychudły i wyglądał rzeczywiście źle. Siedział na samym końcu ławki, jak na koniu, tak jakby miał dużo czasu do stracenia. Powieki miał prawie fioletowe z rozpaczy i nie miał naturalnie cylindra — zauważyła z zadowoleniem — tylko jakiś stary, miękki kapelusz o szerokich kresach, niewyraźnej, żółtawej barwy. Całe jego ubranie było niewyraźnie żółte, jak zwyczajnie u biednych ludzi. Mogła spokojnie stać i przypatrywać mu się — tak marnie wyglądał.

Szybkim ruchem wyjął z kieszeni kamizelki jakiś drobny przedmiot i rzucił go na ławkę tak, jak się rzuca na ladę srebrny pieniądz, żeby rozpoznać, czy nie jest fałszywy.

Było to coś metalowego, może jakieś małe pudełeczko. Przypatrywał się temu drobiazgowi w dziwnym zamyśleniu. Tak, że się dokładnie widziało, że patrzył się tak na coś, co nie było niczem właściwie; poprostu zwykły guzik.

Może aktor, wpadło jej na myśl. Nie. Przypominał jej raczej pewnego studenta, który, jeszcze gdy była mała, mieszkał w tym samym domu, co ona, i na podwórzu, przed wszystkimi sługami i dziećmi, głośno deklamował. A przypominała sobie owego studenta dlatego tak dobrze, że pozostał na zawsze w jej wyobraźni „tym mężczyzną“.

Zaczerwieniła się znowu. Człowiek, siedzący na ławce, miał gładko ogoloną, inteligentną twarz — ale

mógł być równie dobrze kanalarzem, albo zamiataczem ulic, w końcu poprostu biedakiem. Patrzyła na niego z zajęciem, jakgdyby jego los miał się przed nią rozegrać w następnej sekundzie, albo jakgdyby ona była przecież niejako powołana do tego, żeby temu człowiekowi dopomóc, żeby go ratować. A kiedy potem się podniósł i zaczął iść w kierunku dworca kolejki podmiejskiej, poszła mimowoli za nim.

Po kilku krokach skręcił w bok do jakiegoś domu, gdzie dużo ludzi wchodziło i wychodziło; był poprostu ścisk, jak przed teatrem, albo kinematografem. Może był to poprostu dom przechodni, pomyślała i szła bez namysłu dalej za owym człowiekiem. Szła tak samo jak on i wielu innych przez długą sień, potem przez wąskie i strome schody na górę — jak we śnie. — W końcu znalazła się w jakiejś sali z wieloma napisami, ogłoszeniami i okienkami, przed którymi cisnęli się ludzie.

Panna Stasia przepychała się przemocą naprzód, jakgdyby miała tu, podobnie, jak inni, coś ważnego do załatwienia. Zbliżyła się, za przykładem owego mężczyzny, za którym szła, do okienka po prawej stronie z napisem: „Kosztowności“. Tylko jakaś stara kobieta i jakiś szofer, przedzielali ją jeszcze od tego człowieka, który już stał bezpośrednio przed okienkiem. Światło gazowej latarni padało wprost na niego, tak że go mogła teraz doskonale obserwować.

Wyjął szybko, tak samo jak przedtem, ów metalowy przedmiot z kieszeni kamizelki i rzucił go z wspaniałym gestem na ladę, tak, że aż zabrzączał



głośno i wyzywająco... A potem czekał. — Jedna, dwie, dziesięć, dwadzieścia — liczyła panna Stasia sekundy z biciem serca.

Ale urzędnik za okienkiem powiedział, bez słów: — Nie. Tak, doprawdy, panna Stasia widziała wyraźnie, jak pokręcił głową, zimno i bezwzględnie. Wszyscy widzieli.

A jednak człowiek w miękkim kapeluszu czekał dalej. — Trzydzieści, czterdzieści... czterdzieści trzy — liczyła panna Stasia.

Naraz usłyszała dźwięczny, prawie trochę zanadto dźwięczny śmiech.

— A więc, nie — rzekł głośno aktor.

Tak, teraz była pewna, że był aktorem. Zrobił elegancki ruch ręką, tak, jakby już miał dosyć żartów, oddalił się od okienka i popatrzył na stojących naokoło, humorystycznie mrużąc oczy, tak jakby sobie przed chwilą zakpił z władzy.

Wszyscy uśmiechnęli się rozbawieni, porozumiewawczo kiwając głowami, nawet panna Stasia była zmuszona się uśmiechnąć i pokiwać głową. Ale niedługo potem przelękła się — zobaczyła, że stoi sama przed okienkiem. Po chwili odpięła małe, złote serduszko od łańcuszka i podsunęła je urzędnikowi. Przyczem uśmiechnęła się z zakłopotaniem, tak jakby teraz i ona próbowała zrobić ze swej strony coś dowcipnego. Ale urzędnik nie pokręcił głową, jak przedtem, tylko dał jej dwie dziesiątki papierowe i dużo srebrnej, drobnej monety, doprawdy tak wiele srebr-

nych i niklowych pieniędzy, że nie mogła opanować tego bogactwa, ani schować, ani w ręce utrzymać.

Wszyscy się na nią patrzą — czuła i zaczęła się skradać ku wyjściu z sali, jakby popełniła jakiś rabunek. Podczas, kiedy mechanicznie jeszcze walczyła z pieniędzmi i to próbowała wkładać dwuhalerzówki do torebki, to starała się wstunąć papierowe dziesiątki do kieszeni, której nie posiadała, pytała się w duszy rozpaczliwie:

— Poco? Poco właściwie? Czyż nie miała już za dużo pieniędzy na wakacje?

W tej chwili uczuła na sobie oprócz własnych także obce palce, twarde kościste, z niezręczności całkiem zrozpaczone, bezlitosne palce. Zbladła, bo zrozumiała w tej chwili, że ją chcą okraść. Nie zależało jej nic na tych pieniądzach — przerażał ją tylko brutalny fakt rabunku. Ale naraz przyszło jej na myśl — instynktowe przypuszczenie. — Obróciła się poprostu z ciekawości.

Tak, to był on.

Był bardzo blady, jego na pół martwe, fioletowo podkrążone oczy, spoglądały na nią z przerażeniem... i tylko jego usta uśmiechały się.

Wyciągnął do niej rękę z jej skradzionymi pieniędzmi.

— Proszę, oto są — rzekł, drżąc.

A potem mówił z coraz większą afektacją:

— Oto pani własność, proszę. Nie brakuje ani halerza, niech pani przeliczy. To była tylko nauczka za pani lekkomyślność...

Na jego policzki wystąpiły czerwone plamy.

Jaśniał poprostu z zarozumiałości i z zadowolenia z samego siebie.

— Czy to są kamyki, albo skrawki papieru, a może skórki z pomarańczy? Nie, to są pieniądze, proszę pani. Czy pani chce koniecznie swoją własność ofiarowywać złodziejom i łotrom? Wiele pani ma lat?

Ludzie zaczęli się gromadzić. Jak we śnie. Panna Stasia odebrała, drżąc, swe pieniądze, powiedziała obcym ludziom: „dziękuję“ i zbiegła, potykając się, ze schodów.

— Wiele pani ma lat? — krzyczał za nią.

Panna Stasia biegła, czuła, że był to jedyny ratunek... Oddalała się coraz bardziej od ostatniego przystanka tramwajowego i od miasta. Czuła przy tem wyraźnie, że ktoś biegnął za nią.

Co tak bije do taktu? — pytała się sama siebie, kiedy tak biegła. — Czy mam przy sobie jaką tabliczkę, linię, albo szkolną torbę?

Biegła przez duży pusty plac, potem przez jakąś łąkę.

— Czekaj, czekaj — słyszała z dala za sobą. Naraz potknęła się i upadła do rowu. Podczas upadku *wiedziała* naraz, że ją ów człowiek chciał przedtem okraść i że teraz biegnął za nią, żeby ją napaść, zrabować, lub zamordować.

— Wstydz się, wstydz się — rzekła do siebie, kiedy wydobyła się znowu na górę. Tabliczka stuknęła dalej pomimo, że panna Stasia stała bez ruchu. —

Było to jej serce. Popatrzyła na pustą płaszczyznę naokoło siebie, potem na swoją mokrą z upadku suknię i obłoczone buciki i zaczęła płakać.

— Stara panna! — krzyczała.

Potem zrobiła się naraz cisza. Słysząc było tylko cichy szum.

— Strumień — szepnęła.

I w tej samej chwili złapał ją ktoś za gardło i rzucał o ziemię. Widziała jeszcze jego długą, humorystyczną twarz nad sobą... Czowała, jak jej suknia rozdarła się i jak jego kolano wtoczyło się między jej kolana — i krzyknęła.

A więc *tego* chciał? — spytała w duszy niejako zdumiona. — I miała naraz dziwnie znajome, silne, zwarjowane uczucie...

Straciła przytomność.

— Nie bój się — rzekł do niej mężczyzna, kiedy otworzyła oczy. Klęczał obok niej. Zresztą nie wiele widziała. Była noc. Na ustach uczuła coś lepkiego, wilgotnego, spróbowała ostrożnie językiem.

— Krew z moich pocałunków — rzekł człowiek głośno i dumnie.

Była to jakby jakaś dawna melodia.

Naraz miała tyle sił, żeby wstać i pobiec w jakimś nieokreślonym kierunku.

— Zaczekaj — zawołał mężczyzna.

Zatrzymała się w tej chwili, jakgdyby na nią policjant zawołał.

— Niech pani policzy swoje pieniądze — rzekł ostro — nie brakuje ani halerza.

Mimo to była pewna, że chciał ją obrabować. Dlaczego uczynił co innego, jak chciał... On był przekłety, życie trzymało go za gardło i dusiło...

Ale ona nie znalazła dobrego słowa dla niego. Nie zapłakała z litości nad nim i nie darowała mu pieniędzy. Milczała, jak ofiara, gorzko i beznadziejnie.

On spytał:

— Gdzie pani mieszka?

A ona odpowiedziała sumiennie, tak, jakby ją policjant wypytywał.

— A więc odprowadzę panią do kolejki podmiejskiej — rzekł mężczyzna tonem energicznego opiekuna — potem się pani przesiądzie i będzie za godzinę w domu.

A ona milczała, bo on zniszczył jej dziewictwo. Szła w pewnym oddaleniu od niego, jakgdyby był jej służącym, lub jej panem. Najmniej trzy kroki dzieliło ich od siebie. Szli, jak najlepsi nieprzyjaciele razem do kolejki podmiejskiej.

On rzekł:

— Ach, jaka piękna noc.

Myślał to naprawdę, ale mówił szyderczo.

— Ach, piękna noc — mówił — pachnie słodko i dziwnie, jak we śnie. Głodni ludzie nie potrzebują kolacji — tak sycący jest zapach nocy. Głodni ludzie idą w świetle księżycy i cieszą się spokojem w boskiej naturze. Dusze ich wywodzą tryle aż hen pod niebiosy...

A ona milczała, bo ją paliły jego krwawe pocałunki. Znalazła swój pugilares z pieniędzmi. Pomy-

ślała: Nie mogę mu nic dać, choćby miał zginąć — ale naraz drgnęła, bo oto on powiedział głośno:

— Nie możesz mi dać pieniędzy, wolałbym raczej zginąć... Nie chcę ruszać twego niewinnego majątku, lituję się nad twoją biedną torebką, jak nad biednym, małym, ciepłym gniazdkiem ptasiem. Taka maleńka, cienka chusteczka tam jest, jak piąstka dziecka... i puszek do pudru i maluchne lustерko, jak skrzydło motyla. I ołówek i kapitały... ha, ha... kapitały... Ty biedny wróbelku...

Panna Stasia płakała cicho... Najmniej dwa i pół kroku było jeszcze między nimi. Myślała: Nie mogę mu dać nic, bo to jest ordynarny człowiek, który mnie rzucił o ziemię i zgwałcił.

— Otóż jesteśmy — rzekł ordynarny człowiek i pokazał maszyny tuż przed nimi —

Wziął ją silnie za rękę, bo mieli się pożegnać. Bo oto już była kolejka podmiejska.

— Widać tu kilku kolejowych robotników, ale oni mi nie przeszkadzają...

Widocznie chce mnie jeszcze pocałować, myślała panna Stasia — ale on trzymał ją tylko silnie za rękę na pożegnanie.

— Tak, teraz już nadchodzi — zawołał dzwicznym głosem.

Pociąg kolejki podmiejskiej dochodził z prawej strony, z parą, hukiem i czerwonym rozpalonem czołem. A mężczyzna skoczył elegancko na szyny i biegł mu naprzeciw...

...A panna Stasia pomyślała naraz trochę zdziwiona:

A więc *tego* chciał...

A potem, kiedy wszystko przeszło, zaczęła głośno jękliwie krzyczeć:

— Dlaczego nie przeszkodziliście mi — wołała do kilku robotników kolejowych, krzyżąc nieprzytomnie, jakby była wdową.

A kiedy ją jakiś człowiek w uniformie zapytał, czy jest jego żoną, skłamała ciepło i dumnie, że była żoną.

Dopiero potem w wozie ratunkowym, który z nią i nieszczęśliwym samobójcą jechał do szpitala, przyszła niejako do przytomności.

— Nie, ja nie jestem żoną — oświadczyła stanowczo.

— Nie, — powiedział jakiś porządnie ubrany człowiek w okularach. — To zresztą nie jest moja rzecz. Skonstatowanie jego osobistych stosunków należy do policji.

Potem pochylił się nad samobójcą, który celował do góry swym humorystycznym, długim nosem.

— Koniec — zauważył sucho.

Panna Stasia odetchnęła głęboko, potem powiedziała:

— To może i lepiej.

A pan w okularach pokiwał głową twierdząco.

— Zresztą byłby pewnie pozostał kaleką na całe życie — dorzucił rzeczowo.

— I to jeszcze — rzekła panna Stasia.

Zaczęła się dowiadywać o koszty. Także co do pochowania i innych wydatków.

Ale co do tego nie otrzymała jeszcze stanowczej odpowiedzi. Proszono ją tylko tymczasem, by zostawiła swój adres. Posłusznie podała dokładnie nazwisko i ulicę.

Na szczęście mam w domu pieniądze na wakacje, to napewno wystarczy.

Potem poprosiła, czyby wóz nie mógł się chwilę zatrzymać, żeby mogła wysiąść.

— Proszę, jak pani sobie życzy — powiedział pan w okularach, trochę zdziwiony, i zazdzwonił na woźnicę.

Właśnie nadchodził jej tramwaj — tłumaczyła z uśmiechem, — a kiedy potem przybył jej wóz, pomogła jakiejś kobiecie z dziećmi przy wsiadaniu; odebrała jej poprostu jedno dziecko i zaniosiła je sama do środka.

— Trzeba sobie wzajemnie pomagać — rzekła ciepło i dumnie. A wewnątrz wozu siedziała jeszcze ciągle przemoczona w kącie, uśmiechała się i myślała:

— Ach, tak, tak, my kobiety, my kobiety...

---

---

---

---

---

---

---

---



Była raz restauracja, w ogródku, z muzyką. Towarzystwo, które tam zazwyczaj bywało, składało się z ludzi, dobrze wychowanych, zamożnych i nie hałaśliwych. Można tam było spędzić wieczór z przyjaciółmi nie odczuwając, że przy innych stolikach także siedzą ludzie.

Ale piękna kobieta działa zawsze wyzywająco.

Osoba, o której mówimy, zajmowała najmniejszy stolik w ogródku. Była w skromnej, lecz wykwintnej tualecie, tak samo jak towarzyszący jej czarno ubrany mężczyzna. Z daleka wydawało się, jakby nie mówili z sobą ani słowa.

Lola, żona Bolka, powiedziała zirytowana do Władka, męża Teci.

— Nie pojmuję was... To bajeczna kobieta. Gdybym była mężczyzną, zakochałabym się w niej od razu... A wy siedzicie tu spokojnie i nawet się w jej stronę nie patrzycie!

Edmund, stary kawaler, zauważył:

— Zawsze się siedzi spokojnie... w publicznych lokalach. Pozwalam sobie zalecić drogiej pani to samo.

Lola spytała oburzona:

— A cóż ja złego robię? Czy może znowu za dużo dziś wina wypilałam?

Ale Władek uznał, że musi się usprawiedliwić:

— Co się we mnie dzieje, tego pani nie może wiedzieć, pani Lolu! Zresztą, owa piękność posiada już swego właściciela.

Tecia prosiła łagodnie:

— Bądź tak dobry, Władku, i hamuj się trochę w mojej obecności.

Lola patrzyła nieustannie na samotną parę.

— ...Właściciel — mruknęła — jakto? Czy to jest mąż, czy też kochanek?

— Mąż — oświadczył Bolek.

Władek zaś zauważył:

— To nie jest jeszcze tak pewne.

Nie, pod tym względem istniały dwa zdania przy tym stole. Sprzeczano się o to z wielkiem ożywieniem, co znowu nie dogadzało Edmundowi.

— Cicho, cicho — napominał bez ustanku. — Nie powinni państwo ciągle się tam patrzeć... Jeżeli to które z nich spostrzeże...

Ale ci, o których mówiono, na nic nie zwracali uwagi. Robili takie wrażenie, jakby byli tylko zasłuchani w uwerturę z „Tannhäusera“, którą grała orkiestra.

Przeszedł jakiś czas. Orkiestra nie grała już „Tannhäusera“, tylko jakiegoś walca Straussa.

Bolek mówił:

— Przyznaję, że Lola nie znosi więcej wina, niż najwyżej dwa kieliszki... zresztą, zachowuje się o je-

den stopień naturalniej, niż — się zachowywać wypada. Ale mój kolega, Boratyński, który się tu zjawi koło dziesiątej, utrzymuje...

Edmund przerwał mu:

— Tu... Boratyński?... nie znam.

— Wiem — mówił Bolek uspokajająco — nikt z was go nie zna. A więc Boratyński utrzymuje, że naturalność jest poprostu cnotą.

— Ale nie w restauracji — zauważył Edmund surowo — a w każdym razie nie pokazuje się palcami na obcych ludzi.

Czy Lola pokazywała palcami? Właściwie nie. Ale miała niejako setki oczu naraz i wszystkie patrzyły bez ustanku na elegancką parę przy małym stoliku.

Lola powiedziała głośno:

— Teraz uścisnął ją za rękę... To jest napewno jego kochanka.

— Tak, tak — szeptała Teczka z głodnym wyrazem twarzy — ale możebyśmy nie mówili ciągle o tych ludziach?

Nawet Bolek się zniecierpliwił.

— Daj spokój nareszcie, Lolu!... Cóż komu na tem zależy, czy oni są mężem i żoną, czy nie?

— Nie, to wyłączone — oświadczyła serjo Lola. Ale Teczka nie mogła się wstrzymać, żeby nie powiedzieć:

— Ależ to napewno małżeństwo.

I zaczęto się znowu sprzeczać.

Lola rzekła:

— Ja widzę, że my się nie uspokoimy, dopóki się nie dowiemy prawdy.

— Ty, prawdopodobnie, — odpowiedział Bolek — ale my nie interesujemy się tem znowu tak bardzo.

Ale Lola utrzymywała ciągle, że wszyscy są zaciekawieni i muszą dowiedzieć się prawdy.

— Najprościej byłoby — mówiła, uśmiechając się niebepiecznie — żebym ja tam poszła i spytała się.

— Kogo?

— Ich, tych dwojga. Zaraz tam pójdę!

Wszyscy roześmiali się. Tylko Edmund był o tyle nieostrożny, że perswadował jej tragicznym głosem:

— Niech pani rozważy, co pani chce uczynić — niech pani ma wzgląd na swego męża i na nas wszystkich...

— Ach, jaki ty jesteś niezręczny — szepnął Bolek zirytowany — mów o czem innem.

Tecia chrząknęła lekko i spytała:

— Co grają teraz? — *Lukrecję* czy *Łucję z Lammermoru*?

Orkiestra grała *Lukrecję*.

Ale Lola nie była zadowolona. Patrzyła tak samo jak przedtem ciągle na ów mały stolik i naraz zawołała:

— Słowo honoru, idę.

Edmund poruszył się niespokojnie.

— Masz teraz... nieszczęście...

Bolek strofował żonę.

— Daj spokój, dziecko, bo Edmund gotów uwierzyć, że mówisz na serjo.

— Naturalnie, że mówię na serjo — zapewniała Lola.

Edmund załamał rękę.

— Naturalnie — powtórzył — dała przecież słowo honoru.

Bolek popatrzył na niego szyderczo.

— Dobry sobie! Kobieta!

I wtedy stała się ta rzecz niesłychana.

Lola wstała prędko. I zanim się wszyscy spostrzegli była już przy owym małym stoliku.

— Widzicie, miałem słuszną — wyjąkał Edmund.

Tak, wszyscy widzieli, jak Lola dotrzymywała danego słowa. Wysoki, czarno ubrany mężczyzna, wstał grzecznie i rozmawiał z nią. Lola, okropnie zmieszana, śmiała się.

Wróciła blada, mała, zupełnie wytrzęzwiona.

— Ładna historja — przywitał ją mąż.

Lola rzekła:

— Małżeństwo.

I naraz zaczęła gwałtownie szlochać.

A wysoki czarno ubrany mężczyzna powiedział do kobiety, siedzącej obok niego:

— Nie obawiaj się, nie zrobię żadnej awantury.

— Dlaczego wstajesz? — spytała bojaźliwie.

Nie odpowiedział jej wcale. Oddalił się powoli, tak, jakby szedł tylko na małą przechadzkę po ogródku.

Piękna pani patrzyła za nim.

Ale nie, on nie szedł do tego niebezpiecznego stołu, tylko do pawilonu, gdzie grała orkiestra... tam przystanął. Wyglądał tak, jakby się namyślał, jak się nazywa ten piękny marsz.

Marsz był wojowniczy i burzliwy.

A Lola błagała, szlochając:

— Bolek, idź do naszego szofera... musimy... musimy...

— Ależ — przerwał jej zirytowany — teraz byś chciała wracać do domu, teraz, to nie jest tak łatwo!

— Ja nie życzę sobie skandalu — zapewniał Edmund.

— Ja także nie — odpowiedział Bolek — ale...

Chciał powiedzieć: umówiłem się z kolegą Boratyńskim, on może każdej chwili nadejść...

Ale Boratyński tymczasem właśnie już przyszedł. Bolek przedstawiał go prędko wszystkim i wybiegł zaraz żeby poszukać szofera.

Boratyński popatrzył za nim bezradnie i wyjąkał potem zmieszany i zdumiony:

— Jakto?... — Państwo nie chcą już przecie odchodzić? Ja się tak cieszyłem na ten wieczór... Bo, ja jestem dziś osamotniony... Moja żona, mianowicie, wyjechała na dwa dni... do ciotki... tak do ciotki... i dlatego chciałem... myślałem, że...

Edmund rzekł surowo:

— To wszystko jedno, my musimy już iść.

Kolega Bolka patrzył, nic nie rozumiejąc, na Lolę, która zakrywała twarz chusteczką.

Ktoś się zmiłował nad nim i opowiedział mu szep-tem, co zaszło. A on słuchał zainteresowany, kiwając głową.

Ciekawa historia — powtarzał — ciekawa historia... Gdzie oni siedzą? Gdzie jest ten stolik?

— Proszę, uważać — zalecał Edmund.

Bo wysoki, czarno ubrany mężczyzna zbliżał się do nich właśnie, niby przypadkiem. On nie zrobił na Boratyńskim żadnego wrażenia. Ale zaledwie mu pokazano piękną kobietę, skoczył, jak szalony i wytrzeszczył na nią oczy bezwstydnie. — A jednocześnie całe towarzystwo zobaczyło czarno ubranego mężczyznę, który stał przy nich i pytał wskazując na Lolę:

— Który z panów jest odpowiedzialny za tę panią?

— Ja — krzyknął prawie kolega Bolka.

I powtarzał kilkakrotnie, jak opętany:

— Ja, ja, ja...

A piękna pani przy małym stoliku zemdląła.

Była to pani Boratyńska.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42









F

2880

8